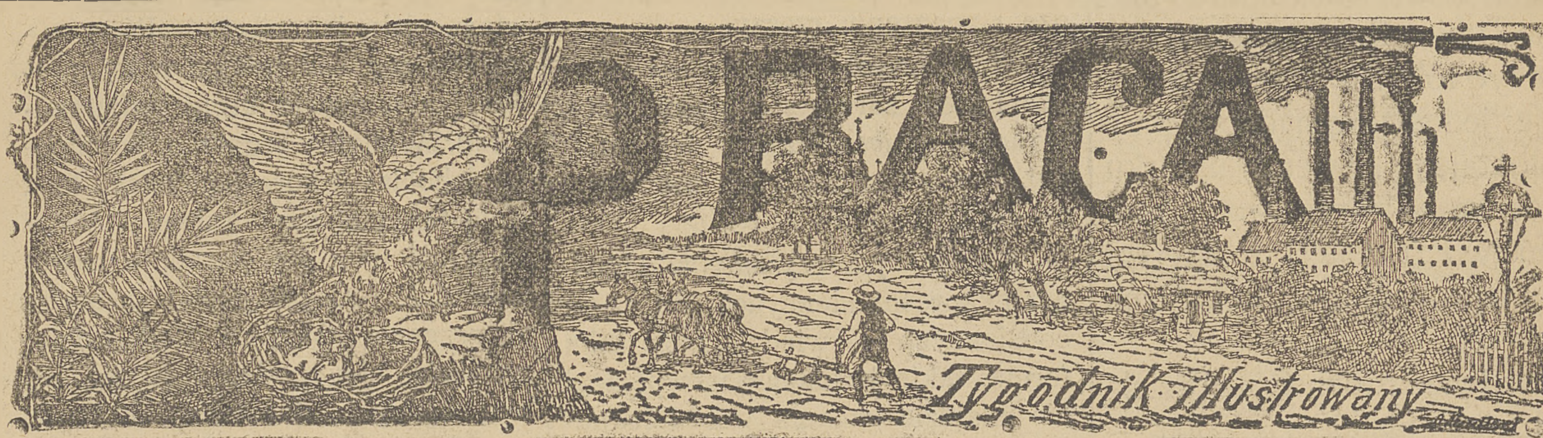
Nr. 51. POZNAŃ — KATOWICE — KRAKÓW. Rok V.
Niedziela, dnia 22-go Grudnia 1901 r.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 mk.**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **1 kor. 73 hal.**
Pod opaską: *w Niemczech* **1,90 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **2 kor. 30 hal.**, *za Oceanem* **1 dolar 25 cent.**
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Boże Narodzenie.

Nadeszła cisza zimowa. — Białe puchy otuliły czarne, odarte z liści konary drzew, i zaległy świat. Życie zamarło w ich miękkiem spowiciu. — Natura odpoczywa w rozkosznej martwocie snu.

I razem z tą ciszą snu natury zeszło na ludzi najcudowniejsze objawienie, jakie kiedykolwiek ujrzał świat: — Boże Narodzenie! Ucichną wszystkie burze i walki, i troski, bo na ziemi pokój ludziom dobrej woli. — Niech będzie pokój spracowanym, twardym rękom, — pokój oczom, które zmęczyły łzy, — niech będzie pokój wszelakiej ludzkiej doli! —

I ze słowami pokoju wchodzi do duszy ludzkiej zwolna rzewny czar. Objawia się w nim wola Boża, która chciała, aby każdy ból miał chwilę pociechy, — aby łzę każdą otarła litościwa dłoń.

Niech objawi się i na tobie cud woli Bożej, niech będzie ci pokój ziemio, przesiąknięta łzami i krwią. Niech w roku pokuty twej choć jeden dzień będzie jasny! Co dzień na ziemi naszej przybywa nam żałobnych pomników. Święcimy im łzę skrytą i nowej pracy imamy się niestrudzonemi dłońmi, wierząc, że bliskie jutro, które będzie końcem pokuty. — Wiara ta jest źródłem owej tajemnej mocy, która nas niezwyciężonymi czyni. — Ona nas czyni apostołami naszej idei narodowej.

Więc niech w dniu najcudowniejszego objawienia ludzkości, wiara ta żywiej napełni serca nasze. — Niech z duszy do duszy płynie pieśnią radosną, i umacnia osłabłych i krzepi zwątpiałych. Niech siły nam doda na całoroczny znój, nie owej wybuchowej siły żalu, lecz tej, co wytrwale do codziennej, szarej wraca pracy na ojczystym zagonie.

Historya zaskoczyła nas niegotowych do walki, którą się prowadzi nie mieczem, lecz młotem, oskardem i kielnią. Przez lat setki chętniej krwi przelewaliśmy strumienie, — niż krople potu. Więc kiedy przyszło walczyć o pole pracy, o każdy zagon roli i o cegłę każdą, mieliśmy trud podwójny: ucząc się pracy i walcząc o nią. Dziś po niezliczonych stratach i zawodach nauczył nas wiek, jak walczyć w niekrwawym boju, broniąc rodzinnych zniczów. I choć dzieło obrony wpół dokonane dopiero, — dokończeniu jego poświęcimy nowy wiek pracy. Aby nam ręce nie opadły wśród trudu, niech orzeźwi piersi nasze czar świątecznego nastroju, — niech na nowy wiek pracy krzepi siły nasze wiara w Betleemską gwiazdę, bo i narody mają swoje — Narodzenie Boże. — W tej myśli więc: „Dosiego roku!"

Redakcya.

Naszemu Więźniowi!

Dziś pod strzechą każdą rozdziela się promyk Betleemskiej gwiazdki, niosąc ze sobą pociechę. — Zbliża on serca, które przylgnęły do siebie i wśród rodzinnych ścian łączy drogie osoby. — Jeżeli zaś braknie kogoś wśród ro[illegible]
obecni łączą się [illegible]
poświęcając mu w[illegible]

Dziś zbrakło Ciebie wśród nas i wśród rodzinnego koła Twego, które osierocone, płacze po Tobie. Smutną Gwiazdką obdarzył rok ten dwie rodziny Twoje: jednę zgromadzoną przy opustoszałem Twem ognisku domowem — drugą nas: społeczeństwo Twoje i te szeregi straży jego przedniej, w których Ty stałeś!

Obiedwie rodziny te dzielą się dzisiaj opłatkiem z Tobą — niepocieszone.

I my jesteśmy w smutku myślą przy Tobie — pocieszając się błogą nadzieją, że i Tobie już wkrótce zabłyśnie gwiazda wolności.

Szeregowcy.

Względy na względy.

Koło polskie w parlamencie niemieckim wniosło nareszcie po długich naradach i niemniej długiem wahaniu interpelacyą w sprawie wrzesińskiej. Przyszła ona już pod obrady, o czem pisaliśmy w ostatnim numerze; gdy tedy numer niniejszy znajdzie się w rękach czytelników, już będziemy wiedzieli, co reprezentacya narodu niemieckiego sądzi o tej dziś w całym świecie cywilizowanym tak głośnej sprawie, o tym tak dobitnie a jednomyślnie przez świat potępionym wybryku nowoczesnej... „pedagogii“ pruskiej.

Interpelacyi dano takie brzmienie:

„1) Czy jest wiadomem p. kanclerzowi, że zajścia we Wrześni nietylko u nas, ale i za granicą sprawiły poruszenie, *które zdolne jest uszczuplić powagę rzeszy niemieckiej?*

2) Jakie stanowisko zajmuje p. kanclerz wobec tej sprawy“?

Brzmienie to dziwne, nieprawda? Sprawia ono wrażenie, jakoby interpelantom chodziło nietyle o krzywdę biednych dzieci wrzesińskich, o krzywdę całego ludu polskiego, ile o *powagę i znaczenie rzeszy niemieckiej,* o to, aby sprawa wrzesińska nie *zaszkodziła* powadze i znaczeniu rzeszy...

Słusznie też pospieszono z Kół poselskich zaraz z wyjaśnieniem, a raczej *uniewinieniem* tej dziwnej, a niesmacznej dla nas formy interpelacyi.

Koło — jak czytamy w odnośnych korespondencyach do pism codziennych — wiedziało, że taka forma, takie brzmienie interpelacyi nie znajdzie uznania wśród ludności polskiej, że wywoła nawet pewne zdziwienie. Inaczej atoli zredagować jej nie mogło. A dlaczego? Odpowiedź na to pytanie mieści się w wykazie posłów, którzy interpelacyą podpisali. Oto obok 15 polskich posłów i kilku Alzatów podpisało tę petycyą *38 posłów centrowych.* Bez podpisów centrowych Koło interpelacyi wnieść nie może, bo do tego potrzeba 30 podpisów. Centrowcy zaś oświadczyli gotowość udzielenia swych podpisów tylko pod warunkiem, jeżeli interpelacyi nadane zostanie takie, a nie inne brzmienie. Koło musiało się więc zgodzić na taką formę — i to nietylko ze względu na liczebną słabość swoją, ale także z innych jeszcze względów.

Gdyby bowiem zwlekało było dłużej, byliby zainterpelowali rząd rzeszy w tej sprawie... *Wszechniemcy* pod wodzą Hassego. Wtedy zaś ci byliby występowali niejako w roli *oskarżycieli* Polaków, a posłowie nasi byliby dostali się w przykre położenie owego jagniątka, któremu to wilk zarzucał, że mu wodę mąci. A rola takiego jagniątka jest nietylko w bajce, ale i w dzisiejszej polityce bardzo niewdzięczną, bardzo smutną. Dziś popłaca tylko zasada naszych najserdeczniejszych, która brzmi: „Die beste Deckung ist der Hieb!“ Ale i bez tego byłaby interpelacya Wszechniemców zepchnęła Polaków na fałszywe stanowisko, byłaby z tych, którzy mają najświętsze prawo skarżyć się i oskarżać — zrobiła — oskarżonych.

Zdaje się — niestety — że tej tylko okoliczności mamy do zawdzięczenia, iż wogóle interpelacya została wniesioną — Koło bowiem, jak już zaznaczyliśmy — wahało się, czy podjąć w tej sprawie jakiekolwiek kroki parlamentarne. Wahania tego nie pojmujemy, chociaż je korespondenci z łona Koła tak pięknie i czułemi słowami wyjaśnić nam się starali, a nawet uzasadnić. Część posłów naszych z prezesem księciem Radziwiłłem na czele nie spodziewała się po niej żadnych dodatnich skutków, co więcej, obawiała się, że niezupełnie pomyślny rezultat interpelacyi łatwo osłabić może potężne, a dla nas bardzo korzystne wrażenie, jakie w całym świecie wywołała sama sprawa wrzesińska. Być może, że najbardziej zniechęcił Koło do poruszenia tej sprawy wynik interpelacyi w sprawie adresów polskich.

Względy i względy — pełno ich na każdym kroku, a są one niby kula u nogi naszej parlamentarnej polityki.

I my nie łudzimy się co do faktycznych skutków nowej tej interpelacyi, wiemy dobrze, że systemu pruskiego wobec nas zmienić ona nie zdoła, a jednak na to wahanie bynajmniej się nie godzimy.

Moralne zwycięztwo będzie i w tym wypadku po naszej stronie, a przynajmniej powinno być po naszej stronie. A w braku materyalnych zwycięztw i sukcesów na razie moralnemi zadowolić się musimy. Na pozór — nie mają one żadnego ważniejszego znaczenia; im więcej ich atoli będzie, tem rychlej mogą stać się owemi kroplami, które nawet kamień najtwardszy wyżłobić zdołają. I centrum przez wiele, wiele lat podczas walki kulturnej jedynie takiemi moralnemi zwycięztwami zadowalać się musiało. A jednak w końcu dopięło celu.

Rozmiary sukcesu tej interpelacyi byłyby bezwątpienia większe, gdyby interpelacya sama inną miała formę, inne brzmienie. Forma, jaką jej nadano ze względu na centrum, musi krępować swobodę naszych

posłów, musi im nakładać pewne pęta. Między innemi szydzi z niej berlińska „Nat. Zeitg.“ — wskazując na to, że Polacy gwałtem narzucają się na *stróżów powagi rzeszy niemieckiej* na zewnątrz.

To ułatwiło bardzo odpowiedź hrabiemu Bülow'owi — i to także zawdzięczamy znów względom na centrum.

Jesteśmy zdeklarowanymi zwolennikami taktyki *zaczepnej* — na arenie parlamentarnej. Tylko taka taktyka zdoła powetować brak sił liczebnych po naszej stronie. Dowiedzieliśmy się zaś z zwierzeń posła dr. Dziembowskiego, że taktyka ta i w Kole ma zwolenników. Tembardziej tedy ubolewamy, że właśnie rozmaite względy nakładają Kołu naszemu pewne pęta co do takiej taktyki.

Pęta te trzeba usunąć, jeźli wiecznie nie mamy się obawiać, że rezultat naszych skarg w parlamencie może być raczej ujemnym, niż dodatnim. Przedewszystkiem trzeba się wyzwolić z zależności naszej od centrum, przedewszystkiem trzeba się starać o to, ażebyśmy mogli wnosić w parlamancie interpelacye *polskie*, a nie polsko-*centrowe*.

A na to środek i sposób tylko jeden i na ten wskazuje już „Praca“ od dawna. Należy oto skupić pod sztandarami polskiemi całą ludność polską od Bałtyku do Mysłowic, wcielić do ciała narodowego także *Ślązk polski*. Dziś mamy posłów tylko 14, chociażbyśmy tedy chcieli, bez pomocy centrowców obyć się nie możemy. Bo nawet u Alzatów i Welfów nie zdołamy zebrać 16 podpisów. Łatwiejszem to zaś będzie, gdy będziemy sami liczyli w parlamencie posłów 22 lub 24 — a taką liczbę mieć możemy. Wtedy 8 lub 6 podpisów znajdziemy łatwo — bez pomocy centrowców.

O własnych siłach przecie przeprowadziliśmy już w Księstwie i w Prusach Zachodnich posłów 16 a nawet 17. Reszty dostarczyć musi Górny Ślązk. Zatem wytężenie wszelkich sił naszych w dwóch północnych dzielnicach i przyłączenie do Koła polskiego Starej-Polski czyli Ślązka. To jedyny sposób, ale też niezawodny na skruszenie dzisiejszych pęt centrowych, ciążących nietylko nad Ślązkiem, ale — jak widzimy, nad całym zaborem pruskim.

Pomoc centrowa staje się dla nas coraz bardziej iluzoryczną. a nawet, jak w tym wypadku jest niby owem przysłowiowem, kwaśnem jabłkiem. Słyszymy już, co powiedzą na to nasi bezwzględni zwolennicy sojuszu z centrum. Powiedzą, że w takim razie centrum usunie się zupełnie od popierania naszych skarg, naszych interpelacyi. Tym odpowiadamy: cóż z tego? Jeźli to centrum nie znajdzie w sobie tyle obowiązku i poczucia sprawiedliwości, iżby potępiało wołające do nieba o pomstę krzywdy, w takim razie niech milczy! Sprzymierzeniec taki na nic nam się nie przyda. Musimy ot postawić się tak, aby nasze, własne nasze skargi przemawiały głośno i przekonywająco do sumienia narodu niemieckiego, do opinii Europy. Jeźli mają cel ten osięgać zawsze tylko na szczudłach centrowych, w takim razie lepiej wcale ich niewytaczać. Zbyt drogo bowiem płacić musimy za takie szczudła, a zysk z nich płynie wyłącznie do kieszeni centrowej.

Od posłów naszych w Berlinie żądać musimy, ażeby śmiało i otwarcie wypowiadali nasze skargi i oskarżali rząd pruski, aby nie liczyli się przytem z żadnemi względami. Tylko wtedy bowiem będą rzeczywistymi rzecznikami praw ludności polskiej. My zaś wszyscy, całe społeczeństwo polskie — starać się powinno, ażeby posłowie z żadnemi względami liczyć się *nie potrzebowali*. Drogę do tego wskazywaliśmy już często i dziś znów wskazujemy.

Narodowiec.

Przestańcie się płaszczyć!

Młodość ma swoje prawa. Trudno wymagać od młodzieży, ażeby zapatrywała się na świat i życie okiem chłodnej rozwagi, bo tę daje dopiero życie późniejsze, daje doświadczenie, okupione zawodami. Wiek młody powoduje się i kieruje sercem i uczuciem, gorąca krew młodości rodzi zapał i ochotę życiową. War młodości sam wykipieć, wyszumieć musi; kto przedwcześnie, sztucznym sposobem ostudzić go usiłuje, krzywdzi nietylko młodzież, ale i całe społeczeństwo, do którego ona należy, bo wraz z tym warem krwi młodzieńczej ostudza jej zapał, spacza jej charakter i odbiera jej najpotężniejszą siłę do znoszenia przeciwności życiowych.

Szczęśliwy naród, którego młodzież okazuje zapał do wszystkiego, co piękne i szlachetne, bo tylko z takiej młodzieży zdoła życie urobić ludzi i obywateli, pojmujących godnie swe narodowe i społeczne obowiązki. I chociażby zapał ten niekiedy objawiał się na zewnątrz w zbyt gwałtownej, drastycznej nawet formie, mniej w tem złego, niżby spętany sztucznemi więzami „rozwagi“ usypiał i karłowaciał w ukryciu.

Młodzież polska zawsze odznaczała się krwią gorącą i wielkim zapałem dla spraw narodowych. Bywały chwile, gdy ta krew gorąca popychała ją do czynów, które później sama za „nierozważne“ uważać musiała. Inna rzecz, czy były one rzeczywiście szkodliwemi dla narodu? Na to potakująco odpowiedzieć nie można. Bo chociaż czyny takie i porywy krwawo i gorzko potem odpokutować było trzeba, to jednak były one posiewem lepszej przyszłości dla całego narodu. Ludzie chłodnej rozwagi biadali nad niemi; kto wie atoli, czy bez tych czynów i porywów bylibyśmy dziś tem, czem jesteśmy. Żelazo w ogniu zamienia się na stal, duch narodowy nabiera hartu w walce i cierpieniach. I nie cierpienia go zmogą, lecz zmoże go gnuśność, bezoporne poddawanie się losom, wyrzeczenie się ideałów. Gdyby nie owe przejścia straszne i bolesne — zgotowane nam krewkością młodzieży naszej w ubiegłem stuleciu, możeby nam dziś zabrakło siły i wytrwałości do znoszenia jeszcze cięższych ciosów.

Z posiewu gorącej krwi i zapału młodzieży naszej, z tych rzekomo „nierozważnych“ jej porywów wyrośli najwięksi mocarze ducha polskiego, owi geniusze, którzy płomiennem słowem nowe tchnęli życie w skołataną nieszczęściami duszę narodu, którzy wywalczyli nam jedno z pierwszych miejsc w rzę-

dzie narodów kulturalnych i głośno i potężnie świadczyli i świadczą przed całym światem, że żyć będziemy, bo mamy *prawo* do życia. A dalej — porywy te stały się prawdziwą nicią złotą, wiążącą przeszłość naszą z teraźniejszością i przyszłością.

Dziś, jak już rzekliśmy, dola nasza, a przynajmniej dola znacznego odłamu narodu naszego, jest niemal cięższą, niż była w najboleśniejszych chwilach zeszłego stulecia. Znosimy ciosy dotkliwsze jeszcze, a niemożemy nawet zaprotestować przeciwko nim w sposób, jak to czynili ojcowie i dziadowie „za młodu". Trzeba cierpieć z zaciśniętemi rękoma i zębami, a to jest rzeczą łatwiejszą dla starszych, niż dla młodszych. Gorąca krew młoda burzy się i kipi w tych strasznych okowach, radaby je zerwać, lecz sama już czuje, iż na dawny sposób nie można. Serce młodzieży naszej odczuwa podwójnie każdy ból całego narodu, więc dziwić mu się nie można, że nieraz szuka ujścia dla bólu tego na zewnątrz, że daje mu wyraz dobitny, wymowny, chociaż znów nie po myśli starszych, „rozważnych".

Takim wyrazem bolesnego rozdrażnienia naszej młodzieży były ataki na konsulaty niemieckie we *Lwowie* i w *Warszawie*. Można się na takie manifestacye nie godzić, można z rozmaitych względów nad niemi ubolewać, ale nie należy im się dziwić, a już wcale nie potępiać jako czyny niegodne młodzieży polskiej, nawet hańbiące.

A jednak znalazły się głosy w prasie naszej, które tak oceniły i „napiętnowały" te głośne wyrazy bólu młodzieży naszej. Co więcej — niby dla uniewinienia tej młodzieży — jak gdyby ją uniewiniać trzeba — przypisano je wpływom postronnym. Dwa polskie organa: „Dziennik Pozn." i „Czas" krakowski dały wyraz przypuszczeniu, — że manifestacye te były owocem... pokątnej roboty agentów prowokujących naszych wrogów...

Nie chcemy postępowania tych pism nazwać po imieniu, gdyż na to potrzebaby zbyt jaskrawych i dosadnich wyrażeń. Ale i milczeniem zbyć tego nie można. Jakże nisko cenią one tę biedną młodzież naszą! W wyobraźni tych dwóch organów — to tłum bezrozumny, pozbawiony nawet instynktowego poczucia, dozwalającego mu odróżniać złe od dobrego, przyjaciela od wroga. Czyż zasłużyła na takie traktowanie młodzież nasza, która w ostatnich czasach dała aż nadto dowodów obywatelskiego zrozumienia stosunków naszych, jeźli już nie obywatelskiej dojrzałości?

A z jakiej to przyczyny spotkała ją z tej strony ta gorzka i upokarzająca krytyka? Oto jedynie z trwogi przed sroższym jeszcze gniewem wrogów naszych, którzy jeszcze z pobocznych względów okazują dla nas pewną wyrozumiałość. Jedynie dlatego uznano za potrzebne płaszczyć się znów przed obcymi i rzucić kamieniem na tę młodzież polską za to, że ośmieliła się dać silniejszy wyraz swej boleści i do głębi obrażonym najświętszym swym uczuciom...

Jaką to pragnęlibyście mieć młodzież naszą? Czy wolelibyście, ażeby zamiast myśleć o Ojczyźnie i narodzie, odczuwać wszelkie jego cierpienia żywem tętnem gorącego serca — brnęła w bagno trującej duszę i ciało nowoczesnej teoryi o nadczłowieku lub w objęciach socyalizmu drwiła z Boga i Ojczyzny?

Wątpimy — a więc nie płaszczcie się w tak wstrętny sposób, nie poniżajcie dla bezsensowej dyplomacyi dzielnej młodzieży naszej!

My ją wolimy taką, jaką jest, jaką się znów okazała z okazyi sprawy wrzesińskiej. Chociażbyśmy i następstwa tych jej manifestacyi znów odpokutować mieli, to snadnie to przebolejemy, widząc w takiej młodzieży zabezpieczoną przyszłość naszą. Bo odrodzi się ona jedynie *z siły ducha, z krwi gorącej i zapału dla sprawy narodowej, z krzywd i przejść ciężkich, z wytrwałości i odwagi w złej doli* — a nie z płaszczenia się nikczemnego i z fałszywej — obłudnej dyplomacyi.

My wołamy: Cześć dzielnej młodzi naszej! *Poznańczyk.*

In hoc signo vinces!

Pod znakiem krzyża zwyciężysz! Obietnicę tę dał Chrystus w cudownem zjawisku — jak niesie podanie — cesarzowi rzymskiemu Konstantemu, gdy tenże toczył zaciętą walkę z innymi pretendentami do tronu. I cesarz Konstanty zaufał tej obietnicy, zatknął krzyż na sztandarach swoich i... zwyciężył, a z nim zwyciężyło chrześciaństwo.

Podobną obietnicą, podobnem zjawiskiem stała się dla nas sprawa wrzesińska. Cesarzowi Konstantemu ukazał się krzyż na niebie, krzyżem dla nas chociaż nie na niebie — lecz na ziemi, jest zajście we Wrześni oraz jego epilog, wyrok gnieźnieński. Zaburzenia przed szkołą powstały o naukę religii, o wiarę dzieci, z troski o ich wychowanie religijne, oraz o plagi, jakie poniosły w obronie polskiego pacierza. Krzyżem dla dzieci był i jest system pruski, krzyżem dla rodziców i dla całego narodu wyrok gnieźnieński. Krzyż ten pojawił się na naszym widnokręgu nagle i niespodziewanie, gdyśmy już nieomal pogrążali się w zwątpieniu. Podjęliśmy go, podnieśliśmy wysoko, zatknęliśmy go na sztandarach naszych — i oto już odnieśliśmy zwycięztwo.

Bo czyż zwycięztwem i to świetnem zwycięztwem na całej linii nie można nazwać skutku, jaki wyrok gnieźnieński wywołał?

Trybunał pruski, wymierzając oskarzonym tak dotkliwe kary — miał zamiar nietylko dotkliwie ukarać winnych, ale także przerazić całe społeczeństwo polskie, odebrać Polakom raz na zawsze odwagę i ochotę do energiczniejszej opozycyi przeciwko systemowi szkolnemu, przekonać ich, że rząd pruski nie cofnie się przed niczem w obronie swych zarządzeń. A szowinistyczne pisma niemieckie — wraz z niemi zaś może i sfery rządowe spodziewały się zapewne, że po takim wyroku zalegnie dzielnice polskie grobowa cisza, że lud popadnie w większe jeszcze przygnębienie, że straci resztę otuchy i nadziei. Za tem przemawiają wszelkie głosy prasy niemieckiej.

A tymczasem, co się stało?

Zamiast wywołać przygnębienie — wyrok stał się podnietą i pobudką dla polskiej ludności w zaborze pruskim. Jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej ogromne ożywienie ogarnęło całe społeczeństwo; zerwało się jak wicher straszne oburzenie i zrodził się święty zapał nawet w sercach, które już drzemały, już zarażone były marazmem i zgnilizną. Zapał ten nie poprzestał na niebywałej wprost ofiarności dla ofiar sprawy, ale przeniósł się we wszystkie dziedziny naszego narodowego, społecznego, politycznego i ekonomicznego życia. Czuć go i widać wszędzie, stargane już ciężką walką, mięśnie i ner-

wy ludności polskiej, wyprężyły się do nowych wysiłków na każdem polu. Weźmy ot tylko drobny przykład: Jakże trudno było przekonać szerokie masy, że wobec srogiej walki ekonomicznej, jaką przeciwko nam wytoczono, powinny popierać tylko i wyłącznie *swoich*. Najognistsze nawoływania nie odnosiły pożądanego skutku; znaczna liczba Polaków zawsze jeszcze zanosiła grosz swój do obcych, tuczyła nim i bogaciła wrogów swoich. A teraz? Już oto pojawiają się skargi niemieckich kupców i niemieckich przemysłowców, że jeszcze jedno takie „zwycięztwo" pruskiej kultury i systemu pruskiego, a przyjdzie im o kiju żebraczym opuścić polskie dzielnice. Wyrok gnieźnieński bowiem odstręczył im nawet tych polskich odbiorców, którzy głuchymi dotychczas byli na nawoływania polskiej prasy, obojętnymi na niedolę własnego społeczeństa. Tak oto wyrok ten zatrzyma krocie w polskich kieszeniach i nawet materyalnie wzmocni siły nasze.

A po za zaborem pruskim?

Tam podobny zapał objawił się w całej pełni. Z troską i niepokojem spoglądaliśmy do niedawna na coraz większe, jakoby wzajemne zobojętnienie trzech zaborów. Nie brakło smutnych objawów, przemawiających za tem, że rozdzieleni na trzy części synowie jednej matki, tracili powoli poczucie nierozerwalnej łączności, że każda część wysuwała na pierwszy plan specyalnie własne cele i interesy. Zdawało się, że coraz mniej się znamy, coraz mniej się rozumiemy. Jakże trudno np. było pobudzić wiedeńskie Koło polskie choćby do takiego ujęcia się za nami, na jakie pozwalało jego stanowisko prawnopaństwowe. A tu, zaledwie iskra elektryczna rozniosła wieść o wyroku gnieźnieńskim, zadrgało jedną myślą, jednem uczuciem serce całego narodu. Od razu zapomniano o dzielących nas sztucznych granicach, o własnych specyalnych interesach, ponad partykularystyczne dążenia zagrzmiał potężny, spiżowy głos rozbudzonego *ducha* polskiego, podano sobie poprzez granice dłonie bratnie i cały naród znów uczuł się — jednym niepodzielnym narodem. Nawet wiedeńskie Koło polskie zapomniało o względach pana Koerbera, o swej wysokiej dyplomacyi, i niezważając na miotanie się stronnictw niemieckich, nietylko również pospieszyło z datkami — ale nadto zapowiedziało w tej sprawie akcyą parlamentarną.

Jakaż to pociecha, jakaż otucha, jakie pokrzepienie dla nas w ciężkiem naszem położeniu! Nie możemy czuć się bezsilnymi, skazanymi na zagładę, gdy za nami stoi tak wiernie cały dwudziestomilionowy naród polski.

A po za Polską?

Zamieszczając w przeszłym numerze artykuł pod tytułem: „Przed forum całego świata" nie przypuszczaliśmy, iż to forum tak rychło, tak dobitnie wypowie zdanie swoje, sąd swój o wyroku gnieźnieńskim, że się chociaż moralnie tylko tak ujmie za nami. Zadrgały boleścią i oburzeniem serca całej *Słowiańszczyzny;* w parlamencie wiedeńskim pierwszy Czech, Holański — potępił system pruski, a we wszystkich krajach i szczepach zbierają na rzecz ofiar składki, które hojnie płyną. Nawet niechętna nam część prasy rosyjskiej uderzyła w serdeczny ton współczucia. I ot nowa otucha: stoi za nami nietylko cała Polska, ale i cała Słowiańszczyzna.

A w innych krajach?

I tam wyrok gnieźnieński wywołał prawdziwe zdumienie. Dowiedziano się, a raczej przekonano się, że rzeczywiście w sercu Europy, w państwie, które w misyi kulturalnej i cywilizacyjnej wprost narzuca się innym na przodownika, zachodzą rzeczy, które nie zgadzają się z cywilizacyą i kulturą, że bledną wobec nich nawet rządy Anglików w Południowej Afryce. I tam wydano bardzo surowy sąd o systemie pruskim, wyrażono nam współczucie, a zarazem powzięto — *właściwe* wyobrażenie o kulturze niemieckiej. Nie potrzeba bynajmniej przeceniać rozmaitych objawów, jakie za granicą wywołał wyrok gnieźnieński, a mimo to można śmiało twierdzić, że zaszkodził on Niemcom w opinii świata więcej, aniżeli nawet — wyprawa hr. Waldersee'go do Chin i to wszystko, co się z nią wiązało i łączyło. Przypomniano nas sobie znowu, a w ślad za tem przypomnieniem może się poruszy także *sumienie* Europy. I to wielki dla nas sukces, sukces, jakiegośmy już dawno nie odnieśli.

A w Niemczech? Szowinistyczna prasa niemiecka szaleje wprawdzie z złości i gwałtem chce wmówić w szowinizmem zarażone społeczeństwo niemieckie, że to słuszna kara za nasze buntownicze usposobienie. A jednak po przez ten szał złości i nienawiści nie trudno dostrzedz objawów, że i tam zaczyna się coś ruszać i budzić, jeźli już nie sumienie, to w każdym razie pewien niepokój, ażali obecny system pruski nie posuwa się za daleko? To w połączeniu z głosami opinii świata może też wreszcie sprowadzić opamiętanie, jakiegobyśmy innemi sposobami nigdy osięgnąć nie zdołali.

Nie łudźmy się bynajmniej, iżby opamiętanie to nastąpiło zaraz; bynajmniej. Ale sprawa wrzesińska łatwo stać się może punktem przełomowym, początkiem pewnego a pomyślniejszego zwrotu, owym kamykiem, który tocząc się z góry, porywa za sobą coraz większe głazy!

Tak tedy to, co miało stać się dla nas ciężkim ciosem, dało nam niebywałe zwycięztwo! A Opatrzność znów nam jasno wskazała — że za grzechy nasze jedynie w *krzyżu zwycięztwo*, że tylko przez łzy i mękę dobić się możemy lepszej przyszłości.

Weźcie na barki wasze krzyż Zbawiciela — a zwyciężycie! Tak woła do nas wyrok gnieźnieński. Bolejemy wszyscy porówno z ofia-

rami procesu, lecz kto wie, czy nie nadejdą jeszcze czasy, w których zarówno te ofiary, jak i dzisiejszą mękę naszą błogosławić będziemy.

Z otuchą spoglądajmy w przyszłość! Nie trwożmy się! Niechże system pruski zwala na nas więcej takich krzyżów — my z ochotą dźwigać je będziemy, bo i nam dziś oto wskazała Opatrzność jasno i wyraźnie, że

pod znakiem krzyża zwyciężymy!

Patryota.

Widmo panslawizmu.

Sędziowie gnieźnieńscy, wydając surowy wyrok na rzekomych „buntowników“ wrzesińskich, nie przypuszczali zapewne, jaką to burzę wywoła wyrok ten w całym świecie, a najmniej już, że na tle tej burzy ukaże się zawsze groźne dla Niemców... widmo *panslawizmu.*

Gdy w odpowiedzi na wyrok gnieźnieński posypały się hojne składki dla ofiar procesu Galicyi i w innych krajach słowiańskich Austryi, gdy we Lwowie wyprawiono demostracyą przeciwko konsulowi niemieckiemu, gdy czeskie, słowiańskie i chorwackie rady miejskie uchwalały rezolucye, potępiające pruski system antypolski, i gdy nawet w wiedeńskiej radzie państwa Czech Holańsky napiętnował ostro ten system — prasie niemieckiej już to było bardzo nie na rękę, lecz drwiła jeszcze z tych objawów, a nawet brutalnie żądała od rządu niemieckiego, aby *zmusił* rząd austryacki do przytłumienia tych antipruskich demonstracyi. Nadrabiała jeszcze miną nawet, gdy także w prasie francuzkiej, angielskiej i włoskiej odezwała się ostra krytyka postępowania rządu i władz pruskich względem Polaków. „Wara zagranicy do naszych spraw wewnętrznych“ — wołała — my drwimy z sądu zagranicy i ani na krok nie odstąpimy od naszej antipolskiej praktyki. Przeciwnie jeszcze energiczniej zabierzemy się do germanizacyi „wschodnich dzielnic.“

Ale buta ta znikła nagle i ustąpiła miejsca wyraźnemu zaniepokojeniu, gdy oto zaczęły napływać wieści z Królestwa i z Rosyi... Wiadomo, że wyrok gnieźnieński oburzył nawet niechętną Polakom szowinistyczną prasę rosyjską: że nawet ta prasa dała wyraz oburzeniu swemu, wiadomo, że rząd rosyjski pozwolił zbierać składki na ofiary wrzesińskie, i że składki te zbierają także pisma rosyjskie. Ale na tem nie koniec.

Najbardziej przeraziło prasę niemiecką najście studentów warszawskich na tamtejszy konsulat niemiecki. Faktem jest, że wobec zajścia tego demonstracya lwowska była farsą tylko. W Warszawie wybito konsulowi wszystkie okna i to nietylko w biurze, ale i w prywatnem mieszkaniu, nawrzucano mu do mieszkania stosy kamieni i zgniłych jaj, nadto zdarto i rozbito orła pruskiego.

Na wieść tę prasa niemiecka formalnie *osłupiała.* Jakże to mogło się stać pod okiem policyi rosyjskiej — pytają pełne trwogi *„Tägl. Rundschau“* i *„Deutsche Zeitung“?* Toć policya ta umie utrzymać w karbach młodzież uniwersytecką, zwłaszcza polską. W Warszawie uważa się już za zbiegowisko, gdy kilkunastu studentów przechadza się wspólnie po ulicach, wprost z sali wykładowej porywa się młodzież do więzienia za lada przewinienie — i niejeden z studentów znikł już w więzieniu bez śladu. Jakże więc możliwie, że pod okiem policyi mógł się zebrać tłum kilkotysięczny i dopuścić się takich wybryków? Fakt, że naczelnik policyi i prokurator przybył na miejsce zajścia dopiero po kwadransie, gdy już było... po wszystkiemu, nasuwa myśli wcale poważne. Snać *umyślnie* przymrużono czujne zawsze oko, umyślnie pozwolono młodzieży wyhasać się porządnie; toć oburzenie jej zwracało się teraz tylko przeciw.... Niemcom. A Niemców nienawidzi naród rosyjski tak samo, jak reszta narodów słowiańskich....

Ot mamy nowe *widmo panslawizmu* — snują dalej wątek smutnych tych rozmyślań rzeczone gazety. Jeźli coś podobnego mogło się stać po zjeździe w *Gdańsku* i po wizycie cesarza w *Wisztyńcu*, to źle to jakoś świadczy o naszym stosunku do Rosyi. Ostatecznych swych refleksyi i wniosków oba pisma nie wypowiadają — ale łatwo wyczytać je można między wierszami: oto ten imponujący objaw *solidarności słowiańskiej* — zatrwożył je ogromnie i popsuł im całą radość z wyroku gnieźnieńskiego.

Prasa hakatystyczna nawołuje jeszcze do nowych środków i zarządzeń antypolskich, stara się przekonać Austryą i Rosyą, że te objawy łączności i jedności polskiej zagrażają wprost także obu tym państwom — ale snać braknie jej już wiary zarówno w skuteczność tych środków, jak i tych nawoływań. *Widmo panslawizmu* zaciężyło nad opinią niemiecką, jak *zmora* i odbiera jej dobry humor. Może też przemówi do niej wyraźniej, niż.... głos sumienia.

Niemcy prócz Boga — boją się podobno tylko jeszcze *Rosyi i Słowiańszczyzny.* Niechże tedy ten niespodziewany sukces wrzesińskiej sprawy stanie się dla nich wymowną przestrogą!

Dla nas zaś powinien się stać ważną i pouczającą *wskazówką.* Mądremu dość na słowie...

Słowianin.

Szukają winowajców.

Już w przeszłym numerze podaliśmy kilkanaście głosów prasy niemieckiej w sprawie wrzesińskiej; i w dzisiejszym przytaczamy ich kilka. Niechże jednakże Czytelnicy nasi nie żądają od nas, abyśmy zapoznawali ich z całym stekiem objawiającej się w prasie hakaty złości, brutalności i nikczemności. Nasamprzód jest to materyał tak obfity, że zapełniłby kilka conajmniej numerów naszej „Pracy“ — a powtóre — czytelnikom samym wnetby obrzydła ta lektura. Nieraz bo, czytając gazety szowinistyczne, rozpisujące się o zajściach wrzesińskich, ma się uczucie, iż można

sobie nawet palce pobrudzić ich bibułą.

Nie braknie wprawdzie głosów, które bezstronniej i sprawiedliwiej oceniają te zajścia, ale to nieliczne wyjątki, krople w morzu. Z protestanckich organów ledwie kilka, więcej ich wśród prasy niemiecko-katolickiej. W tym chórze niegodziwości i podłości brzmią one mile dla ucha naszego, a jednak, nie rozczulajmy się zbytnio nad niemi. Nie zapominajmy o tem, że pisma, wyznające jeszcze wiarę katolicką i jej przykazania, nie mogą inaczej zapatrywać się na tę sprawę, muszą nazwać krzywdę krzywdą, zwłaszcza gdy zbyt głośno woła o pomstę do nieba. Możemy być zadowoleni, że jeszcze pewna część opinii niemieckiej nie uległa ogólnej demoralizacyi, ale też dalej się w uznaniu naszem nie posuwajmy, bo łatwo możemy się dostać na bezdroża.

Piszemy to dlatego, ponieważ nie braknie u nas ludzi, którzy zaraz z każdego przychylniejszego głosu prasy niemiecko-katolickiej wysuwają dla nas jakiś obowiązek wdzięczności, którzy zaraz wołają: musimy się z tem liczyć, musimy stosować do tego nasze sprawy i dążności. To wniosek mylny i bardzo szkodliwy. Wiemy przecież, że i Niemcy-katolicy pragną jedynie tego, abyśmy utonęli jaknajrychlej w morzu niemczyzny. Jeśli zaś potępiają gwałty i zbyt jaskrawe wyrządzane nam krzywdy, to spełniają jedynie swój katolicki obowiązek i za to jeszcze nie potrzebujemy płacić poświęcaniem na ich korzyść własnych naszych interesów.

Przypomnienie to może się niejednemu wydawać będzie w obecnej chwili niewłaściwem; ale jest ono potrzebnem ze względu na zbytnią naszą *czułość i tkliwośc* w polityce, przymioty, które nigdy w tej dziedzinie nie popłacają.

Przejdźmy też teraz do prasy niekatolickiej, protestanckiej, konserwatywnej, liberalnej i hakatystycznej. Jak już zaznaczyliśmy, gdy chodzi o Polaków, niema między poszczególnemi temi kategoryami najmniejszej różnicy zapatrywań. Wszystkie one jednakową dyszą względem nas nienawiścią, wszystkie od razu, gwałtem pragnęłyby nas pochłonąć. Wszystkie też dziś w jednaki ton uderzają.

Przedewszystkiem — szukają winowajców. Nie mogą one pojąć, że dziś *cały lud polski* uczuwa bolesne ciosy systemu pruskiego, że oburza się na te ciosy dusza całego narodu, wszelkich jego warstw, od najwyższych do najniższych. Widocznie sądzą po sobie. Ludzie, którzy *dla własnych korzyści* rozbudzili w narodzie niemieckim najgorsze instynkta, którzy większą część narodu swego pozbawili wszelkiego poczucia słuszności i sprawiedliwości, mniemają, że i po stronie polskiej każdy poryw ludu musi być owocem sztucznej agitacyi. Więc szukają agitatorów, szukają „winowajców“. A któż może być takim agitatorem, jeżeli nie ci, którzy z ramienia urzędu swego mają wielki wpływ na lud polski — kapłani! Na nich to wylewają głównie żółć swoją, przeciwko nim żądają najsurowszych ukazów, nawet złamania konstytucyi.

Żądają od kapłanów naszych, aby byli narzędziami germanizacyi. Zarzucają im, że nie pielęgnują wśród ludności *posłuszeństwa dla władz państwowych* i z sprośną perfidyą odwołują się na odnośne słowa pisma świętego. Równocześnie atoli zapominają o tem, że pismo to nakazuje więcej słuchać Boga, niż ludzi. Ale też tym krętaczom niemieckim zdaje się, że ich władza świecka stoi dziś *ponad* przykazaniami Bożemi, ponad Bogiem...

Podobnych przykładów dużo w dziejach świata. Często już ogarniało ludzi takie uroszczenie, taka zarozumiałość, zawsze atoli poprzedzała — *ich upadek.*

I teraz tak będzie, chociaż może nie zaraz, nie w najbliższej przyszłości. My — obdarzeni wielką siłą odporną i niezłomną wiarą w sprawiedliwość Boga spokojnie na to poczekać możemy.

Tymczasem stójmy murem przy tych, którzy cierpieć muszą za nas, na których w pierwszym rzędzie spadają gromy z wrażej ręki: przy kapłanach naszych. Im więcej sroży się przeciwko nim złość szatańska, ubrana w szatę hakatyzmu, tem bardziej kochać i czcić ich powinniśmy, zwłaszcza tych, którzy śmiało i szczerze za nas pierś własną nadstawiają, jak np. zacny ksiądz Laskowski we Wrześni. Miłością naszą osładzajmy ich cierpienia, niech poznają wrogowie, że nie oni tylko są „winowajcami“ według ich pojęć, lecz że winowajcami my wszyscy, winowajcami wobec zachłanności niemieckiej, *a szermierzami i bojownikami wiernymi o prawa Boże, o słuszność i sprawiedliwość!*

Zenon.

Tacy oni....

Znaną jest chyba Czytelnikom naszym bardzo dobrze postać jednego z najgłośniejszych krzykaczów wszechniemieckich w parlamencie austryackim, osławionego Karola Herrmanna *Wolffa.* Wybrany posłem przed mniej więcej sześciu laty, stał się wkrótce obok Schönerera głównym przywódcą Wszechniemców austryackich, a jako taki — zakałą parlamentu wiedeńskiego. Łączył on w sobie wszelkie przymioty swej rasy, a więc bezgraniczną butę, zuchwalstwo, bezwzględność, brutalność i niepohamowaną żądzę panowania. Wszystkich zaś rodaków swoich przewyższał — nienawiścią do Słowian. On to był głównym aktorem niecnej obstrukcyi niemieckiej przeciwko hrab. Badeniemu, on wywoływał owe wstrętne burdy — które zniesławiły parlament austryacki, on to najniegodziwsze miotał oszczerstwa i obelgi na Słowian, a szczególniej na Polaków. Dziki, niesforny — byłby się w każdem innem ciele prawodawczem stał wręcz niemożliwym; wśród Wszechniemców austryackich stał się wkrótce osobistością najpopularniejszą, najbardziej wpływową, co dobitnie charakteryzuje wartość tych ludzi — traktujących Słowian jako „rasę podrzędną.“ Sławą jego rozbrzmiewały całe Niemcy, także po naszej stronie. Zbierano dla niego składki publiczne, uważano go niemal za zbawcę niemczyzny z rzekomej niewoli słowiańskiej. Z nim to niepotrzebnie, przeceniając jego wartość moralną, pojedynkowali się hr. Badeni i poseł polski Gniewosz. On nadawał ton w parlamencie i chadzał w „sławie“, jak w słońcu.

Otóż ten Karol Herrmann *Wolff nie jest* już członkiem parlamentu austryackiego, ani przywódcą Wszechniemców. Wyrzucono go i wykluczono i wypchnięto na śmietnik, dokąd należał już oddawna.

A z jakiej przyczyny?

Oto to bożyżcze Teutonów, ten obrońca „uciśnionej Niemczyzny“ uwiódł żonę swego przyjaciela, profesora Seydla, a potem... okradł ją, jak zwykły rzezimieszek, i okradzioną porzucił. Tak oto postąpił sobie człowiek, który bezustannie zarzucał Słowianom niższość kulturalną, Kościołowi katolickiemu — od którego odstąpił — niemoralność, a którego Wszechniemcy uważali za swą *gwiazdę*, za najdzielniejszego przewodnika....

Już przed tygodniem rozeszła się wieść, że pojedynkował się z profesorem Seydlem, lecz wieść ta nie wzbudziła większego zainteresowania; wiedziano bowiem, jak pohopnym jest ten wódz Wszechniemców do wszelakich burd i bójek. W kilka dni później atoli dowiedziano się, jakie były przyczyny pojedynku, a zarazem, że wskutek zajścia tego zmuszony został złożyć mandat poselski!

Tacy to oni, ci Wszechniemcy, którzy nas Polaków i Słowian uważają za rasę podrzędną....

Świetnie charakteryzuje tę upadłą wielkość niemiecką korespondent wie-

deński krakowskiego „Głosu Narodu.“ Oto, co o nim pisze:

„Karol Hermann Wolff skończył — przynajmniej na długo — działalność polityczną w taki sam sposób, w jaki ją zaczął: skandalem.

„Że w grę wchodzi tutaj nietylko afera pieniężna, lecz i kobieta, więc bliżej nad naturą owego skandalu nie będziemy się rozwodzili. Nie o tego błazna nam zresztą chodzi w tym wypadku. Chcemy na zajściu, jakie się rozegrało w klubie wszechniemieckim, przypomnieć, że ów Wolff pozował przez pięć lat w parlamencie austryackim na przedstawiciela moralności niemieckiej; że rzucał w imię tej moralności gromy na Kościół katolicki; że w imię owej moralności napadał na Koło polskie i na naród polski. Nie kto inny, tylko Wolff i jego towarzysze prawili ciągle o „deutsche Treue“, „deutsche Cultur“, „deutsche Herzensreinheit.“

„Ładna czystość serca, chodząca w parze z nierządem domowym! Ładna kultura, wnosząca błoto pod dach obcych rodzin! Ładna wierność niemiecka, gdzie przysięgi są łamane za przysięgami!

„I czyż dziwić się, że taka figura zmienia religią, niby rękawiczki, że taka figura szarpała pod osłoną nietykalności poselskiej dobre imię jednostek i narodów; że taka figura czerpała z funduszów ciemnych, gadzinowych środki egzystencyi dla siebie i dla swego dziennika.

„Wykluczenia Wolffa z partyi, czyli skazania go na złożenie mandatu domagał się jak najgoręcej sam Schönerer.

„Nie trzeba przecież sądzić, iż ów borbifaks czynił to z pobudek idealnych. Przeciwnie! Grała tutaj rolę pozioma zawiść. Schönerer zazdrościł od samego początku Wolfowi, że tenże potrafił wyróżnić się obok niego krzykactwem i dlatego skorzystał z pierwszej lepszej sposobności, by się pozbyć znienawidzonego współzawodnika.

„Że Wolff w swym upadku nadszarpnął i stronnictwo wszechniemieckie, nie ulega wątpliwości. Pogromcy moralności katolickiej; przeciwnicy spowiedzi w konfesyonale; zwolennicy uszlachetniającego wpływu protestantyzmu mają raz na zawsze usta zamknięte. A gdyby nie chcieli umilknąć, wystarczy rzucić im w twarz jeden wyraz Wolff!“

Tak jest! Opatrzność coraz to ostrzejszą broń daje nam do ręki przeciwko tym, którzy starają się nas zgnębić. Ci, którzy nam zarzucali „polską gospodarkę“, jęczą dziś pod stratami, na jakie ich naraziły... *oszustwa* bankierów niemieckich. Ci, którzy nazywali nas „rasą podrzędną“ — kończą jako wyrzutki ludzkości na śmietnikach.

Tacy to oni, ci wrogowie polskości...

A my żyjemy, cierpimy, ale pełni otuchy spoglądamy w przyszłość!

Bóg nie rychliwy — ale *sprawiedliwy!* *J. K. M.*

Nam na rękę.

Z powodu procesu wrzesińskiego wezwała krakowska „Nowa Reforma“ ponownie kupców i przemysłowców galicyjskich, aby na wyrok gnieźnieński odpowiedzieli zerwaniem stosunków handlowych z Niemcami w Rzeszy a zwłaszcza w Prusach. Nie należy przecie zapychać polskim groszem kieszeni tych, którzy tak się obchodzą z ludnością polską w zaborze pruskim. Wezwanie to nie pozostało bez skutku. W miastach i miasteczkach galicyjskich tworzą się komitety, które mają na wielkie rozmiary zorganizować bojkot wszelkich wyrobów niemieckich a obok tego i bardzo wątpliwej wartości niemieckich płodów i wytworów ducha, któremi również zalewano formalnie Galicyą. Kilkunastu kupców galicyjskich już ogłosiło publicznie, że odtąd nic z Niemczech sprowadzać nie będą.

Akcyi takiej bynajmniej nie przeceniamy, bo napotyka ona na ogromne trudności. Kraj skazany na wyroby przemysłu zagranicznego, w braku własnego, zniewolony jest nieraz brać je ze źródeł najbliższych, bo nawiązanie stosunkow z dalszemi nie da się przeprowadzić bez znacznych nieraz strat i ofiar. Z tej też przyczyny dotychczasowe podobne nawoływania prasy galicyjskiej nie znajdowały należytego posłuchu. Tym razem jednakże — jak się zdaje — zanosi się tam rzeczywiście na akcyą poważniejszą pod tym względem. Musi ona być *zbiorowa*, jeżeli ma ustrzedz zarówno ogół jak i jednostki od strat — a do takiej akcyi *zbiorowej* właśnie się zabrano. Łatwo tedy być może, że chociaż nie wszyscy, to jednak znaczna część eksporterów niemieckich do Galicyi odczuje dotkliwie skutki procesu wrzesińskiego na własnej kieszeni.

Obawia się tego widocznie także prasa niemiecka, bo skwapliwie powtarza wszelkie odnośne wiadomości i na swój sposób stara się odstraszyć Polaków od takiego przedsięwzięcia. Jedno z niemieckich pism poznańskich posunęło się nawet do *pogróżki*, że jeżeli bojkot galicyjski przybierze większe rozmiary, może się boleśnie odbić na ekonomicznem położeniu ludności polskiej w zaborze pruskim, gdyż tu na bojkot galicyjski odpowie ludność niemiecka bojkotem handlu i przemysłu polskiego. I ta pogróżka ma widocznie na celu odwiedzenie publiczności galicyjskiej od powziętego zamiaru.

Oświadczamy tedy i konstatujemy, że pogróżka ta wprost śmieszna i bez znaczenia. Ciekawiśmy rzeczywiście, jakby sfery niemieckie u nas zrealizować ją chciały? Przecie już i dziś bojkotują cały handel i przemysł polski u nas, a bojkotują w sposób wprost bezwzględny. Nieliczne tylko jednostki z pośród Niemców kupują jeszcze to i owo od Polaków, ogół dawno już uległ, nawoływaniom hakaty. A i te jednostki rychlej, czy później pójdą za przykładem ogółu — chociażby nawet Galicya zamiaru swego nie wykonała. Toć hakata dniem i nocą nad tem pracuje, i nietylko napędza gwałtem publiczność niemiecką do sklepów i warsztatów „landsmanów“, ale nawet, po części za pieniądze *rządowe*, pochodzące z ogólnych, a więc także z *polskich* podatków, wszędzie zakłada pod bokiem Polaków konkurencyjne przedsiębiorstwa niemieckie. Niezadługo też u nas Niemiec tylko chyba przez pomyłkę zabłąka się do handlu polskiego. Bojkot galicyjski zatem na nasze położenie i stosunki *najmniejszepo nie zdoła wywrzeć wpływu.*

A jeśli wywrze, to tylko wpływ *dodatni*. Bo oto zawstydzi nawet tych licznych u nas Polaków, którzy jeszcze mimo wszelkich bolesnych doświadczeń, zanoszą grosz polski do Niemców, i skłoni ich do naśladowania dzielnych kupców i przemysłowców galicyjskich. A to tylko na dobre wyjdzie polskiemu handlowi i przemysłowi u nas, wzmocni nasze siły odporne.

Społeczeństwo nasze dawnó powinno było nabrać przekonania, że tylko na własne siły i zasoby dziś liczyć może, że tylko na własnych środkach materyalnych oprzeć może swój byt ekonomiczny. Wyemancypuje się i wyodrębni przez to bardziej jeszcze od Niemców, a to znów wpłynie dodatnio na nasze sprawy narodowe i polityczne, bo usunie owe względy i względziki, dla których wielu z pośród nas uchyla się jeszcze od obowiązków publicznych.

Jeżli ma być wojna, niech będzie wojna otwarta — jawna na każdem polu! To *nam* tylko korzyść przyniesé może. W położeniu, jak nasze, wszelka niejasność i połowiczność jest wprost szkodliwą. Tylko wiara we *własne* siły i należyte sił tych zorganizowanie ocalić nas może.

Tak tedy z politowaniem spoglądać możemy na owe wysiłki prasy niemieckiej, ażeby takiemi pogróżkami odstraszyć Galicyą od spełnienia powziętego zamiaru. Bracia nasi w Galicyi niech się tem nie zrażają bynajmniej. *Nam nie zaszkodzą*, własnemu zaś krajowi i sobie samym dopomogą, bo wyparcie obcych wyrobów musi z konieczności doprowadzić do szybszego i pomyślniejszego rozwoju własnego przemysłu krajowego. *M—ski.*

Echa sprawy wrzesińskiej.

Dla pokrzepienia serc przytaczamy poniżej wszelkie odgłosy, jakie na ziemi polskiej i po za jej granicami wywołał proces wszesiński.

We Lwowie zawiązał się w Kole literacko-artystycznem komitet, który

urządzi olbrzymi koncert na dochód sierót wrzesińskich. Program wieczoru już ułożono i zapewniono sobie współudział najwybitniejszych artystów,

Obecni na zwyczajnem sobotniem zebraniu członkowie Koła, złożyli na ten cel przeszło sto koron.

Prasa warszawska podaje wiadomość o liście Henryka Sienkiewicza w sprawie wyroku gnieźnieńskiego i o demonstracyach antyniemieckich w Krakowie i Lwowie. Również streszczają gazety warszawskie mowę posła czeskiego Holansky'ego w parlamencie austryackim o stosunkach w Poznańskiem.

W Krakowie broszurkę z opisem i ilustracyami z procesu wrzesińskiego na „gwiazdkę“ dla dziatwy polskiej, uchwalił wydać zarząd krak. Koła pań Tow. „Szkoły ludowej.“

We Lwowie odbył się 1 grudnia wiec kobiet celem uchwalenia programu, uroczystego obchodu na dochód dzieci wrzesińskich. Grono kobiet wysłało następujący telegram dziękczynny do pos. Holansky'ego w Wiedniu. Matki polskie dziękują serdecznie Czechowi, który stanął w obronie dzieci polskich, jęczących w pruskim zaborze. Właściciel kawiarni w hotelu Metropol, p. Krzysztof Janowski, ofiarował 1 prc. brutto dochodu na czas od 1 do 15 grudnia. Właściciel apteki p' Wiewiórowski zerwał wszystkie stosunki z dostawcami pruskimi. Z inicyatywy prezydenta Małachowskiego rada miejska uchwaliła dla ofiar wrzesińskich 100 koron, na skazanych gimnazyastów toruńskich również 100 koron. W pensyonacie pani Bielskiej odbyło się posiedzenie komitetu pań celem przyjścia z pomocą ofiarom wrzesińskim. Uchwalono ułożyć protest i wysłać go na ręce pani Maryi *Szeligi* w Paryżu, pani *Giełgudowej* w Londynie i pani *Konopnickiej* we Florencyi, z prośbą o ogłoszenie go w prasie *francuskiej, angielskiej i włoskiej*. Zredagowaniem protestu zajęły się panie Łaszczyńska, Neumanowa, Wolska, Odrzywolska, Lewicka i Wechslerowa.

W Stanisławowie odbył się wiec w sprawie wrzesińskiej.

W Mościskach zawiązał się komitet w celu zbierania składek na ofiary we Wrześni.

We Lwowie, Rozalia Schranel wydała odezwę do matek *żydówek*, aby pospieszyły z datkami na dzieci polskie we Wrześni. — Tak samo Wydział Tow. nauczycieli wydał odezwę do nauczycieli, wzywającą do składania ofiar na fundusz wrzesiński. Tamtejszy kupiec, Tadeusz Górski zerwał stosunki handlowe z Prusami.

W Gorlicach zawiązał się komitet celem zbierania składek na fundusz wrzesiński. Ogłosił on plakatami odezwę Sienkiewicza. Składki przyjmuje także magistrat gorlicki. — Tak samo w *Drohobyczu.* Składki składają chętnie nawet Rusini.

Posłowie czescy wydali odezwę do gmin czeskich z wezwaniem do zbierania składek na rodziny dotknięte z powodu zajść wrzesińskich. Czynią to samo, Słowieńcy i Chorwaci. Jest to wielką, poważną manifestacyą ludów słowiańskich Austryi, manifestacyą, która zacieśni znowu węzeł wspólności wielu naszych narodowych interesów z pobratymczymi ludami Słowiańszczyzny.

W Krakowie „Nowa Reforma“ ogłosiła list sędziwego powieściopisarza T. T. Jeża (Miłkowskiego), w którym nawołuje matki Polki, aby matki całego świata uwiadomiły o postępowaniu Prusaków we Wrześni. Profesor dr. August Sokołowski wygłosił odczyt: „Polityka pruska wobec Polski w XIX wieku“. Dochód przeznaczony na sieroty wrzesińskie. Towarzystwo muzyczne w Krakowie urządza koncert, z którego dochód przeznaczony jest na sieroty wrzesińskie.

Poseł młodoczeski Holansky otrzymał stosy depesz za swe wystąpienie w parlamencie w sprawie wrzesińskiej.

Składki napływają tu obficie, Polacy w Wiedniu złożyli 2 tysiące koron na sieroty wrzesińskie; klub posłów chorwacko-słoweńskich złożył 100 koron, klub południowo-słoweński 70 koron, a klub rusiński uchwalił zbierać składki na sieroty wrzesińskie.

„Ostdeutsche Rundschau“, organ Wszechniemca Wolfa, pisze, że Rosya stara się rozbić przymierze Austryi z Niemcami. W tym celu wpływa przez Polaków w Królestwie na Polaków w Austryi, żeby podburzyć posłów polskich w Wiedniu przeciw trójprzymierzu. Organ Wolfa dodaje, że Rosya w tym celu wyzyskuje także sprawę wrzesińską. *J. K.*

Z bieżącej chwili.

Polacy w dyplomacyi austro-węgierskiej. Przeniesienie hr. Wodzickiego, posła austro-węgierskiego w Sztockholmie, gdzie pozostawał od 2 stycznia 1895 r., na takież stanowisko do Brukseli, nasuwa pytanie, ilu też Polaków liczymy w szeregach dyplomacyi austro-węgierskiej. — W Niemczech, przy poselstwie monachijskiem radcą legacyjnym jest hrabia Wiśniewski. — W Argentynie od 7 września 1900 r. urzęduje jako minister rezydent L. hr. Bolesta-Koziebrodzki. — Drugi hrabia T. Bolesta-Koziebrodzki, jest radcą legacyjnym przy poselstwie w Brukseli. — W Brazylii posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym jest Eugeniusz Kuczyński (od 22 sierpnia 1893 r.), Polak zniemczony, syn radcy sądowego we Lwowie, zabitego w 1863 r. przez sztyletników narodowych. W Kurytybie od 1899 r. jest W. Pohl, uważający się za Polaka, jako konsul, i od 1900 r. p. Jurysowski, jako wicekonsul. — W ambasadzie paryskiej jako sekretarz legacyjny jest Tarnowski, przeniesiony tamże niedawno z Waszyngtonu. — W ambasadzie londyńskiej jest jako attaché Ludwik hr. Badeni. — W Marokko jako wicekonsul A. hr. Stadnicki. — W ambasadzie przy Watykanie L. hr. Starzeński jest radcą legacyjnym i agentem dla spraw duchownych. — W Tebris (Persya) delegatem lekarskim jest dr. med. A. Kłodzianowski. W Bukareszcie major T. Jordan Rozwadowski jest attaché wojskowym. Kanclerzem poselstwa jest Grąbczewski. Konsulem w Konstancyi jest F. Grzybowski. Wicekonsulem w Fokszani Zagórski. — W Odesie wicekonsulem jest p. Biliński; agentem konsularnym na Berdjansk, Marinpol, Nikołajew i Nowosielicę jest p. Sedlaczek, znany w literaturze polskiej pod pseudonimem Zorjana. — W Bejrucie wicekonsulem jest Krakowianin pan Haller; w Durazzo wicekonsulem p. Kwiatkowski. — W Kairze konsulem od 1900 r. jest p. Maryański; wicekonsulem Doliwa-Stępski. — Spis ten — nie rości tytułu dokładności. Niema też w nim personału kancelaryjnego, wśród którego służy także pewna ilość Polaków.

Ogółem można liczyć, iż w służbie dyplomatycznej i konsularnej służy 30 do 35 Polaków. Nie wielka to gromadka, trzeba przecież przyznać, iż hr. Gołuchowski nieznacznie, lecz systematycznie popiera młodzież polską, pragnącą poświęcić się tej gałęzi służby państwowej. Byłoby przecież do życzenia, by i w samem ministeryum spraw zagranicznych urzędnik-Polak był zjawiskiem częstszem. Do tej pory niema ich tam prawie zupełnie!

* * *

Proces przeciw obrońcom oskarżonych w Gnieźnie ma być wytoczony, jak donoszą z Gniezna pismom berlińskim. Prokurator wytoczy śledztwo adwokatowi p. Türkowi za to, że w mowie swej wypowiedzianej w obronie oskarżonych użył wyrażenia „Massenprügel.“ Gdy przewodniczący sądu zganił obrońcy to wyrażenie, odpowiedział mu p. Türk, że wyrażenie „Prügel“ jest w zwykłem użyciu i że otrzymawszy w szkole jako chłopiec chłostę, nie powiadał ojcu, że został cieleśnie ukarany, tylko, że został obity.

* * *

We Lwowie odbyło się w niedzielę, d. 9 grudnia uroczyste odsłonięcie pomnika twórcy Chorału, Kornela Ujejskiego. Ulica akademicka, na której stanął pomnik nieśmiertelnego wieszcza, zaroiła się w dniu tym tłumami publiczności. O godzinie 12 wszedł na trybunę prezydent miasta Małachowski i skreślił

pokrótce dzieje pomnika. Po przemówieniu p. Małachowskiego spadła zasłona. Publiczność odkryła głowy, a chór „Lutni“ zaintonował pierwszą strofkę „Chorału“. Chwila to była bardzo podniosła. Z chórem śpiewała publiczność i słowa modlitwy Jeremiego płynęły ku niebiosom z dziesiątek tysięcy piersi.

Następnie przemawiali poeta Stanisław Rossowski, imieniem młodzieży p. Mączewski, a imieniem rodziny wieszcza p. Roman Ujejski.

Na zakończenie uroczystości chór „Lutni“ odezwał się wspaniałą nutą chorału. Pieśń tę pochwyciły tłumy i popłynęła znów z dwudziestu tysięcy piersi z prawdziwie żywiołową jakąś siłą. Z odkrytą głową śpiewał tłum wielotysięczny.

W uroczystości wziął udział marszałek krajowy hr. Potocki, deputacye Sokołów, Gwiazdy, Skały, Tow. im. Kilińskiego. U stóp pomnika złożono wieńce od Tow. dziennikarzy polskich, Koła Literacko-artystycznego, Czytelni akademickiej, Zakładu im. Ossolińskich i bukiet od radzcy dworu Piusa Twardowskiego.

Po odsłonięciu pomnika tłumy ruszyły przed konsulat niemiecki i odśpiewały tam hymn „Jeszcze Polska nie zginęła“. Policya zachowała się z taktem.

* * *

Nowe oszustwo w Niemczech. „Dresdener Nachrichten“ donoszą, że drezdeński Bank zaliczkowy i oszczędnościowy, mający kapitał w sumie miliona marek, a którego wkładki wynoszą 7 milionów marek, ogłosił konkurs.

* * *

Hakatyzm salinowy. „Dzien Kuj.“ pisze: Robotnikom tutejszej saliny zgotował zarząd wstrętną niespodziankę. Gdy świeżo przybyli do pracy, ujrzeli wywieszone obwieszczenie zabraniając posługiwania się językiem polskim w obrębie salin, a inspektor zwrócił im na to uwagę z ostrzeżeniem. Przyjęli to z spokojem...

Hakatyzm nurtuje więc już nawet pod ziemią!

Podobno w dobrach wielko-książęcych sasko-wejmarskich zakazano robotnikom mówić po polsku, jakkolwiek oni nie władają wcale językiem niemieckim.

* * *

Nikczemne oszczerstwo przeciw Sienkiewiczowi. Wiedeńska „Ost-Deutsche Rundschau“, organ Wszechniemców, zamieszcza podły i oszczerczy artykuł przeciw Polakom i Sienkiewiczowi. Rzuca ona podejrzenie, iż Sienkiewicz jest płatnym tajnym agentem Rosyi, mającym agitować przeciw trójprzymierzu. Rosya ma obawę przed odnowieniem trójprzymierza, które, jak wiadomo, ma nastąpić w maju 1902 i dlatego silnie przeciw niemu agituje. W Rzymie posługuje się w tym celu ks. Mikołajem czarnogórskim. W Galicyi zaś przez Polaków, poddanych rosyjskich. W tym celu zniewolono Sienkiewicza, który niedawnemi czasy otrzymał w Królestwie Polskiem (Russisch-Polen, jak pisze „O. D. R.“) majątek, do napisania z powodu wyroku gnieźnieńskiego listu, czyli odezwy. W liście tym napada Sienkiewicz brutalnie na Prusy za konieczne rozporządzenia pruskie w W. Księstwie Poznańskiem.

Obrazki kultury niemieckiej. Hamburski urząd morski zajmował się w tych dniach wypadkiem, illustrującym jaskrawo zdziczenie pruskie. Dnia 21-go lipca na pokładzie okrętu „Wartburg“, należącego do towarzystwa żeglugi „Hansa“, zmarł podczas jazdy przez Czerwone Morze 17-letni chłopak okrętowy. Na trupie spostrzeżono, że był on w brutalny sposób katowany. Wskutek tych spostrzeżeń rozpoczęto dochodzenia, których rezultatem jest co następuje: Rano o godzinie 6 wspomnianego dnia oświadczył Burmeister, młodszy kelner kucharzowi, że jest chory. Kucharz doniósł o tem starszemu kelnerowi, a ten kapitanowi okrętu, nazwiskiem Zittlosen. Kapitan nie widząc chorego Burmeistra odpowiedział: „Każ pan temu psu dać kilka plag, a zaraz wyzdrowieje!“ Rozkazu tego nie wykonano, natomiast wyniesiono chorego na pokład, gdzie ułożono go w zagłębieniu. Następnie kazał go sobie kapitan przystawić na pomost celem zbadania. Gdy chory na rozkaz kapitana nie pokazał mu natychmiast języka, groził mu, że wydobędzie mu język nożem. Potem polecił kapitan, aby chorego, który leżąc na materacu na tyle pokładu, powalał się, obmyć. Burmeister, który wedle zeznania załogi, był bardzo osłabiony i nie mógł ani chodzić, ani stać, został rozebrany i myty. Gdy jeden z majtków do mycia użyć chciał gąbki, rozkazał mu trzeci oficer użyć szczotki. Majtkowie, widząc bolesny wyraz twarzy towarzysza, wzbraniali się wykonać ten rozkaz, co widząc trzeci oficer chwycił sam twardą szczotkę, używaną do mycia pokładu i zaczął nią trzeć gołe ciało chorego, który już nawet nie miał siły krzyczeć.

Po tej operacyi położono Burmeistra na płótno, gdzie mimo tortur przebytych około południa przyszedł tyle do siebie, że wstał i usiłował zabrać się do pracy. Nakrywał właśnie do stołu, gdy zjawił się trzeci maszynista, nazwiskiem Bätjer, który nie miał jeszcze tego dnia sposobności wywrzeć na kimś swego złego humoru. Człowiek ten w śledztwie zeznał z całym spokojem, że Burmeistrowi wymierzył policzek, bo uważał, że udaje chorego. Świadkowie jednak zeznają, że nie był to tylko policzek, lecz uderzenie pięścią w twarz, a gdy chłopak upadł, dodał mu jeszcze Bätjer dla odmiany kilka kopnięć. Brutalność ta nie przeszła, rozumie się, bez skutków. Chłopak schronił się przed razami maszynisty na pokład, gdzie upadł i po kilku godzinach zakończył życie. Cała twarz trupa pokrytą była sińcami, usta i wargi były nabrzmiałe, a między zębami widniała szczerba. Kapitan, oficerowie i maszynista przedstawili się przed senatem jak niewinne owieczki, urząd jednak morski był innego zdania i oddał całą sprawę prokuratorowi.

Sprawy ekonomiczne,

Bogactwo ziemi polskiej. Z Krynicy piszą: Przy kopaniu studni w ogrodzie zakładowym w Krynicy w głębokości 7 i pół metra, natrafiono na dwie żyły źródeł wody mineralnej. Obfitość obu tych źródeł obliczona w przybliżeniu przez sekretarza namiestnictwa, a zarządzcę zdrojowego p. Mravincsicsa ma wynosić około 47 000 litrów na dobę. Na razie nie umiemy podać rozbioru chemicznego tej wody, gdyż dopiero ją do analizy przesłano. Ze smaku jednak sądzą, zdaje się mieć podobne własności do źródeł krynickich. Wobec zatem przypadkowego odkrycia raz na zawsze upada mniemanie, jakoby w Krynicy mógł kiedykolwiek powstać brak wody mineralnej, potrzebnej do kąpiel, przy coraz większym napływie gości kąpielowych.

Z.

Z TYGODNIA.

Im bliżej świąt, tem bardziej przycicha gwar polityczny w Europie. Wszystkie już niemal parlamenty i sejmy przerwały „pracę“ i rozjechały się na wakacye, a i w prasie, z wyjątkiem niemieckiej hakatystycznej, zawsze butnej, brutalno-aroganckiej i rozwydrzonej, czuć już pewien nastrój świąteczny.

Parlament niemiecki — poświęciwszy tylko jeden dzień interpelacyi polskiej, zdołał się jeszcze przed wakacyami szczęśliwie „wygadać“ i załatwić z pierwszem czytaniem nowej taryfy celnej. Gdy zabrakło zarówno zwolennikom jej, jak i przeciwnikom tchu i argumentów, odesłano przedmiot sporny do komisyi, aby ta w dalszym ciągu suszyła sobie nad nim głowy i nadała mu formę „odpowiedniejszą.“ Z „Koła“ polskiego wybrano do tej komisyi posła dr. Komierowskiego. „Agraryusze“ spodziewają się już napewno, że zwycięztwo będzie po ich stronie. Radość ich popsuł atoli w ostatniej chwili... rosyjski minister skarbu pan Witte. Półurzędowy organ jego zamieścił oto w ostatnich dniach dłuższy artykuł, w którym wykazuje, że na mocy nowej niemieckiej taryfy celnej o zawarciu traktatu handlowego mowy być nie może. Dla Rosyi dwie tylko pozostały możliwości: albo odnowienie starego traktatu bez zmiany w taryfie celnej, albo też zupełne odstąpienie od zawarcia traktatu. Już i traktat dotychczasowy — wywodzi pan Witte — nie był korzystnym dla przemysłu rosyjskiego; ale mimo to, zawarto czasu swego, ponieważ umożliwiał wywóz zboża rosyjskiego do Niemiec.

Jeżli więc teraz Niemcy, uchwalając wyższe cła na zboże, zamkną granicę, swą dla płodów rólnictwa rosyjskiego, rząd rosyjski odpowie na to własną samodzielną taryfą, która nałoży wyższe cła na wyroby przemysłu niemieckiego.

Artykuł ten jest zatem wodą na młyn przeciwników nowej niemieckiej taryfy i nie ulega wątpliwości, że skorzystają z niego. Zmartwił on też zapewne pana hrabiego Bülowa, który zaraz na wstępie obrad oświadczył przecie, że nowa taryfa nie przeszkadza bynajmniej zawarciu traktatów z Rosyą i Austryą! Chwilowo jednakże, podczas wakacyi, ma spokój i może z należytym namysłem ułożyć sobie... odpowiedź na ten artykulik rosyjskiego kolegi.

I pan Koerber w Wiedniu odetchnął swobodniej, gdy zamknęły się na czas pewien bramy parlamentu austryackiego. Miał on w ostatnich dniach znów tyle kłopotu z „niesfornymi" narodowcami po słowiańskiej i po niemieckiej stronie, że uważał nawet za potrzebne zagrozić rozwiązaniem parlamentu i uchyleniem konstytucyi, jeżeli parlament dalej będzie na pierwszy plan wysuwał sprawy narodowościowe. Te pragnąłby pan Koerber wogóle wykluczyć z sali parlamentarnej. Czy spełni swą groźbę, nie wiadomo; wątpimy jednakże, gdyż w Austryi to rzecz niebezpieczna i nikt przewidzieć nie może, jakie by były następstwa takiego kroku. Wrażenia wielkiego ta groźba nie wywołała, i zapewne po wakacyach walka narodowościowa zawrze na nowo.

Teraz zresztą i potulni zwykle Polacy dają się we znaki panu Koerberowi i to z powodu sprawy wrzesińskiej, która wyrosła rzeczywiście na wielką sprawę dyplomatyczną. Czy chciał, czy nie chciał — musiał pan Koerber dać odpowiedź na interpelacyą posłów polskich, żądającą wyjaśnienia, jak to było z owem rzekomem „przeproszeniem" rządu niemieckiego przez hrabiego Gołuchowskiego — dalej, dlaczego to zabrania manifestacyi polskich na rzecz ofiar wrzesińskich? Pot perlisty pokrył jowiszowe czoło jego, gdy w parlamencie poseł hr. Dzieduszycki poddał postępowanie rządu pruskiego bardzo dosadniej krytyce. Z odpowiedzi jego nie wieleśmy się dowiedzieli; ubolewał nad tem, że wogóle mówi się w parlamencie austryackim tyle i to w taki sposób „o wewnętrznych sprawach sąsiedniego państwa;" zapewniał, że nie myśli przytłumiać narodowych uczuć polskich, ale też pozwolić na to nie może, aby manifestacye tych uczuć obrażały państwo sąsiednie. Co do pana hr. Gołuchowskiego, to zdaje się, że w uprzejmości swej wobec Niemiec posunął się rzeczywiście za daleko, że zanadto okazał skruchy z powodu najścia na konsulat lwowski a nawet przyrzekł więcej, niż dotrzymać może. W Austryi bowiem uczuć narodowych poszczególnych ludów nie można od tak zaraz wziąć pod knut, jak gdzieindziej. Same wyszumieć muszą, a każda próba przeciwna dolewa tylko oliwy do ognia. Swoją drogą, już to zawsze źle wychodziliśmy na takich „ministrach rodakach" w obcej służbie.

I rząd rosyjski dał już władzom pruskim należytą satysfakcyą za „znieważenie" konsulatu w Warszawie; zdaje się jednak, że twierdzenie pana Bülowa, jakoby Rosya najzupełniej podzielała politykę pruską względem Polaków, było poniekąd „niedokładne." Na razie jeszcze nic nie słychać o jakichś nowych represaliach rosyjskich za ową demonstracyą warszawską, co się zaś tyczy prasy rosyjskiej, to ta bez wyjątku w tym wypadku stanęła po stronie polskiej; a to przecież byłoby niemożliwem, gdyby rząd godził się na politykę pruską i bezwzględnie ją popierał. Nawet zresztą nieprzyjaźnie dla Polaków usposobione gazety rosyjskie, jak np. „Nowoje Wremia", dają Niemcom napomnienie, aby nie przesadzały w swej antypolskiej zawziętości, gdyż właśnie taka przesadna polityka germanizacyjna jest dla Rosyi nieprzyjemną, bo burzy jej polskich poddanych. Hakata naturalnie niczego tak nie pragnie, jak tego, aby i rząd rosyjski poszedł śladem rządu berlińskiego i w podobny sposób uciskał Polaków; wszelkiemi też sposobami stara się podburzyć władze rosyjskie. Dotychczas atoli, chwała Bogu — skutków tej taktyki jeszcze nie widać. Rosya zdaje się być mędrszą od Prus — i od hakaty.

Koszta sprawy wrzesińskiej zapłacą, jak się zdaje, głównie kupcy niemieccy, których już i w Warszawie i w Królestwie wogóle kupcy polscy grzecznie, ale stanowczo, wypraszają za drzwi. Ciekawiśmy, czy Hakata wynagrodzi im poniesione z tego powodu straty.

Sprawa „poszkodowanego" konsula niemieckiego we Lwowie jest także jednym z tych cierni, co ranią przymierze austryacko-pruskie, które już i tak kuleje. Słowianie austryaccy krzywem patrzą na nie okiem. *Kujawiak.*

PRZEGLĄD PRASY.

Interpelacya polska w sprawie wrzesińskiej dostarczyła, jak inaczej być nie mogło, znów „wdzięczny" temat do uwag i rozmyślań zarówno polskiej, jak i niemieckiej prasie. Przyniosła ona to, co zwiemy: „moralnem zwycięztwem" znów jedynie stronie polskiej; rząd atoli postarał się o to, aby i strona niemiecka nie wyszła z sali z próżnemi rękami. Dla niej to wypowiedział kanclerz hr. Bülow swą wprost wyzywającą mowę; mowa ta pocieszyła też wszelkiego rodzaju hakatystów po poniesionej moralnej porażce. Toć wiedzą teraz, że rząd się nie cofnie przed Polakami — przed... dziatwą polską, że czuwać będzie nad tem, aby niemczyna nie dostała się... pod koła wozu. O resztę, o takie drobnostki, jak ludzkość, słuszność, sprawiedliwość hakatyści nie dbają. Byle tylko sami nie dostali się pod wóz, — z radością jeździć będą po ciałach polskich, chociażby z ciał tych krew niewinna tryskała fontannami. To nawet rozkosz dla tych teutońskich „nadludzi"! Cieszą się tedy i radują i hukiem tryumfu pragną zagłuszyć własne sumienia, o ile je jeszcze posiadają. Głosy, ubolewające nad taką odpowiedzią kanclerza i przyznające słuszność interpelantom polskim — to znów tylko nieliczne wyjątki, krople w morzu — przeważnie wśród prasy centrowej.

Prasa polska pociesza się moralnym sukcesem interpelacyi. Nie braknie jednakże głosów, które nie są z niej zadowolone, już dla samej niefortunnej jej formy. Także przemówienie księcia Radziwiłła nie wszystkim się podoba. Tu i owdzie, zwłaszcza w prasie galicyjskiej, odzywa się jakoby syk protestu i oburzenia. Nie tu miejsce do rostrząsania o ile syk to słuszny. Tu referujemy tylko, powtarzamy cenniejsze głosy.

Nie bardzo zadowolony z mowy księcia Radziwiłła — więcej z przemówień innych posłów, jest **„Dziennik Kuj."** Oto co pisze:

„...Uzasadnienie interpelacyi ks. Rawiłła, lubo wygłoszone z godnością, wypadło niece blado. Powszechnem jest mniemanie, że uchwycił on rzecz ze strony zbyt sentymentalnej, apelując do humanitarnych uczuć kanclerza, i oczekując, iż stanie na stanowisku ludzkiem.

„Jakoż kanclerz wnet rozwiał płonne nadzieje. Z odpowiedzi jego, godnej hakatysty, wynikałoby, że kanclerz jako urzędnik nie żywi uczuć ludzkich, nie kieruje się niemi, przestaje być człowiekiem, lecz jest tylko urzędnikiem, mającym tylko na oku „Staatsraison" i dobro „uciśnionej niemczyzny.

„Przemówienie dra Dziembowskiego zrobiło ogólnie dobre wrażenie. Było bowiem wygłoszone z wielką swadą, a nacechowane doskonałą znajomością rzeczy i opanowaniem materyału. Wszelako straciło poniekąd przez to, że poseł nasz rozwodził się nad zajściem we Wrześni, które rozbierał już poprzednio mówca Roeren, zamiast rozszerzyć dyskusyą i podnieść wszystkie krzywdy, jakie nam się dzieją, jednem słowem oświetlić i napiętnować cały pruski system antypolski.

„Mowa posła Roerena sama przez się bardzo dobra, przedstawiająca zajście wrzesińskie w pięknem świetle, zasługuje także z tego względu na podkreślenie, że wyszła z ust urzędnika, zajmującego wysokie stanowisko w hierarchii sądowej. Ten wysoki urzędnik i znawca prawa z trybuny parlamentarnej rzucił anatema na postępowanie władz, co z minimalnego przestępstwa zrobiły wielką sprawę kryminalną.

„Świetnem w całem słowa tego znaczeniu było wystąpienie socyalisty Ledebura.

„Chcąc ująć wrażenie z debaty w kilku słowach, zaznacza, że wogóle nastrój jej nie był dość podniosłym, dość dramatycznym i dopiero mowa Ledebura podniosła rozprawy na wyżynę, odpowiadającą wielkiej sprawie."

„Dziennik Berl." jest zdania, że interpelacya, jeśli już koniecznie trzeba ją było upozorować niepolskiemi względami, powinna się była opierać na tem, że manifestacye zagraniczne mogą zaszkodzić *ludowi* niemieckiemu a nie „powadze państwa i rządu" — poczem takie wypowiada uwagi:

„Odpowiedź kanclerza, iż godność państwa niemieckiego, t. j. „rządu" nie ucierpiała i nie ucierpi, można było przewidzieć — Czyż o tę odpowiedź chodziło nam?... Chodziło nam o potępienie systemu pruskiego w parlamencie Rzeszy, chodziło nam o omówienie sprawy w obliczu Europy, chodziło o zniewolenie kanclerza do omówienia stosunku ludności do rządu, a nietylko stosunku rządu do rządów innych.

„Zapewne, że kanclerz był łaskaw powiedzieć nam wyraźnie, bardzo wyraźnie swoje zdanie o polityce antypolskiej rządu pruskiego, ale czyż nie przykrem, że nasza reprezentacya nawięzywała rzecz jedynie do sprawy godności „państwa" niemieckiego, pomijając stanowisko swych wyborców jako *narodowości*, mającej prawo do zachowania swego bytu odrębnego w granicach Niemiec, i pomijając stanowisko *ludu niemieckiego* w przeciwieństwie do rządów?

„Reprezentacya nasza parlamentarna będąc przedstawicielstwem ludu, zapomniała o tem, iż interpelacya powinna była kłaść nacisk na przeciwieństwo poglądów ludu z poglądami rządów... stawiła się raczej na stanowisku urzędników „państwowych," dbałych o godność państwa.

„Forma interpelacyi, w jakiejby zaznaczono rozbieżność interesów ludu *polskiego* z dążeniami rządowemi i przeciwieństwo poglądów *ludu* niemieckiego a rządu, forma zaznaczająca, iż posłowie nasi występują jako obrońcy sprawy *ludu polskiego*, byłaby przyszła do skutku przy pomocy radykalnych posłów ludowych niemieckich. Tej pomocy trzeba było szukać.

„Tymczasem przez tydzień mniej więcej odbywały się zakulisowe targi z centrowcami, ażeby koniecznie z ich pomocą wnieść interpelacyą. Ztąd zwłoka we wnoszeniu, ztąd forma, godności polskiego ludu, którego przedstawicielami są posłowie, ujmę czyniąca. Wzgląd na swych wyborców, na godność polskiego ludu poświęcili posłowie nasi względom na przymierze parlamentarne z centrum..."

Tak jest! głównie wzgląd na Centrum i pomoc centrową nadał interpelacyi formę, z której nikt nie jest zadowolony. Już to ta pomoc centrowa staje się dla nas rzeczywiście owem przysłowiowem „kwaśnem jabłkiem". A jednak — mimo wszelkich smutnych doświadczeń — część prasy naszej drży na samą myśl ostatecznego zerwania z Centrum i odebrania mu *Ślązka*. Nawet „Gazeta Toruńska" niedawno temu przedrukowała bez słówka opozycyi odezwę prasy śląskiej, zaprzedającą i nadal polski Ślązk temuż stronnictwu.

Snać kierowała się wówczas jedynie... znaną niechęcią do „Pracy". Dziś bowiem w inny ton uderza. Przypomina oto wydane czasu swego rozporządzenie ministra *Bossego* przeciwko zbytniej chłoście cielesnej w szkołach i z tego powodu pisze:

„Lud polski oczywiście powitał rozporządzenie z wielkiem zadowoleniem, ale gazety *centrowe*, które były w kłopocie z powodu wytoczonego pewnej berlińskiej przełożonej procesu o pobicie jakiegoś dziecka, wszczęły przeciw rozporządzeniu ministeryalnemu piekielny hałas, który posłowie centrowi przenieśli aż do sejmu. Dziwnie występowali tam w obronie kija, a jeden z mówców wygłosił mądrą zasadę, że droga do serca dzieci prowadzi hinten herum.

„Skutek hałasu, któremu oczywiście wtórowali konserwatyści i interesowani nauczyciele, był ten, że minister oświaty własne swoje rozporządzenie znacznie złagodził. Gdyby to nie było nastąpiło, gdyby pierwsze rozporządzenie ministra dziś jeszcze zobowiązywało, zajścia we Wrześni byłyby niemożliwe. Zajścia we Wrześni i wyrok gnieźnieński można śmiało zapisać na poczet *grzechów stronnictwa centrum.*

„Jeżeli dziś centrum w parlamencie ujmuje się za zasądzonymi w Gnieźnie rodzicami obitych dzieci wrzesińskich, spełnia nietylko obowiązek ludzkości, lecz nadto naprawia choć w części, co zawiniło w sejmie pruskim.

„Zapisujemy to dla tych, którzy za kilka artykułów gazeciarskich i mówek parlamentarnych w obronie ojców i matek wrzesińskich, a raczej w obronie „powagi rzeszy niemieckiej za granicą", gotowi znów sprzedawać centrowcom nietylko Ślązk, Warmią i wychodźtwo, lecz nawet kresy Prus Królewskich i Wielkopolski."

Ma się rozumieć, że godzimy się na każde słowo ostatniego ustępu. Dlaczegoż to atoli — pytamy, nie „przypomniała" się sprawa ta „Gazecie Toruńskiej", gdy przedrukowywała dosłownie odezwę gazet śląskich?

„Wielkopolanin", polemizując z prasą hakatystyczną, mianowicie z *„Deutsche Zeitung"*, która żąda znów wydania ustawy o zakupnie i sprzedaży gruntów, tj. zakazu kupowania ziemi przez Polaków, w ostateczności wyehowania przymusowego, czysto niemieckiej ustawy o stowarzyszeniach, o mowie i o gazetach, bezwzględnego germanizowania wszystkich polskich emigrantów a, jeżeli i tego potrzeba, powolnego usuwania *polskiego duchowieństwa z ambon i konfesyonałów*, do których chodzą Polacy i Polki, taką daje piśmidłu temu odprawę:

„Powtarzamy ciągle, że największymi burzycielami spokoju publicznego to pisma Hakaty. Kogóż bowiem nie ma do najwyższego stopnia oburzyć myśl, że jest w państwie, którego jesteśmy *obywatelami*, wpływowa partya, żądająca bezwzględnie, aby *nas wyjęto z pod wszelkich praw,*

„Chcą nam odmówić wszystkiego, bo *mowy*, bo *ziemi*, bo *wolnego głosu*, bo nawet *pociech religijnych.*

„Nigdzie na całej kuli ziemskiej żaden dziennik cywilizowanego narodu nie wypowiedział takich żądań!

„Ale my nie traćmy *spokoju*, ani równowagi umysłu, ani zimnej *krwi!* Piekielnej nienawiści przeciwstawiajmy miłość do wszystkiego, co ojczyste, do wszystkiego, co świętej wiary naszej się tyczy.

„Wierzymy niezachwianie w Opatrzność Boską. *Sprawiedliwość Boska różnemi chodzi drogami, różnych używa sposobów.*

„W chwili, kiedy się najmniej tego spodziewamy, spada rózga karząca na krzywdziciela, czasami jest owa rózga w ręku *olbrzyma*, czasami w ręku *słabych i niewinnych dzieci!*

„Czyż nie jest to, jakby pojawieniem się *palca Bożego*, że wszystkie wysiłki nasze wzbudzenia spółczucia dla sprawy polskiej, zainteresowania się nią były prawie daremne, a teraz nagle i niespodzianie, *jęk niewinnych dzieci wrzesińskich* rozbudził *sumienie świata.*

„Rumieniec wstydu padł jakąś wielką łuną na senne oblicze Europy i otworzył jej oczy! Europa protestuje, aby nadal wywoływano tak *krwawe rumieńce hańby na jej oblicze.*

„Bóg dziś cuda czyni! Bóg i dziś wybiera chwilę, aby poniżyć wynoszących się, a wynieść gnębionych!

„Wierzmy zatem i ufajmy, że sprawiedliwość Boska nigdy nie zaginie i że wymierzać będzie kary i nagrody."

Chętnie jeszcze powtórzylibyśmy głosy niektórych gazet galicyjskich o mowie p. *Bülowa* i o rezultacie interpelacyi, ale niestety — przeszkadza temu pruskie prawo prasowe. Pan Bülow mógłby się przecie czuć obrażonym temi głosami — a tu już czterech redaktorów naszych jęczy za kratami. Zresztą — czytelnicy sami łatwo odgadną, co mogły pisać gazety polskie, nie podlegające pruskiej cenzurze, bo oburzenie, jakie z tych pism przemawia, nie jest tylko oburzeniem „galicyjskiem", lecz drga boleśnie a silnie *w każdem sercu polskiem!*

Na powtarzanie głosów hakatystycznej prasy niemieckiej szkoda czasu i miejsca. Dość powiedzieć, że przemawia bez wyjątku w tonie i sensie zacytowanej powyżej *„Deutsche Zeit."* Tyle w niej łajdactw, tyle niegodziwości, że chętnie tę lekturę pozostawimy... *rodakom hr. Bülowa.* Musi ich ona zdeprawować do reszty, a z tego tylko my — nie zaraz, lecz w przyszłości korzyść mieć możemy. Im rychlej społeczeństwo niemieckie dzięki *takiej* prasie ulegnie zupełnej demoralizacyi, tem lepiej dla nas. *B. M.*

Z POZNAŃSKIEGO.

Pleszew, 29-go listopada.

Zdarzył się w naszem mieście niedawno wypadek, tak jaskrawe rzucający światło na owoce hecy hakatystowskiej, że dziwić się trzeba, iż nie znalazł się dotąd nikt, ktoby szersze koła a tem uwiadomił. — D. 24-go b. m. przed po-

łudniem wstąpiło kilku obywateli tutejszego miasta do poczekalni nowego dworca miejskiego. Ich rozmowa w polskim oczywiście tocząca się języku, podrażniła widocznie urzędnika tutejszej powiatowej kolejki siedzącego przy szklance piwa z kilku jeszcze Niemcami. Ow pan zaczął najpierw podniesionym głosem rozprawiać o sprawie wrzesińskiej, przyczem często, gęsto słyszeć było można: „verfluchte Pollacken; blinde polnische Pfaffen; diese verdammten Pollacken müssen germanisiert werden itd.“ Widząc, że mimo tych wyzwisk nasi Polacy na niego wcale nie zwracają uwagi, zbliża się do ich stolika, zakazując im rozmowy polskiej. Na to jeden z Polaków, p. G. zwrócił owemu urzędnikowi uwagę, żeby się wynosił, dopóki zdrów, gdyż mu nic do tego, w jakim języku ktoś rozmawia. Hakatysta odpowiedział na to gradem różnych wyzwisk. Najwięcej go to widocznie gniewało, że Polacy nie tracili spokoju i zimnej krwi. Nie wiedząc, jak się zemścić, poszedł do dzierżawcy tutejszego dworca, i zabronił surowo, by się nie odważył sprzedawać piwa owym Polakom.

Najdziwniejsza, że dzierżawca zastosował się do życzenia p. arcyhakatysty i p. G. na żądanie piwa odmówił!

Jeżeli Polacy w Pleszewie mają cokolwiek poczucia godności własnej, ich noga nie powinna postać w owym lokalu. — Nie koniec na tem. Oburzyło to całe zajście jakiegoś Niemca, Berlińczyka, pracującego przy zakładaniu wodociągów. W dość ostrych słowach zwraca hakatyście naszemu uwagę na nieprzyzwoitość podobnego postępowania. W odpowiedzi otrzymuje silne uderzenie w twarz. „Was, Sie als Deutscher werden diese verfl. Pollacken verteidigen! Da haben Sie's!“ — Tymczasem nasi potulni panowie Polacy udali się do adwokata, by spisać protokół, który odesłano do zarządu kolejki powiatowej. — Później nastąpi przed sądem prawdopodobnie dalszy ciąg owego zajścia.

W istocie uciśniona niemczyzna dumną może być z takich kulturtraegerów! Nie do uwierzenia, jakie kultura pruska wydaje owoce! Piękniejszą jeszcze próbkę mieliśmy kilka miesięcy temu. Było to latem. Jeden z tutejszych wyższych urzędników pruskich udał się do łazienki za miastem położonej, by się wykąpać. Do godziny 12 korzystają z niej zazwyczaj kobiety; po obiedzie mężczyźni. Było parę minut po dwunastej. Ow kulturtraeger wchodzi jako punktualność lubiący mąż do łazienki. Zastawszy tam dwie kobiety, żonę i córkę również wyższego pruskiego urzędnika, bierze bez ceremonii ich rzeczy i nie zważając na głośne okrzyki i protesty, wyrzuca na ląd. Chcąc, nie chcąc musiały owe panie ubierać się na wolnem powietrzu. Żaden język europejski nie posiada chyba słowa dosadnie określającego tego rodzaju postępowanie.

Spodziewaliśmy się wszyscy bez różnicy wyznania i narodowości, że odnośna władza raczy nas uwolnić od tego osobliwszego rodzaju gentelmana. Gdzie tam! — przyjechał urzędnik z Poznania i sprawę przytłumił. Dodaję jeszcze raz, że wspomniany pan, który odegrał ową rolę w łazience, jest także wyższym urzędnikiem i zajmuje stanowisko, wymagające bardzo dużo taktu i godności. Dlaczego o tem wszystkiem tak się rozpisałem?

Po pierwsze, aby dać mały przyczynek do piosnki o uciskanej niemczyźnie, powtóre, aby znów raz wykazać Niemcom, dlaczego my Polacy rękoma i nogami bronimy się przyjęcia ich kultury. Panowie Niemcy! Dopóki kultura wasza takie wydaje owoce, my o naszą kulturę i o naszą narodowość możemy być spokojni. Nie poradzą na to żadne prawa, choćby najbardziej wyjątkowe. *P.*

* * *

Miłosław, 20 grudnia.

(Głos polskiego robotnika).

Miłosław, niewielka mieścina, ale sławna pogromem Prusaków. Wie o nim cała nasza Ojczyzna a wiedzieć powinno każde dziecko polskie. Są też u nas piękne pamiątki narodowe: wznosi się mogiła naszych bohaterów poległych w stoczonej tu krawej bitwie r. 1848. W parku zamkowym znajduje się piękny pomnik Juliusza Słowackiego, wzniesiony hojną dłonią właściciela dóbr miłosławskich, jako też krzyż, na którym wyryty jest rok 1863. O dwie mile od Miłosławia położone jest miasteczko Wrześnią, z ludnością myślącą po polsku, po narodowemu. Września zaćmiła sławny Miłosław. Patryoci Wrześni stoczyli walkę, a ta im zapewniła imię w historyi świata. Padli oni ofiarą wyroku gnieźnieńskiego, ale imiona ich zawisły dziś na uściech całej prawdziwie cywilizowanej Europy.

Prostym jestem robotnikiem, ale niechaj i mnie będzie wolno łzę szczerą uronić nad ich bólem i odezwać się do narodu z tem, co czuję i myślę.

Omylił się książę Bismarck, sądząc, że tylko szlachta i duchowieństwo dźwiga na swych barkach ciężar sprawy narodowej. Jego kulturkampf a dziś szalona gospodarka hakatystów powołała cały lud polski w szeregi do walki za najświętsze skarby: za wiarę i narodowość.

Wraz z drugimi braćmi myśli już dziś robotnik polski o przyszłości kraju swego ojczystego.

Co tę przyszłość zabezpieczyć może? W pierwszym rzędzie powinno mieć każde, choćby najmniejsze miasteczko dobrze zorganizowane Towarzystwo robotników polskich. Niestety, nie ma takiego Towarzystwa nasz Miłosław. Strata to wielka moralna i materyalna dla ludu roboczego. Niejeden grosz, stracony w niedziele i święta w szynkowni, poszedłby na szlachetne cele nieszczęśliwego narodu polskiego.

W dzisiejszych szkołach pruskich niczego się nie nauczą dzieci polskie, nie nauczą się własnego języka ojczystego, do serc ich nie trafią i w nich się nie zakorzenią szczytne i życiodajne zasady religii naszej świętej.

A więc niechaj rodzice zastąpią szkoły, niech uczą dziatki polskiego czytania i pisania, uczą je czuć i myśleć po polsku.

Łatwo pokonać naród z bronią w ręku, ale niepodobna zatruć go, wyrwać z jego pamięci przeszłość jego świetną, jeżeli ten naród nadal żyć pragnie. „Upaść może i naród wielki, ale zginąć tylko nikczemny!“ — Tak wołał przed wiekiem patryota polski, Staszyc, Wielkopolanin.

My nie chcemy zginąć, rozpłynąć się w morzu germanskiem. A więc, kochany ludu polski, szanuj się w rodzinach, niech brat świątlejszy niesie kaganiec oświaty ciemniejszemu bratu, a stworzymy tak wspaniałe i wielkie ognisko, że ogrzać się będą przy niem mogli i ci, co pragną naszej ciemnoty i naszej śmierci narodowej. Wtedy też każdy z nas Polaków powiedzieć będzie mógł z wieszczem naszym, Adamem Mickiewiczem: *„Ja jestem milion, kocham za miliony“.*

Stały i wierny czytelnik „Pracy“ dawniej na Obczyźnie a teraz w Ojczyźnie.

Z NIEMIEC.

Z kilku stron w Westfalii odbieramy od rodaków zapytanie, dlaczego nie zamieściliśmy w „Pracy“ ich korespondencyi.

Otóż odpowiadamy, że jednych z pism tych nie odebraliśmy, drugie nas doszły, aleśmy się powstrzymali z ich ogłoszeniem do stósownej chwili, gdyż nie chcieliśmy rozżarzać ognia, który rozniecila odezwa redaktorów górnoślązkich, skierowana przeciw powstającej nowej gazecie „Górnoślązak“. Dziś, kiedy tenże ujrzał światło dzienne i w numerze okazowym zabrał głos i jasno i wyraziście wskazał na drogę, jaką postanowił niezłomnie zdążać do wytkniętego celu, dziś ustają wszelkie względy, jakie nas powstrzymywały od natychmiastowego ogłoszenia nadesłanych nam korespondencyi z Westfalii, w których urodzeni na Górnym Ślązku rodacy oceniają odezwę redaktorów gazet górnoślązkich i wypowiadają z całą otwartością swe przekonania i poglądy na sprawę dla nas i dla nich tak drogą. Jakoż już w przeszłym numerze (50) zamieściliśmy jędrną i pod względem politycznym rozumnie napisaną korespondencyą z Bottropu. Już po wyjściu z prasy 50-go numeru „Pracy“ odebraliśmy także od rodowitego Górnoślązaka pismo, trafiające w samo jądro poruszonej sprawy i zalecające się nader bystrym sądem i zdrowemi zapatrywaniami na sprawę górnoślązką.

Rzeczona korespondencya brzmi:

Disteln w Westfalii 13 grudnia.

(Sprawa wyborów na Górnym Ślązku i potrzeba dla niego nowej gazety.)

Od czasu, jak sprawę wyborów do niemieckich ciał prawodawczych poczęła rozstrząsać „Praca“, zajmowałem się nią bardzo żywo, a to z tego powodu, iż jestem rodowitym Górnoślązakiem z powiatu rybnickiego.

Przybywszy przed dziesięciu laty do Westfalii, nie przestałem czytać „Katolika“ a od dwóch lat czytuję także „Dziennik Śląski“ i „Pracę“. Jestem bowiem głęboko przekonany, iż gazeta polska w ręku Polaka jest najlepszą bronią przeciw zachłanności niemieckiej. Tutaj też w Westfalii mam sposobność poznania

niemiecko-katolickiej życzliwości względem nas Polaków, życzliwości, która bałamuci i na fałszywej zatrzymuje drodze nawet tych z naszych rodaków, którzy jako ludzie wykształceni i naukowi znać przecież powinni, gdzie i w czem szukać ocalenia przed zalewem germańskim. Trzeba tu żyć w Westfalii, ażeby bielmo, zakrywające nam jasność widzenia, spadło ostatecznie z oczu. Wybory w Duisburgu i Ruhrorcie zdolne są zedrzeć tę zarzuconą nam na oczy opaskę.

Na te same mniej więcej stosunki, w których żyjemy tu w Westfalii, patrzą i panowie redaktorzy na Górnym Ślązku, a jednak ich dojrzeć i rozpoznać albo nie mogą, albo też nie chcą. Nad tem właśnie ubolewać trzeba.

Odwoływał się „Katolik“ na zdanie swych czytelników w sprawie przyszłych wyborów, więc jako znający dobrze stosunki Niemców do ludu górnoślązkiego mogę w tejże sprawie kilka słów powiedzieć.

„Katolik“ zyskał wielką sławę podczas walki kulturnej; był on wówczas, jak zawsze, szczero-katolickiem pismem; to też umiał świetnie wieść swe polskie zastępy bojowników do walki z kulturtraegerami. Wiedząc to, było można na pewno przypuszczać, że kiedy ta sama walka, choć w innej nieco formie na nowo zawrze, stanie znów „Katolik“ na czele polsko-katolickiego ludu i rozpocznie znów zacięty bój z tymi samymi wrogami: szowinistami, hakatystami i wszelkiego rodzaju germanizatorami. Ale o dziwo! — „Katolik“ stchórzył, ulękłszy się „Pobudki“ z Poznania. Nie chciał „Katolik“ podjąć walki przeciw centrum, będzie ją teraz prowadził przeciw centrowcom i Polakom zarazem — pierwszych sobie zrazi, a drugich postrada. Złą była jego polityka i dyplomacya, a skutki jej wnet się okażą. Jak kto sobie pościele, tak się też wyśpi. Dziś już bardzo trudno, jeżeli niemożliwem, nawrócić i wydobyć wóz polityczny z bagna, w którem zagrzązł. Kości rzucone; „Górnoślązak“ już wystąpił na widownią jako bojownik, okuty w zbroję, o którą lekkie strzałeczki jego przeciwników odbijać się będą.

Czas też był wielki, ażeby inni ludzie podjęli sprawę ludu polsko-katolickiego ua Górnym Ślązku. „Katolik“ ugodzony śmiertelnie poszedł w inwalidy. Dobrzeby było, ażeby przynajmniej milczał, ale broniąc się od śmierci, ciągnie ją sam gwałtem ku sobie. „Katolik“ za miskę soczewicy sprzedał jak Ezaw swe pierworoctwo centrowcom. Ażeby zasłonić swe niedołęztwo w osławionej „Odezwie“, wylicza cały szereg zasług przyjaciół swych centrowych. My Górnoślązacy w Westfalii musimy się wstydzić za te jego niegodne umizgi do centrowców.

Biedny „Katoliku“, zapomniałeś, o znanej, a wypróbowanej zasadzie, że kto nie idzie naprzód, ten się cofa; zapomniałeś, że obawa i tchórzostwo w polityce wiedzie wprost do klęski. My Górnoślązacy postawiliśmy własnego kandydata w okręgu wyborczym Duisburg-Ruhrort, a za tę „polską swawolę“, ani jednego robotnika polskiego nie poczęstowano tak, jak to radził hr. Ballestrem — ani jeden nie został z kopalni wydalony.

Ratuj się „Katoliku“, jak możesz; my Górnoślązacy pójdziemy swoją drogą z naszym nowym hetmanem na czele, z „Górnoślązakiem“!

Pozdrowienie i chwała dzielnym obrońcom polskiego ludu górnośląskiego!

K. M.
Górnoślązak.

* * *

Z Nadrenii.

(Odznaczenie dr. Rakowskiego i M. Biedermanna).

Korespondent nasz z Altenessen zapytuje nas, z jakich powodów nie zamieściliśmy jego korespondencyi z dnia 17 listopada. Otóż odpowiadamy, że pismo to nas doszło, ale wśród zamieszania, jakie podczas ustawicznych rewizyi policyi tutajszej w biurach wydawnictwa naszego panowało, i ta korespondencya zaginęła. Nasz przyjaciel polityczny przesyła nam ją ponownie, więc zamieszczamy jego wiadomość, sądząc, że uraduje ona naszych przyjaciół z Westfalii, gdy się dowiedzą, że rodacy nasi w Westfalii umieją ocenić wzniosły cel polskiego pisma, jako też niezmordowaną pracę jego redaktorów, z których kilku już w tej chwili nędzny wiedzie żywot za kratą więzienną. Pismo naszego korespondenta brzmi:

Altenessen.

„Na zebraniu Koła śpiewackiego „Gwiazda“ w Altenessen, w niedzielę dnia 17 listopada, powzięli członkowie w myśl podzięki za pracę około uświadomienia ludu polskiego, (w każdem zakątku gdzie się Polacy znajdują), jednogłośnie obrać Wielm. pp. dra Rakowskiego i M. Biedermanna honorowymi członkami naszego grona. Wy bojownicy sprawy naszej zasługujecie na cześć! Imię wasze niezatartemi głoskami wypisane będzie w sercach naszych. Cierpicie za sprawę polską . . . . i my cierpimy z wami, choć daleko od was ciałem, ale tem bliżej duchem. A więc i my, w sercu niemieckiej ojczyzny dołączamy nasz głos do współczucia powszechnego i przysyłamy ofiarom miłości dla kraju wyrazy najgłębszego uznania i współczucia.

Zarząd.“

„*Dopisek.* Dnia 9-go grudnia, właśnie gdy odsyłam ten list, dowiaduję się, że panowie dr. Rakowski i M. Biedermann zostali osądzeni. Boleść głęboka przejęła serca nasze na wiadomość, że nie na korzyść naszą wypadł proces. Łaski, cierpliwości i męztwa, niechaj Wam Pan Bóg raczy udzielić!

Z GÓRNEGO ŚLĄZKA.

Z Starejwsi pod Raciborzem.

W sprawie wyborów na Górnym Śląsku cztery redakcye namówiły się, aby w zarodku przyłumić to, co zacna redakcya „Pracy“ rozpoczęła. „Nowiny Raciborskie“ z dnia 7 listopada piszą o położeniu Polaków w Prusach — ale snać położenia ludu polskiego na Śląsku nie znają. Redaktor dzisiejszy „Nowin Raciborskich“ mógł był w czasie, w którym na Górn. Śląsku pracuje, przekonać się, jak smutną i opłakaną, nieraz wręcz nieznośną jest dola śląskiego ludu, ale snać mało tylko skorzystał w tym czasie.

Lud polski na Górnym Śląsku jest zupełnie opuszczony, niema żadnej opieki, niema przewodników z inteligencyi. *Sam tedy bronić się musi.* A jeżli ten lud obrał sobie „Pracę“ za przewodnika, i jej powierzył sprawę przyszłych wyborów, to innym wara do tego. A właśnie aż 6 komendantów czterech gazet górnośląskich zastępuje dziś drogę „Pracy“ — a zarazem ludowi śląskiemu.

Dla czego? Czyżby się bali sięgnąć głębiej w worek polityczny? Może im lepiej i wygodniej, gdy kosztem ludu wzmacniają tę rękę, która nas bije po twarzy, gdy kosztem tego ludu popierają germanizacyą przez kościół? Na pozór zwalczają — ale jakie to zwalczanie, które *niby* się oburza — a po zatem biernością swoją ułatwia pracę germanizatorów.

Czyż „Katolik“ zapomniał już o smutnej roli, jaką odegrał w roku 1893. I wtedy usiłował płynąć przeciwko prądowi i już chciał odstąpić majora Szmulę, ale na szczęście lud sam gwałtem popchnął go na właściwą drogę. Niechże o tem pamiętają i „Nowiny Raciborskie.“ Jeżli i one teraz zechcą sprzeciwić się woli ludu, to lud ten może zupełnie je opuścić. Toć i tak mają ledwie trzecią część tej liczby abonentów, jaką miały w roku 1893, więc niebezpiecznie dla nich, narażać się na gniew ludu.

Panowie komendanci! Jeżli już nie macie odwagi pomagać w dziele odrodzenia Śląska, to przynajmniej siedźcie cicho i nie przeszkadzajcie „Pracy“! *Nie przeszkadzajcie ludowi śląskiemu*, gdyż źle na tem wyjść możecie!!

Obywatel Starowiejski.

KRONIKA.

Gdyby nie sławna sprawa wrzesińska, nie nadzwyczaj ostry wyrok zapadł w procesie przeciwko p. dr. Rakowskiemu i nakładcy „Pracy“, p. M. Biedermannowi, rzec by można, że Poznań i cała nasza dzielnica żyje tylko pod jednem hasłem, a tem hasłem to *koncert Paderewskiego*, który się już odbył. Nie moja rzecz o tem pisać, zostawiam to recezentowi muzycznemu „Pracy“, ale za to powiem, że po prostu ciężkie dni przechodziła dyrekcya teatru przed koncertem. Każdy, który zgłosił się po bilet, a nie otrzymał go, uważał to jakby za obrazę osobistą i odpowiednio do tego czynił przedstawienia albo dyrektorowi, albo dyrektorowej, którzy to znosili z wielką cierpliwością.

Publicznoś to jakby dziecko rozgrymaszone!

Wydaje się tej publiczności, że jeżeli ona zechce, powinny się rozszerzyć ściany teatru, aby ją pomieścić, a na *codzień* ten biedny nasz teatr napróżno otwiera gościnne swe podwoje i nęci do siebie błyskiem elektrycznych świateł i dobrą grą artystów. Na codzień świeci teatr *pustkami*!

Za to zajrzyjmy do teatru niemieckiego, do Kaisergartenu i Apollo — a z pewnością przekonamy się, że pełno tam Polaków. Mówiono mi, że niebawem urządzoną będzie ścisła kontrola nad tymi, którzy jeszcze dziś polskim, krwawo zapracowanym groszem wspierają przybytki germańskiej muzy poważniejszej i podkasanej. Zaręczam tym wszystkim, że figurować będą w mej kronice bez względu na stan, poważanie lub majątek. Nawoływano ich dość często, lecz dzisiaj kończy się względność dla tych, których nawet jęk dzieci wrzesińskich nie zdołał odpędzić od bram teatru, z którego język polski wyrugowano.

Wstydu nie mają ci panowie i te panie, że w takiej chwili, gdzie Hakata rozsrożona, rozbestwiona wyje wilczym głosem, żądając zagłady naszej, chodzą do niemieckich tinglów i teatrów.

Mówią, że Paderewski był hasłem, lecz urok cudownej gry, wzniosłych chwil przeminął, pozostaje twarda rzeczywistość. Oto, jak widma snują się przed oczyma naszemi, jedynie rozpromienione aureolą ofiary, postacie z procesów toruńskich, poznańskich i wrzesińskich, przypominając nam, że hasłem naszem musi być *solidarność!*

O tej solidarności pamiętajmy przy zakupach gwiazdkowych. Pozbądźmy się uwidzeń, że u żydów i Niemców lepiej się kupuje, że lepszy towar. Dziś nasz przemysł i nasze kupiectwo dorównuje obcoplemiennemu — niema zatem najmniejszej przyczyny do pomijania składów polskich.

Dziś *Warszawa, Lwów i Kraków* zrywają stosunki handlowe z Niemcami, a my, którzy pięść Michałka na własnej czujemy skórze, mielibyśmy się wyłączać od *solidarności* poza tym względem. Ale mam nadzieję, że zbudzimy się ze snu i nie zapomnimy nigdy o tem, co jesteśmy winni godności naszej.

Oby się tak stało!

Za dni kilka gwiazdka Betleemska zaświeci. W świątyniach Pańskich rozbrzmiewać będzie wielki śpiew: *„Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“*

Chwila to piękna i uroczysta!

Na niebiosach jaśnieją gwiazdy, w pałacach i chatach gromadzi się wszystko około drzewka gwiazdkowego. — Jest jakieś oczekiwanie czegoś! — Rodzina od najbliższych krewnych oczekuje oznak pamięci i serca — a narody znękane, narody nieszczęśliwe jednym wielkim chórem wołają: *„Chrystus się narodził — zła moc truchleje!*

Moce piekielne, które około podwalin naszego narodu szalony, szatański zawodzą taniec nienawiści, zgrzytają bezsilnie zębami, bo oto ten Chrystus Pan dał nieszczęśliwemu narodowi jasną i piękną chwilę — poświęcenie dziatek wrzesińskich! I przez to poświęcenie wskrzeszono do życia *solidarność* wszechpolską i *solidarność wszechsłowiańską.*

Wyją moce piekielne, potrząsają łańcuchami, któremi je Pan spętał, ale nie zdzierżą nam i nie zniszczą tego, co dziś do życia wskrzeszacie.

Solidarność ludów słowiańskich to dla nas owa gwiazdka Betleemska, zwiastująca nam wielki, promienisty, pełen mocy *cud.*

Ona wschodzi, już jej promienie błyszczą w różowej zorzy zimowej, a gdy całkiem wzejdzie, więcej mieć będzie blasku, niż gwiazdy niebieskie, zaświeci łuną złotą stu słońc, stanie się potężnem środowiskiem miłości, światła i siły takiej, iż wyjące moce teutońskie do piekielnych pierzchną czeluści, nie mogąc znieść czystości i potęgi tego światła.

Daj Boże doczekać tej wielkiej gwiazdy *Solidarności Słowiańskiej!* Oto moje życzenie na Gwiazdkę!

„Bóg się rodzi, moc truchleje.“

Irydion.

Wszelkie składki

na fundusz Wrzesiński

dla braku miejsca ogłosimy w następnym numerze z specyalnem wyszczególnieniem wszystkich składkujących i zebranej sumy.

Dotąd zebrano M. 5000.

Wiadomości.

— Po nad stołem, białym obrusem przykrytym, splatają się w bratnim uścisku dłonie, a w dłoniach tych opłatek biały, czyli chleb, plon ziemi.

W dłoniach chleb — a w sercach wszystkich miłość....

Niechaj stołem będzie w dzień Wigilii ziemia białym całunem przykryta, a biesiadnikami wszyscy ludzie „pokój miłujący, pokój czyniący.“

I „Praca“ rada też ogarnia myślą w tej chwili wszystkich swych Przyjaciół i Czytelników. Weźcie w dłonie Wasze opłatek, który Wam dziś załączamy i przełamcie się symbolem Chleba Żywota, wpatrzeni w Betleemską Gwiazdę Pocieszycielkę.

Idziemy ku Wam z opłatkiem w dłoni w imię Wiary, Nadziei, Miłości i Zgody....

Przyjmijcie wszyscy od nas bratni uścisk — pozdrowienie i staropolskie życzenie **Dosiego roku!**

Redakcya.

— **Baczność!** **Do dzisiejszego numeru „Pracy“ dołączamy Szanownym naszym Czytelnikom drugi numer „Górnoślązaka“ na okaz z uprzejmą prośbą o łaskawe, natychmiastowe zapisanie na poczcie tegoż pisma. Kwity pocztowe na „Pracę“, „Górnoślązaka“ i „Czytelnią polską“ zamieszczone są na osobnej karcie.**

— **Prośba.** Przy zbliżającej się porze zimowej i nadchodzącej Gwiazdce odzywamy się do serc litościwych za biednemi sierotami naszego zakładu. Przyjmujemy z wdzięcznością dary choć najdrobniejsze czy w naturaliach, czy w pieniądzach,

Łaskawe ofiary prosimy przesyłać na ręce Wielmożnych panów Kasprowicza, Hirschberga, Daneckiego i Michałkiewicza, oraz ks. proboszcza Ussorowskiego i ks. Adamskiego.

Dozór katolickiego domu sierót i ochronki św. Wojciecha:

X. biskup Andrzejewicz. X. Ussorowski. Dr. Wieczorek. X. Piotrowicz. J. Kłossowski. X. Adamski.

— **O nowym wybryku** hakatyzmu poznańskiego odbieramy następującą wiadomość

Z miasta.

„Liczący się do najmajętniejszych obywateli Poznania — właściciel browaru Niemiec, który fortunę swą przeważnie Polakom zawdzięczą, zakazał swemu restauratorowi umieścić obok firmy niemieckiej i polską, aczkolwiek ta już przez malarza wykończoną została; wspomniany restaurator ma dużo gości polskich, którzy do lokalu jego przychodzą.

Spodziewać się należy. że i ten nowy wybryk hakatyzmu wezmą sobie Polacy do serca i szukać będą odetchnięcia i zabawy w takich miejscach, gdzie nic nie będzie raziło ich polskiej godności; dobrzeby było, ażeby niniejszą przestrogę powtórzyły inne pisma polskie.“

— **Zwracamy** uwagę na ogłoszenie pana F. Niewczyka, posiadającego największy skład instrumentów muzycznych w Poznaniu.

Pan Niewczyk w obecnych czasach zasługuje na poparcie, gdyż jest jedynym na całe Księztwo prawdziwie fachowym przedsiębiorcą w tym zawodzie.

Instrumenta własnej fabrykacyi dostawia nie tylko tu w Księztwie ku ogólnemu zadowoleniu, ale wysyła całe komplety za granicę dla wojska rosyjskiego, czego dowodem nam przedłożone bardzo chlubne urzędowe świadectwa.

Zapytajmy się, czy ci, którzy dotąd sprowadzali i sprowadzają instrumenta, nie raczą się przekonać i popierać swego?

— **Zwracamy** uwagę na anons dzisiejszy p. budowniczego B. Najgrakowskiego, który z dniem 1-go stycznia 1902 r. zakłada w mieście naszem bióro budowlane.

Kilkunastoletnie zajmowanie pierwszego stanowiska w najznaczniejszym niemieckim interesie budowlanym w Poznaniu, i okazane mu tamże zaufanie i poważanie daje rękojmią, iż jako wykształcony i doświadczony w swym fachu publiczność pod każdym względem zadowoli.

— **„Wreschener Lumpenbande“** — tak według „Schl. Volksztg.“ (nr. 873) nazwał pewien nauczyciel w jednej z poznańskich szkół miejskich wrzesińskie dzieci szkolne i wrzesińskich Polaków. Słusznie oburza się na to uczciwa gazeta i radzi owemu nauczycielowi, żeby był oględniejszy, bo szkoła nie jest na to, aby w niej miotano wyzwiska.

— **Fotografia Piaseckiej.** Pan Józef Stolski, fotograf w Poznaniu W. Garbary 38, udał się do Wrześni i zdjął tamże fotograficzną podobiznę z Piaseckiej w otoczeniu 5 dzieci i w towarzystwie sędziwej matki tychże. Fotografia udała się wybornie. Piasecka jest zdjętą bardzo dobrze. Piasecka, obecnie obłożnie chora, leży w łóżku. Od białego tła pościeli dobrze odbijają dziatki jej w ciemnych ubraniach. Widok po prostu wzruszający. — Większy format tych fotografii kosztuje 2 m., mniejszy 1 m. Cały dochód ze sprzedaży przeznacza p. Józef Stolski na rzecz dzieci wrzesińskich.

— **Józefowo** w Mogilnickiem. Dnia 26 z. m. odbyło się w Mielinku wesele u jednego z mniejszych gospodarzy. Kilku z obecnych przemawiało do młodej pary i reszty gości, godnych uznania. W serdecznych słowach przemawiali p. Czechowski z Palendzia, p. Wieczorek gospodarz z Parlina i p. Garczyński, dzierżawca prob. z Niestronna. Panowie ci w złotych swych słowach musieli trafić każdemu do głębi serca, i nie zapomnieli także o naszem biedactwie wrzesińskiem. Żeby ci malcy męczennicy nie cierpieli głodu, posypały się hojne datki na ten cel.

Daj Boże, żeby na każdem polskiem weselu nie zabrakło takich mężów, coby umieli zawsze zachęcić do niesienia pomocy tym małym męczennikom wrzesińskim.

Jeden z gości tego wesela.

— **Fotografie najnowsze** J. I. Paderewskiego poleca pierwszorzędny renomowany zakład fotograficzny p. I. Maćkiewicza (Atelier Iris) przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 11 w Poznaniu. W zakładzie p. Maćkiewicza wykonują się wszelkie zamówienia podług najnowszych ulepszeń. Illustracya nasza albumowa Paderewskiego, zamieszczona w zeszłym numerze, wykonaną została według znakomitego zdjęcia fotograficznego, zrobionego w wzmiankowanym zakładzie.

— **Wrocław.** Kierując się starym zwyczajem i pocieszającym rezultatem urządza Towarzystwo przemysłowców polskich i w tym roku gwiazdkę dla najuboższych dzieci polskich tutaj zamieszkałych. W tym celu zbiera się przez cały rok na każdem poniedziałkowem posiedzeniu dobrowolne składki u członków, którzy się z tego obowiązku chętnie wywiężują.

Mozolnie zebrane fundusze nie są jednakowoż dość wystarczające, aby choć część zgłaszających się dziatek obdarzyć można. Dlatego udaje się komisya do wielce szanownych tu zamieszkałych familii polskich z prośbą o poparcie naszego zamiaru i przyczynienia się do ulżenia biedy i nędzy naszych drobnych ziomków. Wszelkiego rodzaju datki już to w pieniądzach, odzieży. pożywieniu, w książkach itp. przyjmuje z podziękowaniem i wdzięcznością komisya:

L. Adamczewski zastępca prezesa. Linetty. Sprutta. Worchowiak. Nowak. Hamulski.

— **Swieżo** opuściła prasę „Mowa żałobna na pogrzebie ś. p. z Łukomskich Teodory Hulewiczowej w kościele parafialnym w Graboszewie dnia 11 listopada 1901 r. Wygłosił ks. Józef Kłos, pierwszy prebendarz przy kościele św. Dominika w Poznaniu, redaktor „Przewodnika Katolickiego“. Poznań. Nakładem Rodziny. Czcionkami drukarni „Pracy“ (M. Biedermann) Rycerska ulica 38.“

Od Redakcyi.

Panu Edwardowi Urb. w Krobi. Jeżeli opiekun rządził gospodarstwem, to powinien był wszelkie wydatki na gospodarstwo potrzebne z dochodów opłacać i długi pokrywać. Opiekun winien złożyć rachunki z prowadzenia gospodarstwa, o co go ewentualnie trzeba skarżyć.

P. St, Bukowska, Żnin. Nr. 9 i 11 „Pracy“ skonfiskowane; nr. 35 i 37 wyczerpane.

Panu W. Waliszewskiemu w Pleszewie. Dotychczas nie mamy.

Tow. gimnastyczne „Sokół“ w Herne. Najserdeczniejsze podziękowanie za nadesłane nam współczucie z powodu aresztowania Dr. R.

Pana F. K. w Herne. (Kat. Gesellen, Herne). Ze względów prasowych nie możemy zamieścić.

Panu Karolowi Hebenstreitowi w Nowym Sączu (Galicya). Oddaliśmy do załatwienia Księgarni p. Cybulskiego w Poznaniu. Zasyłamy miłe pozdrowienie.

Panu Sylwestrowi Grufińskiemu we Wronkach. — Nietylko Panu, ale setkom składkujących poczta przekazów pocztowych na fundusz wrzesiński z adresem: „Redakcya „Pracy“ Poznań (Posen) przyjąć nie chciała. Hakatyzm pocztowy i szykany pocztowe nie ustają, a my napróżno w tej sprawie szukamy sprawiedliwości!

P. Teofil Wieczorek — Rybnik. — Wyczerpane.

P. Karol Hebenstreit — Nowy Sącz — Galicya. Zaległe numery „Pracy“ o ile były w zapasie, wysłaliśmy. — Resztę oddaliśmy księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu św. Marcin do załatwienia.

P. K. Wrzyszczyński — Zakrzewo. — W bieżącym kwartale nie. — Zgłoś się Pan po wiadome książki do księgarni A. Cybulskiego — Poznań, św. Marcin 16/17.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Dział illustrowany „Pracy.“



Gdy Ludzkość pod brzemieniem trosk,
Zdało się w nicość już zatonie,
Gdy tryumfował szpetny gwałt
I fałsz ozdabiał laurem skronie, —
Gdy w sprawiedliwość godził cios,
Aż mrzeć poczęła już powoli,
W ów czas w cudowną wzniósł się noc
Głos: „Spokój ludziom dobrej woli!“

I biegł ten głos wzdłuż świata, wszerz,
W pałace wpadał, w nędzne chaty,
By cała ludzkość brała zeń
Mnogich korzyści łup bogaty.
Był on balsamem wszystkich ran
I ukojeniem wszej rozpaczy,
Nadzieja bowiem biegła z nim,
Że będzie przecie raz inaczej.

Próżno mu chcieli zadać kłam
Fałszywi dawnych dni prorocy,
Gwiazdka z Betlejem jasny dzień
Przyniosła po tej długiej nocy...
Wiara z miłości wzięła świat
W objęcia swoje, jak dziecinę;
Daremnie chciał ją stłumić gwałt,
Mówiła ciągle: „Ja nie zginę!“..

I zwolna przyszedł wielki dzień,
W którym święciła tryumf ona,
Gdy padła wreszcie u jej stóp
Fałszów i gwałtów wszech korona...
Kiedy w dziejowym toku chwil
Prawda zabłysła aureoli,
By treść osnowy spełnić swej
Ów „Spokój ludziom dobrej woli“.

Jak przed tysięcy dwojgiem lat,
Dziś ludzkość znów krwią ślad swój broczy,
I znowu gwałt i znowu fałsz
Do wspólnej pracy się jednoczy,
Więc pyta dziś posępny żal:
„Czy nigdy zmory tej nie zwiejem?“
O przyjdź co rychlej z światłem swem
Cudowna gwiazdo ty, z Betlejem...

Przyjdź, póki jeszcze w sercach tkwi
Wiara, że Boży sąd wyznaczy
Karę na piekieł tłumną czerń
I nie da ugrząść nam w rozpaczy.
Dopóki nie brak jeszcze sił,
By kiedy moc twa nas wyzwoli, —
Zdołał wskrzeszenie przynieść znów
Ów „Spokój ludziom dobrej woli!“

W. Sz.



„Bóg się rodzi — moc truchleje,"

oto pełne znaczenia wyrazy, jakiemi rozbrzmiewa hymn, zwiastujący przyjście na świat Boga-Człowieka, ucieleśnienia najwznioślejszych ídei, jakie kiedykolwiek objawiły się na ziemi, najpotężniejszych natchnień co przenikły ducha ludzkości.

Jakże wiele się wyraża w tych kilku słowach, stanowiących początek hymnu na cześć Zbawiciela!

Oto z niedostępnych dla słabego śmiertelnika, nieodgadnionych i niepojętych a tylko przeczuwanych tajników Wszechmocy spływa na świat pomiędzy ludy Potęga nad potęgami, wobec której nikłą i marną jest wszelka siła doczesna, truchleć i wcześniej czy później ukorzyć się musi, choćby nie wiem jak rozzuchwalona zwodniczem powodzeniem i w swej zatwardziałości rozpasana! — — —

„Bóg się rodzi, moc truchleje" — jakiż to groźny napomnienia głos dla ciemięzców ludzkości, dla gwałcicieli przykazań Boskich i praw człowieczych, dla przeniewierców prawd chrześciańskich i świętokradzców, znieważających narodowych świętości ołtarze! — —

Oto słowa pocieszenia i otuchy dla prześladowanych, a strasznej wróżby dla prześladowców, dla wichłaczów przyzwoicie, „wielkimi mężami stanu zwanych," dla ludzi nadużywających swej władczej przewagi ku pognębieniu i niedoli słabszych, dla tych, którzy uderzając na innych, wołają na głos cały, że się bronią, dla bluźnierców, co krwawą krzywdę wyrządzaną bliźnim i łzy okrutnie wyciskane nazywają zasługą kulturną względem ludzkości. — — —

„Bóg się rodzi, moc truchleje!" — tak, wierzymy w to, że maluczko, a „struchleje," a w proch się rozkruszy i rozsypie wśród przerażenia każda moc bezbożna, nie oparta na fundamencie sprawiedliwości, na podstawie przykazań, które nadał sam Stwórca ludzkości, padnie w gruzy każda moc, co wielką prawdę o miłości bliźniego haniebnie depce i zniweczyć pożąda.

Taka nadzieja i wiara w Wszechmoc Bożą w dzień uroczysty Narodzin Chrystusowych szczególnie silnie odzywa się w sercach szarpanych prześladowczą ręką przemocy.

„Bóg się rodzi" — tak rodzą się wszelkie uczucia, które człowieka słusznie przenoszą w nadprzyrodzoną sferę sprawiedliwości wszechmocnej: odradza sie znów nadzieja w zwycięstwo chrześcijańskich prawd, odradza się wiara w miłosierdzie Pana Zastępów, miłość do wszystkiego, co z Boga bierze początek.

A gdy myśli takie poruszają serca, gwiazdka Chrystusowa, jakby widoczny znak Boży, jaśnieje na niebios sklepieniu i drga wesoło i uśmiecha się tam, w niezmierzonych przestworach tak, jak płomyk nadziei świeci wśród bezmiaru ponurych myśli i trosk i cierpień srogich. Trzech monarchów dumnych i potężnych ta sama gwiazdka wiodła do stajenki betlejemskiej — oto symbol światła wiary chrześcijańskiej. Niechby ta gwiazdka chrześcijaństwa nie trzech, ale wszystkich władzców tej ziemi wiodła szlakiem uczciwych chrześcijańskich zasad, aby złudne blaski siły i potęgi nie wiodły żadnego z nich na błędne, a śliskie i niebezpieczne dla nich samych tory. — —

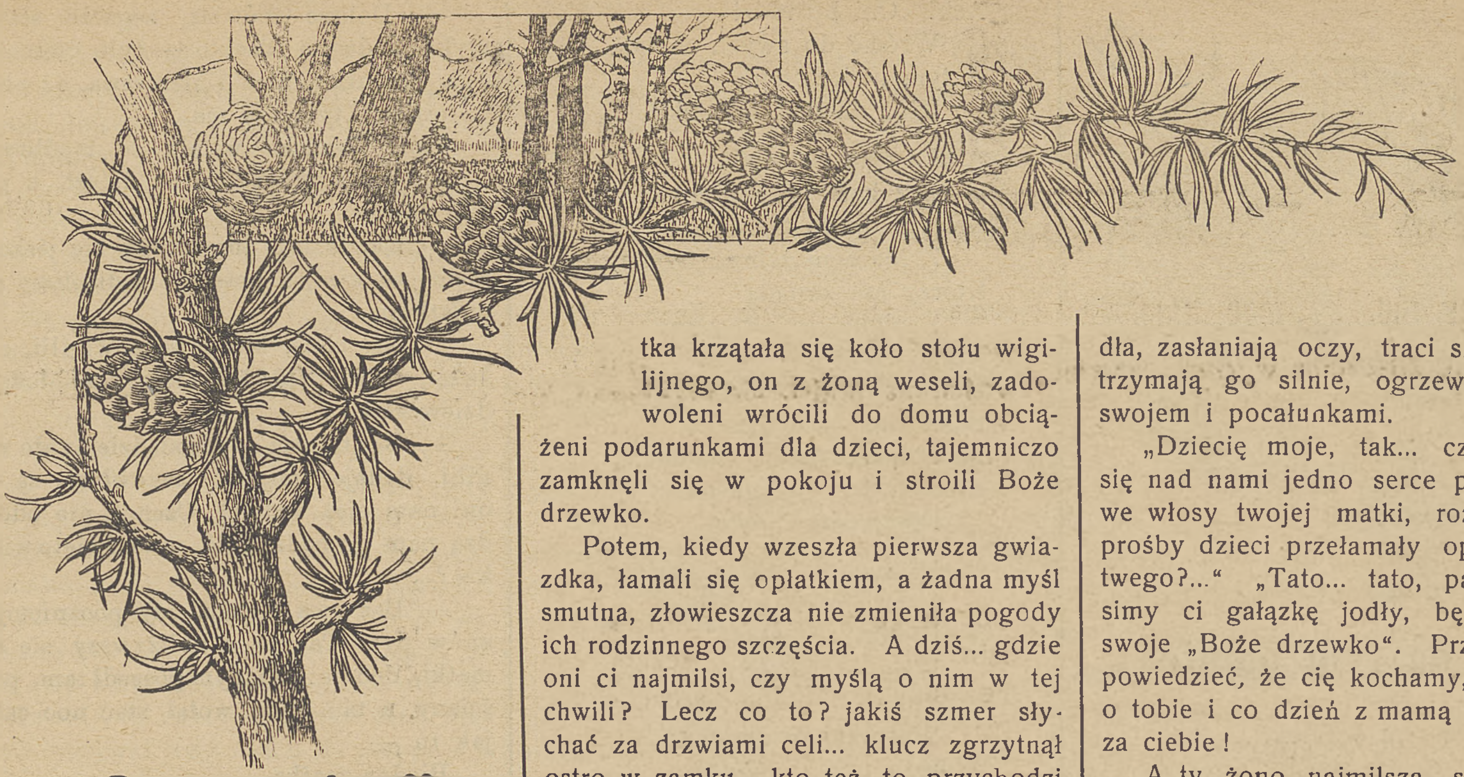
Głupim i zaślepionym własną pychą ludziom „gwiazdka" Bożego Narodzenia nie przyświeca niestety jako znak tradycyjny chrześcijańskiego światła. Ci, rozpoznają dopiero to światło, gdy Wszechmoc złamie ich harde karki i w proch pokuty nagnie ich duszę i ciało. Przy jaśniejszem świetle prawdy odwiecznej, właśnie ci, którzy najgłośniej dziś krzyczą o swej sile, wielkości i sławie, będą urągowiskiem dla świata. — Pycha i wyniosłość z tego samego, mętnego pochodzą źródła instynktów, co płaszczące się przed potężniejszym służalstwo, co rezygnująca z własnej godności pokora. I może niezadługo chełpliwa dziś pycha lizać będzie w swem znikczemnieniu chłoszczącą dłoń przemocy, miląc się, płaszcząc, czołgając niewolniczo i podłe spojrzenia z błaganiem o litość rzucając z tych samych oczu, które dziś równie podle, z nienawiścią i butą spoglądają na słabszych i uciemiężonych. Taki wyrok niezawodny czeka tych, którzy obłudą, kłamstwem, hypokryzyą i bałwochwalstwem własnej przemocy z szatańską złością usiłują zaćmić światło Chrystusowej wiary. Ale daremne piekła wysiłki! Światło rozniecone przed dziewiętnastu wiekami przedzierało się zawsze i przedzierać się będzie w przyszłości przez wszelkie mroki, aż nadejdzie czas, może niezadługo, gdy gwiazdka Chrystusowa, dziś gwiazdka nadziei i wiary, zabłyśnie ludzkości blaskiem tryumfu i wesela. — —

Z taką myślą wespół z całym prawdziwie chrześcijańskim światem wznieśmy serca nasze do Boga, a siadając przy blasku gwiazdki Bożej na okół wilijnego stołu i dzieląc się opłatkiem podług starego zwyczaju, pomyślmy też, że oprócz pokarmu dla ciała, potrzeba nam jeszcze chleba duchowego, a szczególnie chleba narodowego. Łamiąc opłatek, pamiętajmy, że całe młodsze pokolenie nasze, pragnie tego chleba, że o niego woła, że go mieć musi, jeżli mają w niem żyć te same uczucia, z jakiemi dziś sobie wzajem i całemu społeczeństwu polskiemu wołamy:

„Dosiego Roku."

Redakcya.





„Po wyroku.”

Więc to już pono wieczór! Straże się zmieniły... Czy weszla też gwiazdka wigilijna na ciemny błękit nieba? Jakże tu pusto i zimno i straszno w tej małej celi więziennej! Dziś Święto... Wielkie Święto Chrześciańskie! Raduje się świat, wesołość rozbrzmiewa pod każdą strzechą rodzinną... Wszyscy zebrali się razem, uścisk bratni łączy dłonie, godzą się poważnieni, dzielą opłatkiem możni z nędzarzami; wdzięczne serca zapominają o swoich cierpieniach, śmiech dziecięcy rozlega się po świecie, jak świergot ptaszląt, a pienia pobożne i radosne pieśni biegną przed tron Przedwiecznego, jak jeden olbrzymi głos ludów ziemi!

Najnędzniejszy znalazł dziś przytułek i miejsce przy stole wigilijnym, samotnego przygarnięto, smutnego pocieszono, bo dziś z tą wielką Świętą Wigilją otwierają się serca ludzi, a dusze jednoczy myśl jedna i jedna wiara!

Zmrok zapadł w celi... znękane serce, zgnębiony umysł biednego więźnia szamoczą się, jak ptak zamknięty w klatce, duch rwie się do słońca, do swobody, wolności i szczęścia! Dlaczego... dla czego, za jakie winy pogrzebano go żywego do grobu? — Gdyby choć na jednę chwilkę, dziś w to święto tak radosne pozwolono mu zobaczyć ich... uścisnąć tych ukochanych, a potem niech się stanie, co Bóg zechce. Daremne marzenia... długo, jeszcze długo samotność i tęsknota będą jego jedynymi towarzyszami. — Rok temu jakiż to dzień był radosny! Stara kochana matka krzątała się koło stołu wigilijnego, on z żoną weseli, zadowoleni wrócili do domu obciążeni podarunkami dla dzieci, tajemniczo zamknęli się w pokoju i stroili Boże drzewko.

Potem, kiedy wzeszła pierwsza gwiazdka, łamali się opłatkiem, a żadna myśl smutna, złowieszcza nie zmieniła pogody ich rodzinnego szczęścia. A dziś... gdzie oni ci najmilsi, czy myślą o nim w tej chwili? Lecz co to? jakiś szmer słychać za drzwiami celi... klucz zgrzytnął ostro w zamku... kto też to przychodzi przerywać mu jego bolesne marzenia, czyż nawet dziś w ten wieczór nie zazna spokoju? Może dozórca, poczciwy jakiś człowiek, przynosi mu wieści, list może? Drzwi uchylają się powoli, zamigotało jakieś światełko... Boże Przedwieczny!



Dr. Kazimierz Rakowski,
Redaktor „Pracy,“
skazany na dwa lata więzienia.

Prawdaż to, czy złudzenie... ona żona ukochana idzie do niego, a z nią dzieci, staruszka matka... idą a wzrokiem nakazują milczenie. Więzień tłumi okrzyk radości, co mu piersi rozsadza, otwiera ramiona i tuli ich wszystkich do rozszalałego radością serca!

Nie śmie mówić, pytać, tylko patrzy... patrzy i jeszcze w szczęście swoje nie wierzy. Cisną się łzy do gardła, zasłaniają oczy, traci siły, lecz oni trzymają go silnie, ogrzewają ciepłem swojem i pocałunkami.

„Dziecię moje, tak... czy zlitowało się nad nami jedno serce poczciwe, siwe włosy twojej matki, rozpacz żony, prośby dzieci przełamały opór dozórcy twego?...“ „Tato... tato, patrz przynosimy ci gałązkę jodły, będziesz mieć swoje „Boże drzewko“. Przyszliśmy ci powiedzieć, że cię kochamy, pamiętamy o tobie i co dzień z mamą modlimy się za ciebie!

A ty żono najmilsza, słoneczko ty moje, co mi powiesz? Lecz ona stoi w milczeniu, potem do nóg mu przypadła i trwała tak w swojej rozpaczy.

Powstań żono, miej w Bogu nadzieję, On policzy łzy nasze, a teraz zapomnijmy o wszystkiem, chwile szczęścia krótko trwają.

Rozjaśniła się cela samotnika, szczebiot dzieci obił się jak głos Aniołów o więzienne ściany, serca biły żywiej, złudzenie szczęścia dało zapomnienie przebytych cierpień, radość napoiła udręczone dusze. „Miej w Bogu nadzieję synu, wyzwolenie niedalekie, błogosławię ci na twoją mękę, modlić się będę o siły dla ciebie i jasną przyszłość. Teraz czas nam w drogę... O, nie odchódź matko... żono moja pozostań... dzieci ukochane moje, nie zabierajcie mi ich... jeszcze, jeszcze chwilkę.., wyciągnął do nich ramiona, lecz oni uchodzili coraz dalej... dalej... rozpływali się we mgle, jak sen, złudzenie.

Ręce jego, do uścisku wyciągnięte, dotknęły zimnych ścian celi... więzień zbudził się do rzeczywistości... Cela była znów pusta, straszna, zimna, a on samotny; tylko sen piękny, sen o najmilszych pokrzepił zwątlone siły, nadzieja swoim promieniem rozjaśniła urok jego myśli, bo... szczęście prześnione w wieczór wigilijny, jest przepowiednią szczęśliwej przyszłości. — —

Laura Zejdowska.



Któż da tym opłatek?

Któż da tym opłatek,
Co od nas daleko?
Za wielkiemi góry,
Za dziesiątą rzeką?
Którzy poszli z kraju
Sieroty — bez chleba...
Nie miała zagonu
Dla nich ojców gleba...
Poszli oni z kraju
Z wyciągniętą dłonią...
Może chleb znaleźli,
Lecz łzy bólu ronią.
I radziby wrócić
Morzem niby rzeką...
Któż da tym opłatek,
Co bardzo daleko?

Któż da tym opłatek,
Co z kraju wygnani —
I w sybirskich lodach
Żywcem pogrzebani...
Przykuci do taczek,
Walą młotem w bryły,
By dla skarbu cara
Znaleźć złota żyły...
Ani im tam słońca,
Ni od braci wieści,
Wspomnienie im szepce
Tylko opowieści.
O tem, że w Ojczyźnie
Przy wilii zebrani...
Któż da tym opłatek,
Co z kraju wygnani?

Któż da tym opłatek,
Co w kaźni więzienia
Za pracę — oświatę
Ponoszą cierpienia....
I dla nich w ten wieczór
Straszna jest ta cela,
Która od rodziny
Odłącza — oddziela...
Zimne — głuche ściany
Nie dzwonią kolędy.
A tęsknoty skrzydło
Rozściela się wszędy.

Ach! Oni by radzi
Wrócić do swych chatek...
A tym uwięzionym
Któż da dziś opłatek?

Ach! i tym co biedni,
Bez kąta — bez chleba...
Którym długo nieraz
Z płaczem żebrać trzeba,
Którzy nie zasiądą
Z nikim do wieczerzy,
Łyżkę ciepłej strawy
Nikt im nie odmierzy
Bezdomni — nędzarze,
Tułacze wśród chatek...
Kto ich dziś przygarnie
Kto da im opłatek?

Do jednych — my myślą
I sercem się zwróćmy...
Z drugimi — kolędę
Wesoło zanućmy.
Przytulmy bezdomnych,
Wesprzyjmy ubogich,
A może tam — kędyś
I wśród wrogów srogich
Obudzi się serce,
Zrozumią opłatek,
Powrócą więźniowie
Do rodzinnych chatek!

Łobzowianka.

Bez ojca!!

„I więcej niż na jawie — płynie łez w ukryciu.“

Gdy nadszedł wieczór wigilijny —

Cichy, uroczysty i poważny wieczór, w który zasiadają wspólnie do wieczerzy — wszyscy z rodziny i domownicy, często i przyjaciele i sąsiedzi, jakże było tam smutno, gdzie zabrakło „jego?“

— Dlaczego tatusia nie ma! szepcą przez płacz drobne dzieci i nadsłuchują pilnie, czyli tatuś nie idzie i przyciskają do szyb oczęta zamroczone smutkiem, patrząc, czyli nie dojrzą tatusia na ulicy...

— Więc sami będziemy? pyta syn starszy, chłopiec dziesięcioletni, który długo kryty żal poczyna w łzach przelewać...

— Bez ojca, odpowiada najstarsza siostra, z rysem bólu na czole — czyż nie wiesz, Tadziu, że ojca nie puszczą?

A matka biedna łzami zalana klęczy przed obrazem Boga Rodzicy i szepce z skargą ciężkiego smutku:

— Pamiętaj, iż nigdy nie słyszano, abyś tego opuścić miała, kto się do Ciebie uciekał...

Cicho...

Stary zegar idzie wolnym ruchem, a głos jego obojętny na płacz i smutek powtarza raz po raz: — „tyle, tyle, tyle.“

— Dobrze mówisz, zegarze stary, myśli w duchu Tadzio — tyle nieszczęścia i smutku, żalu i sieroctwa, iż chyba nigdzie tyle nie ma...

Pani Wrańska wstała od modlitwy.

Spojrzała przez łzy na dzieci, a potem rzecze:

— Chodźcie! pomodlimy się jeszcze razem za ojca, a potem przedzielimy się opłatkiem.

— Nie chcę, bez tatusia wigilii, ani świąt, ani kolędy — mówi najmłodsze dziewczątko....

— Bez tatusia — nie siądziemy do wigilii, dodaje Staszek, jasnowłosy, za co oni nam ojca wzięli? Czemu nie oddadzą nam go bodaj dziś, w to święto wielkie?....

— Bez ojca — cóż my poczniemy? znów pyta Tadzio, a zbliżywszy się do matki, dodaje: — jabym poszedł tam, pod ściany, a tam bym wolał stać noc całą, jak tu —

Biedna matka...

Każde słowo dziecka rani ją boleśnie... Ona sama cierpi bezmiernie, a żal i smutek dzieci cierpienie jej powiększają....

— Za co oni go wzięli? mówi do dzieci — czyż nie wiecie? Wszak winny jest w ich oczach, bardzo i srogo winny, on kocha Polskę i uczy kochać, a to wystarczający powód, aby go skazać na więzienie.... Napisał dla ludu parę uwag, dał parę rad, co trzeba czynić, aby uchronić się od bezprawi, więc za to — zamknięty. Teraz pióra mu nie dadzą, bo to straszna broń, pióro w ręku uczciwego Polaka, piszącego dla ludu.. Papieru ćwiartki nie dadzą, bo papier to jak dynamit niebezpieczna rzecz — można napisać na nim myśli czyste o tem, iż Polacy żyją i nie zginą....

Zegar znów powtarza: — „tyle, tyle, tyle“, a w ubogiem mieszkaniu pani Wrańskiej smutek coraz głębszy.

— Bez ojca, jesteśmy dziś, mówi matka spokojniejszym już głosem, a zdaje się nam, iż nieszczęście to jest bezgraniczne... lecz pomyślmy, co się tam jemu dzieje! Sam jeden! Pusta, głucha, zimna cela więzienia, a on sam... sam jeden... I on może tak samo w tej chwili szuka nas myślą, jak my jego szukamy, lecz my razem, my wolni, a on —

Łzy przerwały jej mowę...

Uklękła do wspólnej modlitwy z dziećmi, a potem przełamując się opłatkiem z smutną swoją gromadką, powtarza raz po raz:

— Pomnijcie, iż ojca wam wzięli za to, że Polskę kocha... niech wam to będzie nauką na całe życie!

Usiedli do wieczerzy.

Nie podobny ten wieczór do uroczystej wigilii i radosnego święta, lecz raczej zbliżony do żałobnej jakiejś chwili.

Tadzio nic nie je.

Czoło mu opasuje jakby rozpalona obręcz żelazna, a w uszach mu szumią jakieś dziwne szepty i gwary.

Nic nie chce mówić, bo wie, że każde słowo jego dodawałoby matce żalu, a on już pojmuje dobrze, że i ona za wiele męztwa okazuje...

Wlepił swe smutne oczęta w twarz matki i czyta na niej każdą myśl niewypowiedzianą, każdy rys bólu zarysowany wyraźnie... zdaje mu się, że nigdy dotychczas nie czuł tego co znaczy niewola, aż dziś — oto w tej chwili, gdy bez ojca być muszą w takiej chwili, a ojciec jest tu w tem samem mieście, niedaleko, jest po za żelaznemi kratami, po za strażą z karabinami... teraz on widzi nieszczęście przed sobą i czuje jakąś moc taką, iżby szedł gdzieś w światy dalekie, a rwał wszystkie pęta niewoli i wzywał wszystkich do pracy, aby była sprawiedliwość...

— Dlaczego tyle innych dzieci ma ojców swoich przy sobie w święto drogie, a my bez ojca!... Czyż to zbrodnia, kradzież, zabójstwo, nieuczciwość, iż karzą tak samo za pracę dla ludu, jak karzą złodzieja — rozboja — zbrodniarza?...

Młodsze dzieci — rozweseliły się trochę. Poczynają szczebiotać, każdy uśmiech ich jak koląca szpilka wbija się w jego myśl...

Biedna matka, droga matka dla rozweselenia tej smutnej wieczerzy, poczyna śpiewać drżącym z żalu głosem: — „W żłobie leży“... a im śpiew ten dzwoni jakby echem kajdan niewoli, jakby kuciem krat zamykających ojca...

— Tadziu!... ty chory? pyta matka, spojrzawszy na syna... jak ty wyglądasz?... co ci jest?...

— Nic!... to przejdzie... trochę mię głowa boli...

Starsza siostra dotyka ręką czoła.

— Gorące!... co ci Tadziu?...

— Tak dziwnie mi w duszy — zdajemi się mamo, że spałem do tej pory i nierozumiałem, co to niedola, aż dziś — gdy obaczyłem, żeśmy bez ojca, inny świat widzę. — Mamo!... zdaje mi się, jam już jak mężczyzna zrozumiał prawdę i — niesprawiedliwość...

— Tak moje dziecko!... Cierpisz i bolejesz, ale ofiaruj to Bogu — cóż robić?

— O moja mamo!... nam trzeba żyć inaczej, gdy jesteśmy „bez ojca“, gdy mają prawo zamykać za to człowieka, iż swoich braci oświeca. — —

— Rozpalone masz czoło, połóż się, prosi matka...

Młodsze dzieci z przestrachem na Tadzia patrzą, bo i one coś widzą w jego twarzy dziwnego i smutnego...

A siostra starsza pyta matkę:

— Możeby po lekarza?

Lecz Tadzio upewnia, że lekarza nie trzeba, on się uspokoi, niech się mama nie trwoży, dość zmartwień, czyż jeszcze trzeba by on smucił?...

Po wigilii.. dzieci kolędują, pytają co chwila, czy tatuś miał wieczerzę, czy nie głodny — siostra starsza usiadła przy sofce, na której Tadzio leży, a matka jeszcze się krząta ze służącą w kuchni...

W godzinę potem, zbiera się Tadzio do wyjścia.

— Pozwól mamusiu! przejdę się trochę, czuję, że mi będzie lepiej, jakoś brak mi powietrza, pójdę w stronę więzienia, chcę się popatrzeć bodaj na te mury, które ojca kryją...

I poszedł...

W mieście było pusto i głucho.

Wszyscy w mieszkaniach i domach skupili się w gromadkach rodzin i przyjaciół, a miasto zdawało się uśpione zupełnie...

Z okien domów biły snopy świetlane na ulice śniegiem pobielone, czasem dolatywał głos śpiewu kolęd radosnych, tu lub tam jarzyło się świecami drzewko, przy którem dzieci skakały.

Tadzio szedł śpiesznie...

Dążył w stronę, gdzie było czerwone, wielkie więzienie dla zbrodniarzy i gdzie jego ojciec biedny był zamknięty jako redaktor pisma dla ludu...

Miał on w kieszeni jeden numer gazety, podpisany przez ojca i cisnął go w dłoni gorączkowo... Potem wyjął — przystanął przy latarni, przypatrzył się tytułom artykułów, a ujrzawszy artykuł, za który go uwięziono, przycisnął martwe kartki papieru do ust i płakał jak dziecko małe...

Z falą łez — rozpłynęła się w duszy jego jeszcze większa gorycz bólu... Zdawało mu się, że rozmiar bólu wyrządzone ojcu jego i im — dzieciom jest tak wielki, że go unieść nikt nie zdoła...

Potem poszedł pod ściany więzienia, przytulił ucho do zimnych murów, jakby słuchał, czy głos ojca po nich nie płynie, potem kilka razy wyszeptał z łzami drogie słowo: — Ojcze! ojcze!... aż wreszcie padł na ziemię, a śnieg sypiący gęsto — przykrywał go lekko...

. . . .

W dwa miesiące potem — wyniesiono Tadzia w trumnie białej na cmentarz...

„Bez ojca“ — szeptano w około... ale ojca nie chcieli puścić z więzienia na pogrzeb syna... a dopiero za dwa tygodnie miał być wolny...

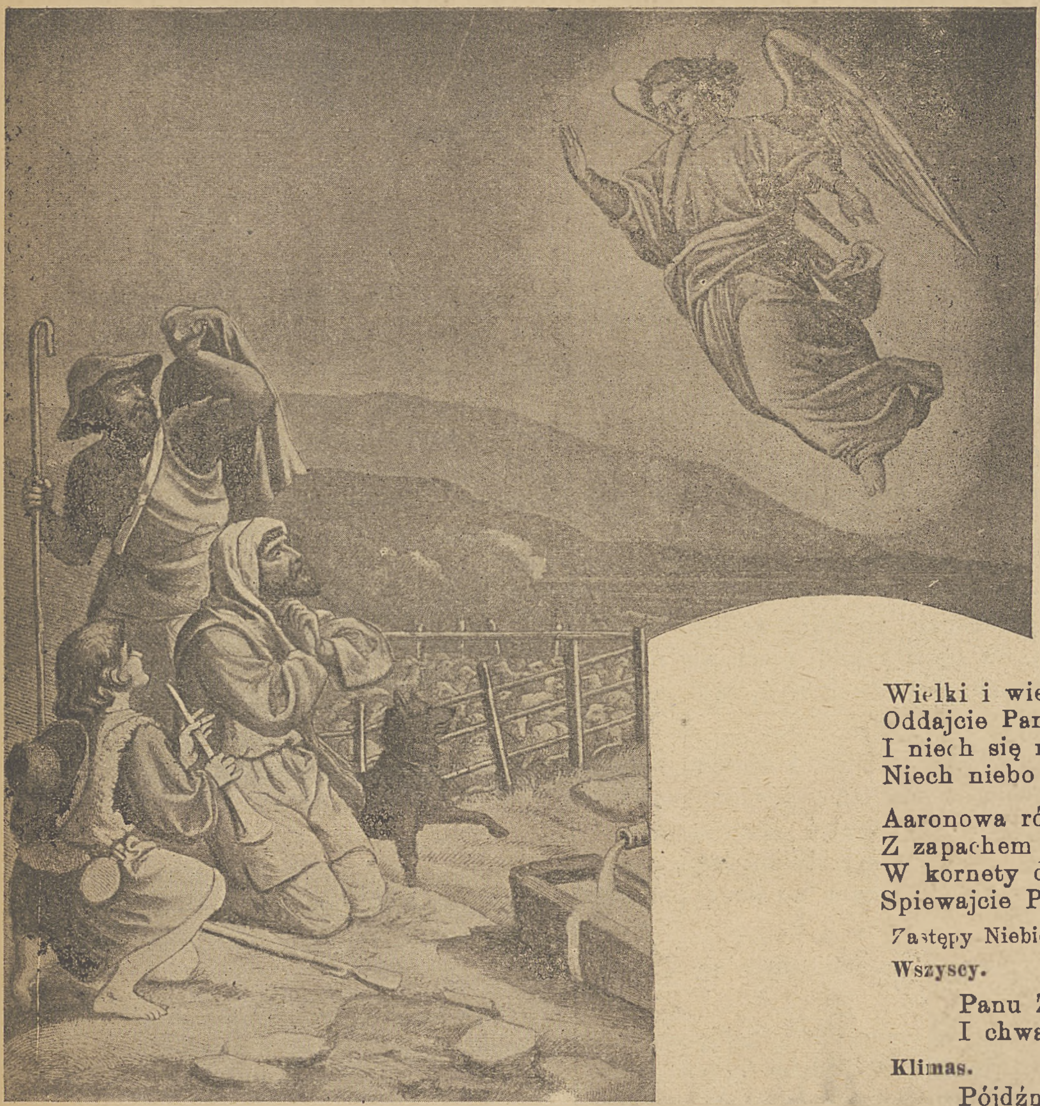
Gdy biedny redaktor potem w końcu roku pisał artykuł pod tytułem „z opłatkiem“ — pióro wypadło mu z ręki i łzy pismo zalały...

A ci co brali gazetę do ręki, czytali piękny wiersz — szeptali cicho: — Kochany nasz redaktor!... Jak on ładnie pisze!...

Redaktor zaś mówił do żony: — tamtego roku łamaliście opłatek bez ojca — dziś — bez syna!...

Jadwiga z Z. S.





Anioł pasterzom mówił...

Maciek czuwający nad śpiącymi towarzyszami, przed namiotem na łące Betlehemskiej.

Jakże noc piękna! Dokoła ciemno,
Lecz w górze widać gwiazdy nademną;
Choć małe, jednak w ciemności świecą —
A jaka cisza!... Odpocznę nieco.

Siada w pobliżu namiotu i drzemie. Po chwili jasność wielka ogarnia niebo i ziemię. Maciek przeciera oczy.

Cóż to za jasność wielka nad łąką?
Czy to już świta i wschodzi słonko?
Nie, jeszcze ciemność nocy nie znikła!
Nie, nie, to jasność jakaś niezwykła!
Obudzę Jacka, Kubę, Kaźmierza:
Wstawajcie, prędzej, ach, do pacierza!

Trzej śpiący u wejścia do namiotu budzą się, słysząc wołanie.

Wstawajcie wszyscy: Klimasie, Stachu!
Prędzej, Szymonie, Sobku, Michale!

Wszyscy, wybiegając z namiotu:

Cóż to jest? Słonka nie widać wcale,
A taka jasność!

Michał.

Umrę ze strachu!

Anioł Pański staje nagle przed pastuszkami, którzy, olśnieni światłością niezwykłą, padają na kolana, przysłaniając sobie rękami oczy.

Nie bójcie się, gdyż oto wam
Zwiastuję radość wielką,
I pozna cud wnet wszystek lud
Wraz z ziemią-karmicielką:

Że dzisiaj się narodził wam
Zbawiciel, a zaś owym
Jest Chrystus Pan, a jest wam dan
W Betlehem Dawidowem.

A to na znak niech będzie wam,
Zapamiętajcie sobie:
Znajdziecie wnet stajenkę tam,
A Dziecię Boże w żłobie.

Anioł Pański znika, jednocześnie Zastępy Niebieskie ukazują się na niebie.

Chór Aniołów.

Na wysokościach Bogu Wszechmocnemu [chwała,
Nad łoskot huraganów, nad szum oceanu,
Nad mocne wały morskie Mocniejszemu [Panu —
Niech odda cześć i chwałę ludzkość ziemi [cała!

I niechaj będzie chwała na niebiosach Bogu,
A zaś na ziemi pokój ludziom dobrej woli;
W pokoju bowiem znajdą kres swojej nie- [doli,
Gdy zgoła straż mieć będzie na ich domów [progu!

Wielki i wielkiej chwały Wszechmocny godny Pan!
Oddajcie Panu wszyscy imienia Jego cześć,
I niech się nikt nie wzbrania swych darów Jemu nieść,
Niech niebo się weseli i ziemia idzie w tan!

Aaronowa różdżka wydała bujny kwiat,
Z zapachem róż, mieniący się tęczą siedmiu barw;
W kornety dmijcie, w trąby, uderzcie w struny harf —
Spiewajcie Panu wszyscy, gdyż idzie sądzić świat!

Zastępy Niebieskie znikają. Na niebie świeci Gwiazda Betlehemska.

Wszyscy.

Panu Zastępów niech będzie chwała,
I chwała Nowonarodzonemu!

Klimas.

Pójdźmyż, o bracia do Betlehemu,
Tę rzecz oglądać, która się stała,
Którą oznajmił nam Anioł Pana!
Niech Maciek ze mną weźmie barana,
Niech Kaźmierz owcę z sobą zabierze,
Kuba nietkniętą swoją wieczerzę,
A Szymek białych gołąbków parę —
Gdyż trzeba Panu złożyć ofiarę.
Sobek do brony niech wiąże strony,
Niech Jacek chudy zagra, dmąc w dudy,
Stacho w fujarę, Michał na flecie —
A każden uczci z nas Boże Dziecię.

Wszyscy.

Śpieszmy więc zaraz do Betlehemu,
Złożyć hołd Nowonarodzonemu!

. . . .

Echo Kolędy, śpiewanej przez świętego Józefa Dziecięciu Jezus.

W żłobie leży —
Któż pobieży
Kolędować małemu
Jezusowi
Chrystusowi.
Dziś do nas zesłanemu?
Pastuszkowie, przybywajcie,
Jemu pięknie przygrywajcie,
Jako Panu swojemu!

Dziecię Boże
Czem kto może
Niechaj uczci w zbożny czas;
Z piosneczkami
I darami
Niech pobiegnie każdy z was!
Przybywajcie, pastuszkowie,
Niech nie zwleka, kto się dowie —
Przybywajcie wszyscy wraz!

Witold Łaszczyński.

Pan Łukasz.

(Reminiscencya wigilijna).

Było to w roku... mniejsza w którym, dość, że dawno, bardzo dawno. Na dwa tygodnie przed Bożem Narodzeniem wzywa mnie naczelnik naszego wydziału w Komisyi Rządowej Przychodów i Skarbu i powiada:

— Panie Łukaszu, czas bo ci się żenić...

— Ja sam nie wiem, panie naczelniku...

— Ale ja wiem, jako twój zwierzchnik i opiekun. Mówię ci więc, panie Łukaszu, że czas, wielki czas. Wszak masz już trzydziestkę?

— Trzydzieści lat, cztery miesiące, ośm dni i prawie 17-cie godzin — odparłem jednym tchem boć byłem przecież na posadzie pomocnika rachmistrza...

— Tak, tak, wiem, żeś w rachunkach tęgi i dlatego wyjednałem u dyrektora dla ciebie awans. Od Nowego Roku zostajesz rachmistrzem, więc możesz, a nawet powinieneś się ożenić.

— Skoro pan naczelnik tak powiada...

— Wiedziałem z góry, że uznasz moją racyę i już nawet upatrzyłem ci pannę odpowiednią.. Weźmiesz urlop, pojedziesz na święta i... wrócisz zaręczony...

— Dobrze, panie naczelniku, wezmę urlop i wrócę zaręczony — odpowiedziałem, pocałowałem w ramię mego opiekuna i zabierałem się do odwrotu, bo mnie jeszcze czekało zsumowanie kilku olbrzymich kolumn cyfr, a wiedziałem, że referent czeka na moją robotę dość niecierpliwie,

— Zaczekajże, rozstrzepańcze... Wszak nie wiesz jeszcze, z którą panną cię swatam, gdzie masz jechać...

— A prawda, pan naczelnik nic mi nie powiedział, gdzie mam jechać.

— Wszak znasz Adama Chłudę, mego ciotecznego, tego wąsatego i brzuchatego szlachcica z pod gór Świętokrzyskich?

— A jakże, znam. Sprawdzałem mu rejestra gospodarskie, które z sobą przywiózł, i okazało się, że w pozycyi za robociznę była niejedność sumy, ponieważ ekonom 37 półdniówek policzył.,.

— Dajże pokój z temi rejestrami i półdniówkami. Tu chodzi o ożenienie, a on rachmistrzuje. Pannę Władysławę pamiętasz?

— Którą pannę Władysławę?

— No, córkę mego ciotecznego Chłudy. Twój śpiew przy akompaniamencie gitary podobał się wówczas dziewczynie.

— Nie bardzo sobie przypominam, panie naczelniku.

— Ale ja, a właściwie moja żona, doskonale pamięta, że Władzia pochlebnie o tobie mówiła, no i uradziliśmy, że powinniście się pobrać...

Więc to z panną Władysławą pan naczelnik każe się żenić...

— Ale nie każę, tylko swatam... Z Chłudą już przeprowadziłem korespondencyę i polecił mi zaprosić pana Łakasza na święta,..



Pan Łukasz.

Naczelnik, świeć Panie jego zacnej duszy, zawsze był w gorącej wodzie kąpany. Co sobie uplanował, musiało być w mig wykonane. Więc, nie pozwoliwszy na żadną zwłokę, nazajutrz wyrobił mi urlop od ręki, co nie było rzeczą trudną, bo w ciągu 12 lat służby, licząc 9 etatowej, a 3 aplikacyjnej, ani razu urlopu nie brałem...

Sam później zamówił miejsce w karetce pocztowej aż do Suchedniowa, i uczynił przegląd mojej garderoby, asystował przy pakowaniu tłómoczka, kazał kupić pięciofuntowe pudło cukierków i anim się spostrzegł, jak po upływie 30 godzin i 18 minut od powyżej przytoczonej rozmowy, siedziałem już w tak nazywanej sztejnkelerce, ubrany w niedźwiedzie mego opiekuna, który żadną miarą nie chciał mnie puścić w daleką drogę w miasteczkowem elkowem futerku.

Ba! nawet jego buty podróżne filcowe, kapeluszowemi zwane, musiałem wzuć na nogi, a pani naczelnikowa jeszcze i szalik włóczkowy, jakim kilku ludzi możnaby okręcić, kazała mi założyć na szyję.

W takim kostiumie, który dopełniała czapka wydrzana, również własność pana naczelnika ze specyalnemi pasami ochronnemi na uszy, wyglądałem niby uczestnik wyprawy do bieguna północnego...

Jechałem bliżej wprawdzie, niż do bieguna, ale zawsze 22 mile i to podczas 15-sto stopniowego mrozu, który w nocy w szczerem polu doszedł do 20 stopni, więc troskliwość państwa naczelnikowstwa okazała się w skutkach arcychwalebną.

Ale co ja mam kogo zajmować mrozem, popasami i przygodami podróży kuryerką pocztową, trwającej 23 godziny i minut 28, bo tyle czasu ubiegło od chwili, gdyśmy z dziedzińca pocztowego z Warszawy wyruszyli, do zajechania karetki przed dom poczthalteryi w Suchedniowie.

Powiem tylko, żem dopiero jadąc ekstrapocztą do Wzdołu, wsi będącej własnością Chłudy, odczuł dobrodziejstwo nietylko niedźwiedzi, ale i butów kapeluszowych pana naczelnika, i szalika pani naczelnikowej, a nawet owych pasów futrzanych na uszy, zwieszających się od czapki wydrzanej, podobnej do tej, jakie noszą po dziś dzień rabini żydowscy.

Mimo takiego eskimosowego kostiumu, ostry wiatr przy mrozie prawdopodobnie więcej niż 20 stopniowym (termometru nie miałem przy sobie, więc tu ściślej cyfry podać nie mogę), przenikał do kości i przyjechałem do Wzdołu uczciwie zziębnięty...

Moje przybycie o dość późnej porze, bo na wsi o godzinie 10 minut 24 (po rozpakowaniu się z niedźwiedzi zaraz czas sprawdziłem), wszyscy udają się na spoczynek — wywołało konsternacyę swego rodzaju, zwłaszcza, że pocztylion trąbił zawzięcie, częścią dla osobistej rozgrzewki, częścią dla obudzenia służby, aby wrota otwierała.

— A nie było to uprzedzić o dniu przyjazdu, byłbym konie do Suchedniowa przysłał — wymawiał pan Chłuda, serdecznie witając.

— Naczelnik nie pozwolił na żadną zwłokę.

— Wiem, jaka z niego gorączka... Ale Bóg ci zapłać, panie Łukaszu, żeś

przyjechał. Gość w tej porze i do tego z Warszawy, dla nas *raritas*... A sąsiedzi będą jak na odpust do mnie zjeżdżać, aby oglądać Warszawiaka. No, daj gęby, Łukaszku... Lubię takich kawalerów... A nie dziw się, że cię tykam. Znałem przecież twego rodzica, nimeś ty na świat przyszedł. Był wówczas,..

— Pomocnikiem rachmistrza — odparłem. — Zajmował posadę w tym samym wydziale, w którym ja dziś służę. I także, jak wskazuje stan służby ś. p. ojca mego, został awansowany na rachmistrza, gdy miał trydzieści lat i cztery miesiące, a co dni nie pamiętam dokładnie...

— Ależ to masz pamięć, mój Łukaszku.

— Do cyfr, panie dobrodzieju, do cyfr, i właśnie zostałem awansowany na rachmistrza z podwyżką pensyi.

— Powinszować, powinszować i... ożenić się...

— To właśnie polecił mi pan naczelnik i śmiem...

— Dobrze, mój chłopcze, nie kończ, a posłushaj, co ci powiem. Podobaj się tylko Władce, a ja pobłogosławię...

Pocałowałem pana Chłudę w ramię i na tem zakończyła się wstępna nasza rozmowa, dotycząca głównego celu mego przyjazdu...

Doprawdy, iż tej, z którą mnie swatano, nie wiele pamiętałem. Widziałem ją raz jeden na wieczorze u naczelnikowstwa. Ale było tam wówczas tyle różnych panien. Nie pamiętałem nawet, czy panna Władysława jest brunetką, czy blondynką, czy nizkiego, czy też słusznego wzrostu, słowem przeznaczona mi na małżonkę osoba była dla mej wyobraźni cyfrą niewiadomą u spodu kolumny liczb, których jeszcze nie zdążyłem zsumować.

Kiedy jednak wszystkie pozycye dodałem, to jest, kiedym ujrzał nazajutrz rano przy śniadaniu Chłudównę, przekonałem się, że suma, a raczej panna Władysława, przedstawia cyfrę imponującą. Gdym porównał tę zachwycającą pannę z wszystkiemi innemi, jakie mi się dotąd w życiu spotkać zdarzyło, powiedziałem sobie:

— Ależ ona reprezentuje bilion, a nawet trylion, to jest cyfrę, której w rachunkach naszego wydziału nigdy mi się nie zdarzyło spotkać.

Co tu długo opowiadać? Zakochałem się nie jak rachmistrz, ale jak... kot.

Dlaczego mianowicie kot ma być więcej kochliwym od innych stworzeń, doprawdy nie wiem, ale tak powszechnie utrzymują,

Zresztą ja kotów nie znoszę... To mało powiedzieć — niecierpię. Ja nienawidzę tych zwierząt i krew się we mnie burzy na widok czy to borusia, czy żółtusia, a już co do białych, każdego własnoręcznie jestem gotów zadusić.

Jednak panna Władysława lubiła te fałszywe stworzenia, pieściła je, zwłaszcza swoją faworytkę pieszczotliwie „bonszutką", niby z francuskiego *bon chat*, nazywaną.

Bonszutka nie opuszczała nigdy swej pani, kot ten nie schodził z jej kolan, gdy siedziała, czy to czytając coś na głos, czy robiąc na kanwie jakieś misterne wyszywania.

Po trzech dniach pobytu ośmieliłem się jakoś. Chyba się państwo domyślacie, że byłem nieśmiały, a nieśmiałość do kobiet stanowiła pono cechę charakterystyczną wszystkich dawniejszej daty rachmistrzów, którym, o ile byli sumienni w dodawaniu, cyfry nie pozwalały marzyć o pięknych oczętach i malinowych maluczkich rączkach.

Ośmieliła mnie niezrównana dobroć panny Władysławy, umiejącej tak prowadzić rozmowę, że otrząsnąłem mój umysł z cyfr, pozycyi, dodajnych sum, a z trusi i milczka, za jakiego powszechnie uchodziłem, zrobił się ze mnie kawaler wcale rozmowny.

Pamiętałem bo i na przestrogę naczelnikowej, która powiedziała na samem wyjezdnem:

— Bacz, panie Łukaszu na to, że kobietom milczki nie mogą się podobać, wszak i przysłowie powiada: kot (znów ten nieszczęsny kot) nie łowny, chłop nie mowny, nie wiele są warci.

Więc starałem się być rozmowny, a gdy już zabrakło tematu, chwytałem gitarę (o zabraniu jej pamiętał naczelnik) i dalejże przy akompaniamencie tego wówczas modnego, a dziś zapomnianego, ba! najniesłuszniej ośmieszonego instrumentu, nucić przeróżne piosenki, nazywane jeszcze dawniej tekstami światowemi.

Miałem głos barytonowy, nie uczony, ale ponoś, jak mówiono, bardzo przyjemny. Zresztą panna Władysława lubowała się w moim śpiewie. Nawet z tego śpiewania na wieczorku u naczelnikowstwa zapamiętała moją mizerną osobę.

Teraz więc we Wzdole prosiła, zachęcała, abym śpiewał, i w oczętach jej, ilekroć w nie ośmieliłem się spojrzeć, czytałem żywe zajęcie, gdym nucił przeróżne śpiewki, których 30 umiałem na pamięć.

Repertuar mój w kilka dni się wyczerpał, lecz panna Władysława prosiła o powtórzenie wielu, które się jej osobliwie spodobały.

Więc śpiewałem Komorowskiego: „Rosła kalina z liściem szerokiem," „O gwiazdeczko coś błyszczała," z innych kompozytorów takie popularne, teraz już zapomniane, jak: „O gwiazda ma, o oczko me," „Tam na błoniu błyszczy kwiecie," „Nie wesel się dziewczę," „Siedzi w klateczce maleńka ptaszyna" i wiele, wiele innych jeszcze, których nawet moja rachmistrzowska pamięć wyliczyć by dziś nie mogła.

Ale jednej z tych piosenek od pierwszej do ostatniej zwrotki póki żyw nie zapomnę, bo to ona dała mi na chwilę takie szczęście, jakiego ani przedtem, ani już potem w życiu nie zaznałem.

Był to najmodniejszy podówczas śpiew salonowy o czarnych oczach.

Panna Władysława miała właśnie czarne oczęta, niby dwa czarne węgielki, ale żarem płonące.

To natchnęło mój śpiew jakimś niepochamowanym ogniem, kiedym wygłaszał w melodyi te słowa:

Idę lądem, płynę wodą,
A czy słońce lśni pogodą,
Czy na niebie gwiazdy świecą,
Czy pioruny z błyskawicą,
Czy mi w dzień, czy noc zamroczy
Zawsze przy mnie i przedemną
Takie wielkie czarne oczy.

Pod wpływem tekstu piosenki nabrałem takiej śmiałości; takiej werwy, żem upuścił gitarę i ukląkłem przed właścicielką owych „wielkich czarnych oczu."

Musiałem to uczynić gwałtownie, gdyż przestraszona bonszutka zerwała się z kolan swej pani i miaucząc schroniła się pod kanapę.

Naturalnie, że się oświadczyłem, otrzymałem odpowiedź przychylną, a ojciec Chłuda wyściskał nas oboje, tak, że panna Władysława miała wypieki na twarzy od pocałunków ojcowskich, a mnie po tem ściskaniu w objęciach zamaszystego szlachcica aż żebra zabolały.

— Pojutrze święta Wigilia i moje imieniny. Jak corocznie, zjadą się na śniadanie mili sąsiedzi, więc wobec przyjaciół zaręczycie się uroczyście, a oprócz mnie ojca, ksiądz proboszcz także pobłogosławi — zadecydował pan Chłuda.

— A co do ślubu, jak myślisz kawalerze?

— Nic pilnego, ojczulku, — wtrąciła panna Władysława.

Owszem, rzecz bardzo pilna, bo dostanę awans od Nowego Roku, poszukam mieszkania — gorąco, wcale nie po rachmistrzowsku, zaprotestowałem.

— Więc kiedy? — indagował ojciec.

— Może w lecie, albo na jesieni — podchwyciła Władzia.

— Droga, najmilsza panno Władysławo, przystań na ostatni wtorek za-

pust i tak będzie z góry dwa miesiące czasu.

— A to widzę, że nietylko naczelnik w gorącej wodzie kąpany — rozśmiał się pan Chłuda.

Jaki ja byłem od tego momentu szczęśliwy? Resztki nieśmiałości gdzieś hen pierzchnęły.

W poranek wigilijny moja narzeczona wręczyła mi coś zawiniętego w bibułkę. Był to prześliczny pantofelek do zegarka. Poznałem od razu materyał, z którego był zrobiony. Boże! wszak to ta sama kanwa, na której panna Władysława wyszywała ów misterny haft, gdym ja jej nucił piosenki.

Naśmieliśmy się oboje z tych wzajemnych podarunków, bo ona, przygotowując ów pantofelek, nie wiedziała oczywiście, że to robota dla narzeczonego, a ja kupowałem cukry wprawdzie dla panny Władysławy, lecz nie spodziewałem się, że je wręczę już jako narzeczonej.

Około południa zaczęli napływać



goście, jeden za drugim, z życzeniami dla solenizanta, nie spodziewając się, że podczas śniadania usłyszą nowinę sąsiedzką. Kiedy pan Jan Kruszewski z Bodzentyna, odchrząknąwszy i ująwszy kulawkę, (tak nazwany puhar bez podstawy i dlatego nie dający się inaczej pozbyć, jak z rąk wasana do rąk wasana) — rzekł dwa pierwsze słowa, przerwał mu solenizant:

— Przepraszam cię, kochany sąsiedzie, ale solenizacya moja musi zejść na plan drugi wobec ważniejszej uroczystości. Wypijemy oto za zdrowie zaręczonych.

I tu wskazał na córkę, a później na mnie.

Zrobił się huczek taki, że od wiwatujących głosów zda się ściany dworku wzdolskiego zatrzęsły.

Jak mnie zaczęto ściskać, całować, a życzyć konsolacyi, tak ani się spostrzegłem, gdy mi ową kulawkę prawie duszkiem w gardło wlano.

Ile później wypiłem różnego kalibru kielichów węgrzyna, choć byłem rachmistrzem, nie umiałbym zliczyć. Wszystko to było, jak się mówi, na krótką metę, boć każdy spieszył do domu, aby, skoro pierwsza gwiazdka na niebie zajaśnieje, zasiąść z rodziną przy stole wigilijnym.

Upić się przecie nie upiłem, lecz nabrałem takiego rezonu i podczas uczty wigilijnej sypałem tylu konceptami, że pan Chłuda zawołał:

— No, no, jak to miłość ludziom języki rozwięzuje, kiedy z Łukaszka-trusi zrobił się taki *gadativus*.

— Ech, czy nie wino, tateczko? — trochę złośliwie podchwyciła panna Władysława.

Zamiast tekstów światowych, śpiewaliśmy kolendy, a gdym, ująwszy gitarę, podczas przerwy w chóralnem kolendowaniu chciał zaśpiewać o czarnych oczach, moje kochanie nie pozwoliło, powiedziawszy:

— Nie godzi się tego dzisiaj śpiewać, ale zamawiam sobie na jutro.

— Czy nie obawiasz się, panie Łukaszu, tego pantofelka, jako symbolu? — zapytała figlarka.

— Bóstwo ty moje! wykrzyknąłem, padając na kolana i całując drogie rączęta — możesz mnie trzymać nawet pod obu tak cudnemi pantofelkami, lecz co ja, nieszczęsny, ofiaruję swojej bogini? A, prawda, jakiż ze mnie gapa — rzekłem, wybiegając z pokoju z taką gwałtownością, że panna Władysława mogła pomyśleć, że stateczny rachmistrz dostał bzika.

A toć ja na śmierć zapomniałem, że na dnie walizy podróżnej spoczywa pudło z cukrami, które mi naczelnik polecił zabrać.

— To jutro dla mojej piosenki już nigdy nie miało nastąpić...

Z ciężkiego i twardego snu, w jaki po tylu wzruszeniach, a no... i po winie trochę zostałem pogrążony, zbudził mnie p. Chłuda.

Silny, barczysty szlachcic, trzęsąc się jak liść osiczyny, powiedział, załamując ręce:

— Łukaszku, straszne nieszczęście.

— Co się stało? — wyrzekłem, i dla oprzytomnienia wyskoczyłem z łóżka.

— Władkę kot podrapał i pokąsał.

— Jaki kot?

— A no, Bonszutką, jej faworytka.

Jeszcze sobie z tych słów nie umiałem zdać sprawy o rozmiarach grożące go niebezpieczeństwa.

— Ale to może nie jest nic strasznego.

— A jeżeli Bonszutka jest wściekła?

Zdrętwiałem po tych słowach, pojmując całą grozę nieszczęścia.

. . . .

Akurat w ostatni wtorek zapustny, w ten sam dzień właśnie, który projektowałem, jako dzień naszego ślubu, odprowadziliśmy zwłoki biednej męczennicy na cmentarz i złożyliśmy w grobie rodziny Chłudów.

Kiedy wróciłem do Warszawy po trzykrotnie przedłużonym urlopie i zjawiłem się w biurze, nikt mnie nie poznał, tak byłem zmieniony.

Odtąd też, aż do wysłużenia całkowitej emerytury za lat czterdzieści, ani razu na urlop nie wyjeżdżałem. A co ja przeżyłem od chwili owego strasznego obudzenia przez p. Chłudę aż do chwili, gdy tę męczennicę Bóg, powołując do Swej chwały, od cierpień uwolnił — tegoby nikt i na wołowej skórze nie spisał.

Sędziwy p. Chłuda niedługo się biedził na tym podole łez i coś w trzy lata później podążył za swą jedynaczką. Jacyś krewniacy objęli po nim spuściznę, a zacny p. Jan Kruszewski z Bodzentyna ocalił dla mnie portret nieboszczki, wcale dobrego pendzla, a niezmiernie trafiony i przysłał mi do Warszawy.

Ów konterfekt i pantofelek, roboty oryginału — oto jedyne pamiątki z mojego krótkotrwałego narzeczeństwa. Gdyby nie cyfry, w które się znów pogrążyłem, powróciwszy do zajęć biurowych, byłbym z pewnością oszalał. Poczciwe cyfry, ustawione w długich kolumnach, niby żołnierze w szeregach armii, znieczuliły powoli serce i zatarły wrażliwość nieludzkiej z początku boleści.

Ale na wigilii żadnej od lat trzydziestu nigdzie nie byłem i nigdy pójść nie myślę. To jedyny dzień w roku, w którym ona króluje w mej myśli, rugując wszelkie kombinacye z cyframi. Tak, w myśli, bo serce zwiędło i wyschło jak step po pożarze...

Jeżeli czasami coś w niem zamajaczy, to chyba wówczas, gdy ująwszy moją starą gitarę, stanę przed jej portretem, i przebierając po strunach palcami, zanucę bezdźwięcznym głosem piosenkę o czarnych oczach...

Antoni Strzynecki.

W noc wigilijną.

Jak świat długi i szeroki,
Zmilkły wszędzie niepokoje;
Nawet wiatr, co miotał śniegiem,
Zwiesił teraz skrzydła swoje.
W koło cisza, niezmącona
Żadną wrzawą, ni szelestem....
Z płomiennego woła nieba
Jasna gwiazdka: „Oto jestem!“

Co za dziwa, co za cudy!
Ledwie weszła z blaski swemi,
Skrzą się światła niezliczone
W każdem oknie — tam — na ziemi.
Noc dnia nawet bierze postać,
Tyle świec się wszędzie świeci;
Ach, a stokroć jaśniej płoną
Oczy dzieci, serca dzieci.

Bo w tej nocy z roku na rok
Ludzkość staje się znów młoda;
Kto być dzieckiem nie potrafi,
Temu święta tego szkoda!
Precz, co stare i co zimne!
W uroczystość tę zimową
Niech roztoczy się dziecięctwo
Nad zgrzybiałą nawet głową.

I corocznie też w to święto
Pośród świateł tych powodzi
Miłość czysta, nieskażona
Na nasz biedny świat przychodzi.
Najuboższy nawet z ludzi,
Kiedy gwiazdka się okaże,
Na co stać go, to ochotnie
Swej miłości składa w darze.

Tak, ta noc, ta czarodziejska
Wszelką troskę z ziemi zmiata,
Gdy dziecięctwem a miłością
Niesie balsam ranom świata.
Więc niech płynie pod niebiosa
Pieśń radości w nucie chyżej,
I niech ludzi dobrej woli
Znów do siebie silniej zbliży!

Cień.

Wigilja.

Pusto i cicho na dalekiem polu. Śnieg białym ziemię pokrywa całunem, niebo szare i pochmurne zwiesza się nizko, a lekkie płatki śniegu spadają gęsto, szybko, bez szelestu, jak gdyby się ścigały, który z nich pierwszy połączy się z towarzyszami.

Na zasypanej drodze ukazuje się postać jakaś i wolno idzie dalej. Na ramieniu przełożony kij, na nim małe wisi zawiniątko, drugim zaś podpiera się mocno, bo siły widocznie wypowiadają mu posłuszeństwo. Jest to młody jeszcze mężczyzna, ale twarz zmarszczona i blada świadczy o ciężkich walkach z życiem, ale ubranie nędzne i zniszczone jest dowodem, że nie wyszedł z walk tych zwycięzko.

„Jeszcze trzy kilometry“ szepce sinemi ustami i zimny dreszcz przebiega jego członki.

Potem mija drogowskaz i z pochyloną głową idzie dalej. Nagle dochodzi uszu jego dźwięk cichy dzwonów.

„Wigilja.“

Oczy samotnego wędrowca napełniają się łzami. O, jak dawno on już nie słyszał tych tonów dźwięcznych i sercu drogich! Niegdyś, przed laty, gdy był jeszcze w domu rodziców....

I cała przeszłość staje mu żywo w pamięci, i rozpaczliwy ból szarpie mu serce na myśl o marnie straconem życiu. Jakaż zmiana zaszła w nim w tych kilku latach!

Był on jedynym, ukochanym synem zamożnych rodziców. Ojciec wypełniał wszystkie jego życzenia, matka zaś widziała w nim bożka i uwielbiała jedynaka! Póki był w domu, wiodło mu się bardzo dobrze, ale gdy nareszcie wyjrzał na świat, popadł w towarzystwo ludzi zepsutych i lekkomyślnych, i zakosztowawszy raz złego, już nie mógł wrócić na drogę uczciwości i honoru. Daremnie błagali go rodzice, aby porzucił to życie rozpusty i hańby — syn ich upadał coraz to niżej, aż w końcu, przegrawszy w karty sumę, której zapłacić nie mógł, uciekł do Ameryki! Ojciec poświęcił większą część majątku na spłacenie długów syna, i teraz na starość, musieli sobie rodzice odmawiać wszystkiego, aby im ostatecznie nie zabrakło kawałka chleba.

On sam zaś w Ameryce smutne przechodził koleje. Nieprzyzwyczajony do pracy, nie umiał sobie dać rady; tułał się tu i owdzie, żebrząc po drodze, aż po kilku latach zapędziły go losy do San Francisco. Tam udało mu się znaleść miejsce odźwiernego w podrzędnym jakimś hotelu, i wtedy zaczął myśleć o składaniu pieniędzy na powrót do domu. Po długim czasie zebrał tyle, ile kosztowała opłata biletu na okręcie i teraz zdawało mu się, że jest ocalonym! Nie czekając dłużej, puścił się w podróż, i wynędzniały, chory i słaby wylądował szczęśliwie w Hamburgu. Ile czasu potrzebował na przebycie ztamtąd do domu, tego sam już nie wiedział, największą bowiem część drogi musiał odbywać pieszo, dla braku pieniędzy. Ale zbliżał się do domu i to dodawało mu otuchy i siły.

I teraz gdy słyszy dzwony kościoła w swej wsi rodzinnej, gdy zdaje mu się że widzi już dach swego domu, płacze gorącemi łzami żalu za straconem szczęściem.

Przygnębiające uczucie samotności i opuszczenia opanowuje go nagle — idzie coraz to wolniej, jak gdyby miał kule u nóg, i daremnie walczy z osłabieniem, ubezwładniającem jego członki. „Już niedaleko“, powtarza w myśli, „ale na chwilę muszę odpocząć!“

I nie mogąc się oprzeć zmęczeniu, siada na kamień sterczący z pod śniegu. Teraz jednak poznaje, że już więcej z kamienia tego nie wstanie, myśl ta ostatnia napełnia serce jego straszną rozpaczą.

— Ach matko, matko! Gdybyś ty była przy mnie!

Zdaje mu się, że krzyczy głośno, tymczasem usta jego poruszają się ledwie.

Ale cóż to? Czy śni? Wszakże tam stoi dom jego rodzinny — okno otwarte -- a tam w pokoju, przed obrazem Boga Rodzicy klęczy stara matka i modli się za syna.

— Ach matko! woła nieszczęśliwy, wybacz mi wybacz!

I matka wyciąga ramiona, jak gdyby go objąć chciała i pochyla nad nim swoją łagodną, smutną twarz.

— O, ja wiedziałem, że mi przebaczysz — jesteś zawsze anielsko... dobrą... matko!

Ostatni szept jego zamiera i ginie w szumie wiatru. Gęściej i prędzej jeszcze spadają płatki śniegu z ciemnego nieba i okrywają litościwie wszystko swoją białą zasłoną. A w kościele płynie pieśń do Boga, i głowy sędziwych rodziców w gorącej pochylają się modlitwie.

M. P.

Wigilia.

Świeci gwiazdka na lazurze,
Śnieg się iskrzy, jak dyamenty,
Stoją drzewa, jak szkielety,
W srebrnej rosie zamarzniętej.
Nadszedł wieczór jasny, cichy,
Zgasło słońce krwawe, duże...
W wielkie święto wigilijne
Świeci gwiazdka na lazurze...

W oknach dworu światła płyną,
Ruch w pokojach, krzątanina,
Baśka z Kaśką stół w jadalni
Słać obrusem już zaczyna.
Wprzód go sianem potrząśnięto —
Zapach milszy, niźli róże —
W wielkie święto wigilijne
Świeci gwiazdka na lazurze.

W kuchni chaos niebywały,
Gospodyni prawie mdleje,
Szczupak, sandacz, lin wspaniały,
Że aż patrząc wzrok się śmieje.
Ryby dzisiaj prym trzymają
W przednich potraw zgodnym chórze,
W wielkie święto wigilijne
Świeci gwiazdka na lazurze.

Już zasiedli wokół stołu
Starsi, młodzi, dzieci małe,
I opłatki dzielą białe.
Dźwięczą szczere pocałunki,
Przy słów ciepłych słodkim wtórze...
W wielkie święto wigilijne
Świeci gwiazdka na lazurze...

I tak błogo mknie rozmowa,
Na ścież serca otworzono,
Usta uśmiech rozpromienia,
Złotym blaskiem oczy płoną.
Anioł ciszy i pokoju
Ponad dworkiem zawisł w górze...
W wielkie święto wigilijne
Świeci gwiazdka na lazurze...

Śpiew się rozległ pod oknami
Po naszemu, po staremu,
Przyśli chłopcy z kolendami
Cześć Dzieciątku dać Świętemu.
Brzmi w powietrzu stara nuta,
Dźwięczą tony w zgodnym chórze...
W wielkie święto wigilijne
Świeci gwiazdka na lazurze.

Na wiatr parska czwórka dziarska
Pędzą sanie do kościoła,
A w kościołku oświetlonym
Na Pasterkę dzwonek woła.
Pełno sanek i powozów
Przy kościelnym stoi murze...
W wielkie święto wigilijne
Świeci gwiazdka na lazurze...

Or — Ot.

W białym dworku.

Biały dworek z przystankami,
Dach upięty mchu wawrzynem...
W pokoiku z portretami
Siedzi babcia nad „Duninem“.
Wychowała — pochowała...
Dziś modlitwa wspomnień wstęgą!

W białym dworku babcia biała
Nad pożółkłą siedzi księgą...
Zatopiona całą duszą
Modlitewne chłonie karty...
Stare oczy łzami proszą
Jakby w świeżo grób otwarty —
Usta szepcą: Anioł Pański,
Myśl bolesna liczy rany...

. . . .

Dzwoni wtórem zegar gdański:
„Serce nie zna, co to pany.“

Wieczór... gwiazdy... noc zapada...
Płonie lampka o szkle sinem...
Babcia drżące ręce składa
I zasiada nad „Duninem“.
Siedzi... wzdycha... rosi łzami...
Oczy płaczą... serce bije...
W pokoiku z portretami,
Co zamarło — znowu żyje!
Żyją wnuki, żyją dziady —
Czasy z grobu powstawały...
Gędźbi echem dawnej swady
Białej Babci dworek biały!
Jak o nocy świętojańskiej
Snów minionych nić się plecie!

. . . .

Dzwoni wtórem zegar gdański:
„Tam na błoniu błyszczy kwiecie“!

W białym dworku z przystawkami
Świt na czole siadł babcinem
I wyzłocił promieniami
Białą głowę nad „Duninem“.
Padł na modlitw słowa święte,
Na portrety rzucił brzaskiem
I rozbudził snem objęte,
Dobre oczy dziennym blaskiem!
Zbudził z marzeń myśl zbolałą,
Drogich wspomnień rozwiał wstęgę!
...Babcia chyli głowę białą
I całuje starą księgę,
Niby w dzwonek loretański
Bije w starą pierś w pokorze...

. . . .

Dzwoni wtórem zegar gdański:
„Kiedy ranne wstają zorze!“ *K. L.*



Rozkosze gwiazdkowe.



Powiadają czasem ludzie, iż są dziwne dzwony, których serce tak bije o brzegi, iż głos ich trafia do serc wielu ludzi i tak wabi a woła, wzywa i nęci, iż idą za nim daleko i długo, a gdy wołanie umilknie, czekają z tęsknotą, by się znów odezwał.

Powiadają ludzie, iż są to dzwony, w których serce żyje i do serc umie przemawiać, ale te tylko posiadają ową potęgę, do których serca dano w ofierze jakąś drogą pamiątkę wielkiej miłości, a dar ten stopiony z metalem — miłością śpiewa i żyje...

Legenda ta — przypomina się nam często, gdy bierzemy pióro do ręki, aby napisać ten lub ów artykuł do „Pracy“ naszej, aby słowami pracy naszej przemówić do serca czytelników i wołać tak na nich, iżby nas zrozumieli, pokochali i — poszli za nami...

Radzibyśmy mieć w każdem słowie naszej „Pracy“ dźwięk owego serca dzwonu, które bije inaczej jak inne dzwony, a umie do serc przemawiać lepiej od innych dzwonów...

Radzibyśmy dać tu w ofierze wielką naszą pracę wysnutą z miłości dla narodu i Ojczyzny, aby siła miłości naszej dzwoniła w „Pracy“ wytrwale i miłość siała po Ojczyźnie naszej rozległej...

Ci, — którzy „Pracę“ naszą znają — może potrafią orzec, czyli ma ona w sobie siłę dzwonu przemawiającego sercem, ci, którzy dopiero witają nas jako gości nowych — może z kilku kartek ocenią wartość „Pracy“...

My idziem po Ojczyźnie pieśnią, myślą, sercem i pracą poważną...

A gdzie przyjdziem — pukamy do serca. Nie pytamy, czyli wstępujemy do ubogich izdebek lub mieszkań bogatych, czyli wyciągają się ku nam dłonie wypieszczone i białe, lub spracowane i zczerniałe od trudu, nie zważamy czyli powitają nas ci, co umieją już wiele, lub tacy, którym życie nie dało czasu na naukę — dla wszystkich jednakowo serce bije — myśl płynie — my idziem...

A jeśli każda kartka naszej „Pracy“ bije jak dzwon sercem, czegoż nam trzeba więcej nad to, iżby serca rodaków nas usłyszały, zrozumiały i szły z nami?...

Od serca do serca uczucie przelane stwarza potęgę wielkiej miłości — wtedy rodzi się jedność i zespolenie wielu dusz w całość olbrzymią... Dlatego każda redakcya pisma — z gronem czytelników staje się jakoby rodziną i idzie jedną drogą do tych celów, do których skierowana praca...

Kochani Rodacy!... Oto nadchodzi chwila, w której decyduje się sprawa łączności i spójni czytelników — z redakcyą pisma. Kto nie chce odejść od nas, kto ukochał nasze życie i walki trudne, kto rozumie jakie cele mamy przed sobą, kto słyszy dźwięk serdecznej nuty odzywającej się w „Pracy“ naszej, jak w graniu dzwonu o sercu czarownem, ten nie odejdzie od nas, ani nie odrzuci od swego progu „Pracy“.

Rok się pocznie niebawem. Z nowym rokiem, poczyna się w każdej redakcyi, jakby nowa pieśń — przybywa świeżych sił, rośnie zapał, pracy przysposobionej nie mało... Zaproście nas do siebie — dajcie dowód, że myśmy wam mili — żeście nas pokochali, zrozumieli i chcecie iść z nami dalej... Od serca waszego niech teraz popłynie ton — do serca naszej „Pracy„ — od serca waszego niech ozwie się teraz głos dowodzący, żeście z nami jedną rodziną i gronem rodaków chcących żyć w wspólnej pracy i uczuciach...

My — idziemy do was przez rok cały — co tygodnia... Wy — z końcem roku spieszcie ku nam z słowem wezwania, byśmy z wami byli — z serca — do serca — nasza „Praca“ idzie ku wam — z serca do serca — niech przyjdzie od was zaproszenie i prenumerata.

Redakcya.



U waszego stajem progu.

U waszego stajem progu
I my — pracownicy...
Z wami byliśmy rok cały
W polu, czy w świetlicy —
I w warsztacie i w pałacu
Myślą, sercem — z wami...
A dziś — stajem w waszym progu
W święto — z opłatkami!

U waszego stajem progu,
Jak ci, co z tęsknotą
Rwą się, spieszą do rodziny,
Gdy troski oplotą.
Obowiązki gdzieś zawiodą
Na dalekie drogi,
To w noc cichą, w noc wigilii
Dom ojców ubogi
Rwie ku sobie, woła, wzywa,
Niepojętą siłą...
I ci spieszą, którym bardzo
Już daleko było....
Byle stanąć na tym progu,
Gdzie witają z łzami,
Ogrzać serce, wzmocnić dusze
Z wami — opłatkami.

U waszego stajem progu
Wszakżeśmy rodziną,
Jednym szlakiem nasze myśli,
Nasze troski płyną.
O! jednaka nam niedola
I ból serce kraje..
A tu dzisiaj — moc pokoju
Bóg nam sam podaje.
Przy opłatku, przy życzeniach
Dusza nam jaśnieje...
Choć źle u nas – choć krzywd dosyć,
Bóg — nadzieję sieje.
Pokój ludziom dobrej woli
Zbawiciel ogłasza.
Moc kolędy, już zwątpienie
Mroczny cień rozprasza.
Więc podnieście w górę serca
Trosk porzućcie brzemię. —
Nie wytępią kruki orłów,
Nie zaginie plemię
Tego ludu, co ma siłę
I w cnocie i w wierze,
Co w wytrwaniu, z znakiem krzyża
Zawarł swe przymierze...

Bóg się rodzi! dzień wesela
Już nad ziemią płynie,
Miłość, zgoda, praca wielka
W pośród nas nie zginie...
Myślą, sercem, przez rok cały
Myśmy zawsze z wami,
A dziś stajem w waszym progu
W święto — z opłatkami!

Jadwiga Strokowa.





I. J. Paderewski.

Z estrady i sceny.

W czwartek, dnia 12 grudnia teatr nasz święcił wielką uroczystość, oto gościł w swych murach *arcymistrza* tonów, *Ignacego Paderewskiego*.

Cały świat cywilizowany rozbrzmiewa dziś sławą jego. Obcy cenią w nim geniusz muzyczny, my w nim widzimy więcej. On bowiem roznosi sławę imienia polskiego po całym świecie i daje świadectwo, że naród, wydający ludzi takich, jak *Paderewski* w muzyce i Sienkiewicz w literaturze, zginąć nie może.

Więc wybrali się wszyscy do teatru, jak na wielkie święto. Panie w odświętnym stroju i panowie również. Teatr nasz promieniał blaskiem wszystkich świateł — ale i w sercach naszych było promiennie przy muzyce jego. Mistrza sztuka to nietylko wirtuozostwo w grze na fortepianie doprowadzone do najwyższego szczytu, w grze jego jest więcej, jest w niej wielkie serce, jest *objawienie* jego uczucia i jego duszy. To też deszcz kwiatów sypał się nieprzerwanie na estradę. Zapał wzrósł jeszcze, gdy kilka deputacyi złożyło wieńce u stóp mistrza, a dyrektor Ryger, otoczony drużyną artystyczną, wręczył mistrzowi złoty wieniec i hebanową batutę w srebrnej oprawie.

Krytycznego poglądu na utwory wykonane przez Paderewskiego nie podaję — krytyka wobec takiej muzyki nie ma głosu, przemawiać mogą tylko uczucia i wrażenia — a te były podniosłe i wielkie.

Są jednak i tacy, którym nie jest danem zrozumienie mowy tonów. Jeżeli byli tacy, to im odkrył swą piękną duszę, swój geniusz mistrz nasz, odpowiadając na wzniosłe słowa, któremi Paderewskiego powitał w Bazarze, przy



M. Kozłowska.

wieczorze na cześć mistrza wyprawionym, p. Józef Kościelski. Czego muzyką jeszcze nie wypowiedział, tego dopełnił Paderewski żywem słowem. —



Dr. Kazimierz Jarnatowski.

Po jego przemowie wszyscy poznali, że to *człowiek natchniony*. — Więcej nad to powiedzieć nie potrzeba.

Dodam tylko, że burze oklasków zrywały się po każdym utworze odegranym w teatrze przez mistrza — a publiczność rozentuzyazmowana długo jeszcze stała po skończonym koncercie, wołając brawo i składając cześć geniuszowi.

* * *

W piątek, dnia 13 b. m. wystąpiła na estradzie Bazarowej z koncertem śpiewaczka p. M. Kozłowska. W koncercie łaskawie wzięli udział artysta p. *Eichstaedt*, fortepianista i dr. *Jarnatowski*, skrzypek — amator, atoli nie dyletant, lecz także prawdziwy artysta. Szkoła panny Kozłowskiej wyborna, koloratury i trylery doskonałe. W śpiewie jest dużo czucia i zrozumienia muzycznego. Wszystko to sprawiło, że sala trzęsła się od oklasków. Owacye wszelkiego rodzaju były zasłużone. Głos artystki jest bowiem czysty i dźwięczny, a umiejętnie użyty, tylko korzystnie oddziaływać może na słuchaczów. Głos artystki jest obecnie nieco słabym, jak na operową śpiewaczkę, wiem jednak, że to wina niedyspozycyi po przebytem cierpieniu. Nie wątpię wcale, że panna Kozłowska ma piękną przed sobą przyszłość,

Pan Eichstaedt podjął się trudnego i niewdzięcznego zadania towarzyszenia do skrzypiec, z czego się wywiązał znakomicie.

Pan dr. Jarnatowski odegrał Vieuxtempsa „Balladę i polonez,“ Chopina „Nocturne“ w opracowaniu Wilhelmiego i Obertasa Wieniawskiego. Gdy słuchacze zachwyceni pyszną i wykończoną grą jego wywdzięczali się hucznemi

oklaskami, dodał jeszcze „Kołysankę“ Młynarskiego. — Pan dr. Jarnatowski posiada nietylko wielką technikę, lecz nadewszystko dużo uczucia, które umie w grze swej uwydatnić. To też każdemu występowi dr. Jarnatowskiego towarzyszą huczne oklaski i słowa uznania.

St.

* * *

(„Górą nasi,“ komedya w 5 aktach przez Kazimierza Zalewskiego.)

Zalewski należy do tych autorów dramatycznych, których sztuki zawsze zaciekawiać nas będą. Był czas, że Zalewskiego sztuki panowały po prostu na scenie polskiej. Te czasy wprawdzie minęły, bądź co bądź, jednak komedye jego utrzymują się na repertoarze.

Komedya „Górą Nasi“ nosi na sobie wszystkie wybitne zalety i strony ujemne tego dramaturga. Akcya w niej nieco leniwa, dużo rezonerstwa, ale za to z drugiej strony jest kilka wybornych typów, dużo dobrych spostrzeżeń, satyra czasami gryząca i chłoszcząca nasze błędy i budowa dosyć poprawna — ale brak temu wszystkiemu psychologicznego pogłębienia.

Akcya komedyi rozwija się na tle wyborów. Dowiadujemy się, jakich sztuczek używają kandydaci rywalizujący o godność prezesa — przekonujemy się, że wyborca głosuje za tym, który więcej daje i obiecuje. Ale nie wszyscy wyborcy dają się powodować takiemi względami. Są też tacy, co oddają głos z przekonania. W komedyi „Górą Nasi“ ci ostatni zwyciężają.

Do walki stają z sobą Kuryatowicz (p. Ryger) człowiek cnoty, świadomy swego zadania, popierany przez Dolskiego, uczciwego redaktora (p. Stradiot) i hrabinę Zamińską (p. Stradiotową) i Pomper, (p. Borawski) ufny potędze kapitału. Konflikt powstaje dalej stąd, że Kuryatowicz kocha się bez wzajemności w Wandzie (p. Micińska) zajętej młodym Lechowiczem (p. Zawadzki), a Zamińska na odwrót płonie miłością ku Kuryatowiczowi. Wybitnym typem w komedyi jest też baron Tuczyteżtamczykiewicz (p. Zejdowski). Materyału do akcyi jest dużo, lecz akcya rozłożona na 5 aktów, staje się rozwlekłą.

Korzystnie od innych odróżniali się wybornem pojęciem swych ról pp. Ryger i Borawski, także p. Stradiot, a miejscami również pani Stradiotowa; dosyć szczerą była p. Micińska. Typ „szlagona“ udał się panu Czerniakowi dosyć wiernie, za nadto zato potulnym wydawał się p. Zejdowski w swej roli. Zawsze to jednak człowiek, który miał do niedawna powodzenie w salonach i budoarach elegantek warszawskich.

Całość wypadła zupełnie dobrze, szczególnie podnieść trzeba staranną i umiejętnie aranżowaną wystawę. Za to toalety jednej z pań nie grzeszyły smakiem, ale chętnie się też wybacza, lubo do wywołania prawdziwie estetycznego wrażenia i to jest potrzebne.

Widz.

P. Dr. Szymańskiemu

sumienie spać nie pozwala i męczy go wspomnienie roli, jaką odegrał w procesie przeciwko pp. Dr. Rakowskiemu i Biedermannowi. — Chcąc zaś osłabić wrażenie, jakie rola jego na każdem, który mu ślepo nie zaprzedał duszy, — uczynić musiała, usiłuje opinię społeczeństwa skierować w inną stronę, godząc w stronę redakcyi „Pracy“ i naczelnego kierownika tejże. — Wysuwa się z tą obroną własną dość późno, zapewne w przekonaniu, że łatwiej przekonać ludzi, którym wiele szczegółów już wywietrzało z pamięci.

Pragnęlibyśmy nie psuć nastroju świątecznego i nie zabierać w sprawie tej głosu, — i gdyby nam tylko o opinią społeczeństwa chodziło, milczelibyśmy, bo imię „Pracy“ jest zbyt chlubnem, aby mu pociski p. Dr. Szymańskiego zaszkodzić mogły, — ale głos zabrać musimy, bo w postępkach p. Dr. Szymanskiego czyli „Orędownika“ widzimy system, — *i to system nader szkodliwy dla bezpieczeństwa prasy naszej.*

P. Dr. Szymański, jak to dziś ogólnie wiadomo, *pierwszy wykrył autora* artykułów, podpisanych pseudonimem „Vester“. — *Wykrył tę tajemnicę redakcyjną podstępem, podpytując oficyalistów „Pracy“, a wykrywszy, ogłosił ją w „Orędowniku“.* — Zeznanie jego przed sądem było *jednym z argumentów najbardziej obciążających* p. Dr Rakowskiego. *Na p. Dr. Szymańskiego powołał się też prokurator i później sąd przy publikacyi wyroku.*

Był to zresztą już nie pierwszy bohatyrski czyn p. Dr. Sz. wydawcy, „Orędownika“, — *którym zasłużył sobie na wdzięczność pruskiej policyi.* — Dziś zapragnął p. Dr. Szymański nowych laurów na tem polu i stara się wykryć już nie kto jest autorem poszczególnych artykułów „Pracy“, *lecz kto jest jej właściwym kierownikiem.* W licznych procesach „Pracy“ oskarżeni przed sądem odmawiali zeznania kto jest kierownikiem „Pracy“, chcąc zapobiedz nowej ofierze pruskiej sprawiedliwości. — Wobec sądu odgrywano więc tę samą rolę, którą każde pismo w Niemczech odgrywa, — powołując się na t. zw. odpowiedzialnych redaktorów. — Jest to zresztą publiczna tajemnica, że żaden odpowiedzialny w rzeczywistości nie jest kierownikiem pisma.

Dr. Szymański w „Orędowniku“ udaje atoli, że ta publiczna tajemnica jest mu nieznaną, *stawając po raz wtóry na stanowisku policyanta pruskiego.* I posługuje się argumentacyą, którą oskarżeni w procesach „Pracy“ przed sądem się bronili, — *aby zmusić redakcyą naszą do wymienienia nazwiska faktycznego kierownika pisma naszego.* — Wie on dobrze, (albo może jest mu to nieznanem?) że odkrycie to stawiłoby kierownika „Pracy“ natychmiast przed kratki sądowe.

Byłby to nowy tryumf dla „Orędownika“ i — policyi. „Praca“ dzięki zabiegom p.dr. Szymańskiego pozbawiona już jednego z najdzielniejszych współpracowników, jakim był niezaprzecznie pan dr. Rakowski, — gdyby jeszcze postradała naczelnego kierownika, przestałaby istnieć, *a na gruzach jej świetności* — panowałby *niepodzielnie „Orędownik“.* Nowe dzieło zniszczenia byłoby dokonane. —

Niewątpimy też na chwilę, że cieszył by się, p. dr. Szymanski *na równi z policyą i prokuratorem,* gdyby naprzykład p. Biedermann podczas rozpraw ostatniego procesu indagowany przez prokuratora — przyznał był publicznie, że on jest właściwym i jedynie przed społeczeństwem odpowiedzialnym kierownikiem pisma. *Wtenczas ziściłyby się serdeczne życzenia p. Dr. Szymańskiego, gdyż zamiast 6 tygodni — byłby i pan Biedermann poszedł może na lata całe do więzienia.*

Ale nie, p. dr. Szymański, miotaj się nadal wściekle na wszystko, co z społeczeństwa naszego wyrosło. — Miotaj się więc na „Bank związku“ i duchowieństwo i „Pracę“. Nas nie zniszczysz. Prowokacye Twoje nie osięgną zamierzonego celu i nie spowodują kierownika naszego pisma do publicznego przyznania się, że jest naczelnym kierownikiem, *które to oświadczenie, jak Tobie samemu najlepiej wiadomem — policya w lot by pochwyciła...*

Niech Ci starczy jedna ofiara — dr. Rakowski.

Twój jad nas nie zatruje i nawet żółcią nie zaprawi pióra naszego. Zbyt piękną jest rola, którąśmy w historyi naszej odegrali, — zbyt wielki jest owoc, któryśmy osiągnęli z pracy naszej, budząc społeczeństwo. — Bo ten wielki zapał, w którym społeczeństwo dziś żyje, w części jest i naszem dziełem. Tobie Twój jad, co prawda, także szkodzić nie będzie, *bo społeczeństwo przywykło do roli, którą odgrywasz.* Co ma wisieć — nie utonie — ale choćby go nie raz, lecz kilkakrotnie stryczek ominął, przyjdzie kreska na Matyska: — *przyjdzie stryczek!...*

Kierownik „Pracy.“

Dział Kobiecy.



Fig. A. Fig. B. Fig. C. Fig. D.

Nowe mody.

Każdy nowy sezon przynosi nowe troski! Zaledwie bowiem taka *Femme du monde* zdołała załatwić ważną kwestyę toalety jesiennej i toalet wizytowych, a już nasuwa się zadanie najważniejsze, bo wymagające zarówno własnego gustu i fantazyi, jak niemniej sztuki krawieckiej, mianowicie: szereg toalet balowych i wieczorkowych. Dziś, kiedy artyzm wkroczył już także w dziedzinę mody, a indywidualizm może się także przejawiać oryginalną, a gustowną toaletą, warto wysilić trochę spryt i fantazyę, by z końcem sezonu módz sobie powiedzieć: „A przecież moje toalety były najgustowniejsze!“

Nawet najmniej próżna kobieta instynktownie „zgadnie, co jej kiedy najlepiej do twarzy przypadnie.“ Baczność zatem, moje panie! Nadeszła pora, kiedy nie sprzeciwiając się wymogom mody, możecie jednak okazać swój spryt



i gust, przytem zyskać wawrzyny „królowej sezonu!“ Artystki paryskie dawno już zresztą wyzwoliły się z pod jarzma mody, za jedynego poradnika uważając własną fantazyę i poczucie piękna.



Fig. E. Fig. F.

Niektóre z nich stworzyły nawet specyalny krój i stosują się do wszystkich toalet, które różnią się jedynie materyałem i ubraniem. Tak n. p. *Jeanne Hading,* jedna z najzdolniejszych współczesnych artystek i nadająca ton w dziedzinie mody, nosi stale fason *princesse,* w pasie z lekka tylko przylegający i w miękkich fałdach spływający wzdłuż jej wdzięcznej postaci. Sara Bernard natomiast w ten sposób drapuje się w materyałach, że nie poznać w sukni, gdzie początek, gdzie koniec — zaś czarująca pani Réjane nad wszystkie fasony przenosi kapryśny krój bluzki, gdyż tylko w niej — twierdzi — czuje się zupełnie swobodną i niekrępowaną w ruchach.

Cudownym kostyumom w wystawionej niedawno sztuce M. Bergerata: *La Pompadour*, przypominającej czasy Ludwika XV i epoki pani Pompadour, należy zapewne przypisać lekki zwrot do stylu *rococo* w toaletach wieczorowych. Widzimy to w fig. A. grupy, którą podajemy podług rysunku z „Nowych Mód“. Stylowa suknia z materyału *Panne broché* z przodem haftowanym na *mousseline de soie,* garnirowanym brylantowy-



mi guzami, tak, że ślimak sięgający poniżej talii, zdaje się być podpięty brylantową agrafą. Wspaniale prezentuje się okrycie (fig. B.) z czarnego haftu,



Fig. G.

opadające w wielkich fałdach i przybrane szemiszylą i muszlinem *de Chine*. Rodzaj *nouveaux arts* uplastycznia (fig. C.) Na bladozielonym *soie Liberty* układa się czarna plisowana *mousseline chiffon*, a złotem i pawiemi piórkami haftowana berta bramuje dekoltowanie. Toaleta ta niezwykła i przepiękna, wymaga jednak bardzo smukłej i zgrabnej figury, a także niemniej pięknej twarzy.

Panienkom poleca się powiewną, leciuchną, białą suknię (fig. D.) kilkakrotnie naszywaną wąskiemi wstążeczkami. Stanik lekko drapowany, ubrany również takiemi wstążeczkami, po bokach związanemi w małe kokardki i bertą z plisowanej gazy *chiffon*. Z przyjemnością mogę też podać do wiadomości słuszną reformę, dotyczącą toalet noszonych w teatrze.

Otóż eleganckie damy zaprzestały znoszone toalety balowe prezentować w teatrze, a natomiast zaprowadziły specyalne toalety do teatru, które się tem różnią od balowych, że spódnice nie są niczem ubierane i tylko odznaczają się bardzo eleganckim krojem — staniki zaś nadzwyczaj strojne. Dwojaki materyał na spódnicę i stanik dozwolony tylko w tym wypadku, gdy chodzi o fason Trianon, względnie fason Ludwika XV., w przeciwnym razie można wprawdzie toaletę teatralną sporządzić z dwojakiego materyału, byle w tym samym kolorze. Takie połączenie dwóch materyałów bardzo harmonijną daje całość w odpowiedniem zestawieniu. Tak np. fig. E. przedstawia



toaletę, gdzie spódnica jest ze sukna koloru *fraise*, a stanik z gazy tego samego koloru, przybrany srebrnym haftem. Na figurze F. widzimy taką toaletę wieczorkową dla starszych pań z ciężkiego czarnego materyału i czarnej *mousseline de Chine*. Panne, *mousseline* i *liberty* są najulubieńszymi materyałami obecnego sezonu; sporządza się z nich toalety lub też służą do garnirowania; toaleta, pozbawiona wszystkich tych materyałów, nie może być uważaną jako *first rate*.

Najpiękniejszą nowością tego sezonu (fig. G.) jest tak zwana *ombrie-toilette*. Na białej, lśniącej spódnicy jedwabnej naszywa się 7—8 różnokolowych spódniczek z gazy — które przyćmione wierzchnią przejrzystą spódnicą czarną, fasonu princeski, w świetle migocą różnokolorową grą barw. Wierzchnią



taką spódniczkę zdobią najczęściej kilkakrotne szeregi guziczków lub lśniący haft. Wyrazem najwyższej elegancyi jest okrycie (fig. H.) z woalu muszlino-



Fig. H.

wego, jak również tiulowe *entrée* obramowane wąziutkiemi wstążeczkami, wreszcie obydwa kapelusze do teatru, jeden przedstawiający gustowną nader kombinacyę piór i kwiatów, drugi kastoru i koronek. Prawdziwe te arcydzieła modystki, jak wszystko niemal na świecie, również wykazują dwie strony — bo będąc przedmiotem zachwytu, a często też zazdrości podczas pauz, za istną plagę mogą być uważane w czasie przedstawienia. *J. P.*

ZŁOTE MYŚLI.

Nie staraj się zrozumieć, abyś uwierzył, lecz staraj się uwierzyć to zrozumiesz. *Św. Augustyn.*

*

Wiara bez dobrych uczynków jest jak drzewo bez owocu, miłość jako matka bez dzieci, modlitwa jako ptak bez skrzydeł. *Skarga.*

*

Wiara jest jako sklepienie, z którego, gdy wyjmiesz cegiełkę, to runie całe. Tak i w duszy, gdy się zrobi szczerba, wchodzi w nią niewiara.
Kraszewski.

*

Bo mocno wierzę, że mnie nic nie czeka,
Jeno co mi los przeznaczył od wieka.
Kochanowski.

*

Częstokroć samą wiarą ozdrowieje chory;
Wiara morza osusza i przestawia góry.
Szymonowicz.

Nr. 50. 51

Praca.

Rok 5.

Dodatek Powieściowy.

Epizod z żołnierskiego życia.

(Z pamiętników wyższego oficera polskiego).
Napisał generał Wybranowski.

Gdy w r. 1813 korpus partyzancki jenerała pruskiego Lützowa w czasie zawieszenia broni okolice miąsta Lipska niepokoił, dywizya polska Dąbrowskiego, organizująca się podówczas w Wetzlar i okolicach, składająca się z trzech pułków pieszych (2, 4, 14) a z dwóch ułanów (2, 4) i bateryi artyleryi konnej podpułkownika Szweryna, dostała rozkaz udania się ku Lipskowi, gdzie podówczas znajdowały się wielkie magazyny wojskowe i lazaret, dla rozpędzenia owego korpusu, oraz dla obrony miasta samego, w którem tylko małe oddziały marszowe były.

Niedochodząc Lipska, pomiędzy miastami Weissenfels, Zeitz i Gerra, pułki nasze ułanów pod komendą jenerała brygadyera Krukowieckiego, napadły na kilka szwadronów tak zwanej Legji Zemsty (*Rache-Legion**), z korpusu tegoż samego, i całkiem zabrały ich do niewoli. Jenerał Lützow poniósłszy w tej i innych potyczkach strat tyle, widząc, że na swej partyzantce utrzymać by się nie mógł, spiesznym marszem i prawie ucieczką przebył rzekę Elbę, i tam połączył się ze swymi. Nasza zaś cała dywizya otrzymała rozkaz, aby po uspokojeniu okolic, udała się do samego miasta Lipska na załogę, gdzie podówczas dowodził książę Padwy, stryj Napoleona.

Już kilka tygodni staliśmy spokojnie w tem mieście, gdy nagle odbieramy rozkaz, być w pogotowiu do przeglądu naszej dywizyi, której sam cesarz ma być przytomnym.

Trzeba wiedzieć, że ten wielki wódz, widząc, że wszelkie umowy w Pradze na niczem się kończą, chciał się naocznie przekonać o sile, moralności i porządku całego wojska. Wszystkie zatem korpusy wojska swego sam oglądał. Chciał tedy i naszą dywizyę, która całkiem jego kosztem ubrana i uzbrojona była, nareszcie i kilka tysięcy kawaleryi razem z artyleryą konną niedawno z Francyi przybyłą, bystrem swem okiem przejrzeć i przekonać się, do czego i gdzieby ich użyć mógł lub przeznaczyć.

Dnia 20 lipca, jaknajraniej cały garnizon Lipska wyruszył za miasto i uformował się na błoniach pod Rosenthalem w trzy linie. Na czele stała nasza piechota. Wkrótce przybył i cesarz lekkim koczykiem, mając przy boku swym jenerała Muton, którego zawsze zwykł był brać dla donośnego głosu w komendzie, na koźle zaś siedział ulubiony i wierny Mameluk Rustan.

Wysiadłszy z powozu, obejrzał cesarz całą linię, z uwagą przypatrując się wszystkiemu, a potem rozkazał jenerałowi Muton powtarzać od siebie wydane komendy. Musztra trwała krótko, Napoleon ze wszystkiego był nadzwyczajnie kontent, co wyrażał nietylko słowami, lecz także gestami i ruchem, poczem rozkazał nam się wrócić do miasta, a sam udał się do reszty wojska zebranego.

Ledwie przybyliśmy do miasta, gdy z placu odebrałem rozkaz, ażeby jeden batalion 2go pułku wystąpił na rynek miasta Lipska po południu, i uszykowany wzdłuż kamienic czworoboku placowego, oczekiwał przybycia cesarskiego. O godzinie 4tej z południa już batalion stał uszykowany, wkrótce przybył i cesarz i znów przechadzał się po przed linią, a który z żołnierzy mu się podobał, w języku polskim zapytywał: zkąd rodem, wiele lat służy, i czy kontent ze swego przeznaczenia — i po twarzy kilka razy poklepał. Nareszcie udał się ku początkowi ulicy *Grimmische Gasse*, gdzie już czekała kawalerya i artylerya, i rozkazał jej przed sobą przeciągać.

Miło było widzieć mnogie szwadrony karabinierów, kirasierów, dragonów huzarów i lansierów, oraz artyleryi konnej, które udawały się do pułków dla wzmocnienia. Wielu oficerów, podoficerów i żołnierzy zatrzymywał, wypytując się jak dawno służą, i w których kampaniach byli, a skoro uznał potrzebę: na placu awansował, lub krzyżem legii honorowej zaszczycał. Wszyscy pełni ukontentowania i zapału odchodzili. Ten przeciąg trwał aż do wieczora.

Cesarz udał się potem do kamienicy królewskiej w rynku, bowiem tam miał nocować. Wszyscy upojeni byli radością, widząc go i mając między sobą. Jedni tylko mieszkańcy, i to liczba nieznaczna, tłumili w sobie zaród nieukontentowania. Do późna miasto było oświetlone i muzyki grały, a z rana ledwo się mieszkańcy obudzili, już cesarza Napoleona nie było; powrócił znów do Drezna, do swej głównej kwatery.

Na drugi dzień po wyjeździe Napoleona jenerał Dąbrowski otrzymał rozkaz, ażeby dnia 24go lipca wymaszerował ze swą dywizją z Lipska, i udał się do Wittemberga nad Elbą, a tam dalsze rozkazy odbierze od jenerała Vandam, do którego korpusu należeć mieliśmy. Przybywszy pod fortecę Wittemberg jenerał Dąbrowski otrzymał rozkaz od jenerała Vandam, ażeby ze swoją dywizyą przeszedł pod Wittemberg, i o dwie mile od tej fortecy rozlokował się w w miatach Zahne i Sejda i pobliskich wsiach.

Już od kilku dni staliśmy spokojnie na kwaterach nowych, gdy nadeszła wiadomość, że zawieszenie broni, które się zakończyć miało z 1 sierpnia, przedłużonem zostało do 10 sierpnia. Ażeby zaś przez tych kilka dni wojsko było zatrudnionem, cesarz nakazał, ażeby się ćwiczyło w strzelaniu do tarczy. I tak każda kompania miała swemu dowódzcy bataljonu przedstawić ośmiu żołnierzy najlepiej strzelających, dowódzca batalionu miał ze swego batalionu przedstawić także ośmiu najlepszych dowódzcy pułku, dowódzca pułku ośmiu dowódzcy brygady, ten zaś ośmiu dowódzcy dywizyi, a dowódzca dywizyi, każdy miał ze swej dywizyi czterech najlepiej strzelających przedstawić dowódzcy korpusu. W korpusie zebrani najlepsi ci strzelcy mieli strzelać do tarczy przed jenerałem dowódzcą korpusu, a który najlepiej trafi, odbierze w nagrodę 300 franków, przeznaczonych od cesarza.

Tak to ten wielki wódz umiał w każdym razie zatrudniać oraz zachęcać swe wojsko, robiąc je zdolniejszem do wszelkich swych planów, które w następnej kampanii zamyślał wykonywać.

Żywo i z ochotą zaczęło całe wojsko zatrudniać się tem strzelaniem, tem więcej, że naznaczony był dzień, w którym wszyscy dywizyonowi strzelcy mieli się zebrać w Dessau, głównej kwaterze jenerała Vandam.

Ponieważ byłem w całej dywizyi najstarszym kapitanem, adjutantem majorem, otrzymałem rozkaz udania się do Dessau z czterema żołnierzami wybranymi, i tam zameldować się jenerałowi Vandam.

Miasto Dessau było od nas oddalonem o sześć mil. Przez całą drogę zachęcałem i wbijałem w ambicyę moich żołnierzy, ażeby starali się dobrze strzelać i żeby czasem wstydu nie narobili. Francuzi bowiem sławni byli z trafnego strzelania, a w całym korpusie oprócz naszej dywizyi sami byli Francuzi.

---

*) Legia zemsty *(Rache-Legion)*. Był to pułk uformowany wtenczas, kiedy król pruski w Kaliszu połączył się z cesarzem Aleksandrem ze samych akademików i młodzieży pierwszych familji. Ubiór mieli: wołoszki z czarnego sukna, takież rajtuzy, na kaszkiecie i naramienikach mieli trupie głowy, a broń, lanca i pisteletry. Gdy te dwa całe szwadrony dostały się do niewoli, i zostały odprowadzone do Lipska, całe prawie miasto wyległo, witając ich i wszelkie ofiarując przysługi, najwięcej było hrabiów, baronów i synów majętnych obywateli między nimi.

Pocieszyłem się, gdy moi żołnierze zapewniali mnie, że strzelać będą, jeżeli nie lepiej, to nie gorzej od Francuzów, najwięcej zaś zapewnień miałem od grenadiera z 1-szej kompanii 2-go pułku, Józefa Jastrzębskiego.

Drugiego dnia stanąłem w Dessau, a po zameldowaniu się w sztabie, żołnierze moi dostali kwatery w mieście, mnie wyznaczono pokój w zamku, z poleceniem, ażebym był u samego dowódzcy korpusu.

Któż z nas nie znał Vandama, jego osobistej odwagi i burzliwego charakteru? Wzrostu słusznego, mężny, brunet, z twarzą piękną i marsową, poważny, ubierał się ze zbytkiem, bogato, lubił lepiej żyć od cesarza; spojrzenia surowego, jednak przystępny, a kiedy widział potrzebę: ludzki i pobłażliwy. W całej armii nie było tak srogiego i prędkiego jak on, dlatego dawano mu stósowne do jego charakteru przeznaczenie, a Napoleon zwykł był o nim mówić, że gdyby miał drugiego takiego Vandama, to tego kazałby rozstrzelać. Polaków lubił i zawsze prosił cesarza, ażeby jaką część do jego korpusu przyłączył, co tym razem cesarz i uczynił.

Miałem tedy osobiście jenerałowi Vandamowi zameldować się, że przybyłem z dywizyi ze strzelcami. Przemieniwszy zatem ubiór, udałem się do niego, i oddałem ekspedycyą od jenerała Dąbrowskiego.

Skoro wszedłem, wstał zaraz z kanapy, na której leżał i fajkę palił, i przywitał mię najgrzeczniej. Wypytywał się o zdrowie jenerała Dąbrowskiego dawnego kolegi, czy dobrze rozlokowani jesteśmy, czy żołnierze kontenci z kwater, czy nie nudzi ich tak długa nieczynność? Oddając wiele pochwał narodowi i wojsku polskiemu, rzekł, że Polaków zawsze kocha i jest ich przyjacielem. Nareszcie pytał mię, czy w zamku dano mi kwaterę?

Gdy go zapewniłem, rzekł:

— Lubiąc Polaków, chcę pana adjutanta ile można przyjąć u siebie, i bardzo proszę przyjąć zarazem mój żołnierski stół.

Podziękowawszy jenerałowi Vandam za jego łaskę, wyszedłem z pokojów do mej kwatery, gdzie mnie oczekiwali żołnierze moi. Tym opowiedziałem, jakim przyjacielem jest dowódzca korpusu, zatem trzeba, żeby tem więcej się starali dobrze strzelać, aby się z nas drudzy nie śmiali.

Na to mój grenadyer Jastrzębski odrzekł:

— Panie adjutancie, nigdy to nie będzie, żeby z żołnierza polskiego, który tylko się za Ojczyznę bije, miano się śmiać; pokażemy jutro, jakie to kulki nieprzyjaciołom naszym posełamy!

Ucieszyła mnie wprawdzie ta pewność, z jaką mówił mój Jastrzębski, jednak muszę wyrzec, z pewną niespokojnością oczekiwałem jutrzejszego dnia. Śliczny pałac księcia dessauskiego, obszerny i wygodny, z ogrodem, parkiem i zwierzyńcem, leżącym nad Elbą, książę zostawił do dyspozycyi jenerałowi Vandam, którego burzliwego charakteru się obawiał, nawet całą piwnicę, kucharza swego i całą służbę pałacową do jego wygody oddał, a sam wyniósł się do miasta.

Jenerał Vandam nieprzyjacielem był Niemców, tem więcej tych, co go się bali; zabrał tedy to wszystko w swoją posiadłość, mało dbając o księcia właściciela, jednak zawsze go zapraszał na obiady do pałacu.

Byłem tego samego dnia na wybornym obiedzie, na którym przy stole ze 40 osób siedziało. Potrawy wykwintne, wina stare, muzyka przygrywała przez ciąg obiadu.

Po obiedzie jenerał Vandam, wyjeżdżał zawsze na polowanie do zwierzyńca, wieczorem była herbata i różne napoje, z rana używał kąpieli i spacerów, i takie życie ciągle stojąc w Dessau prowadził.

Na drugi dzień z rana już się zabierali żołnierze ze wszystkich dywizyi w ogrodzie zamkowym, gdzie w szerokiej i długiej alei kasztanowej, była wystawiona tarcza, przybita do czworokątnego, malowanego słupa, za tym było przybitych kilka rac z różnemi sztucznemi ogniami, które z ostatniem kołem czarnem miały komunikacyę, a za trafieniem w to kółko fajerwerk się zapalał.

Na naznaczoną godzinę i ja z mymi żołnierzami przybyłem, i stanąłem obok Francuzów. Nasza dywizya była 5-tą i ostatnią. Przybył i szef sztabu i uszykował wszystkich w porządku, wkrótce nareszcie nadszedł sam jenerał Vandam, oblany cały złotemi haftami, otoczony jenerałami i całym swym sztabem, oprócz tego i mnóstwem widzów, za nim szła kompania grenadyerska, niosąc na czele, przy odgłosie muzyki srebrną tacę, na której było 300 franków w srebrze, przeznaczonych dla tego, co najlepiej trafi.

Jenerał Vandam dał znak do zaczęcia, zaczęli zaraz żołnierze francuscy z 1-szej dywizyi.

Zabawnie było widzieć, jak owi wąsacze i w boju osiwiali przystępowali do mety, z pewnością największą przykładając broń. Wystrzeliwszy, jak który w centrum nie trafił, z jaką też złością nie odstępywał, złorzecząc swej broni, na którą całą winę składał!

Tym sposobem przeszły cztery dywizye, a dotąd ostatnie koło było nienaruszone.

Przyszła nareszcie kolej na moich żołnierzy.

Najpierwej wystąpił Jastrzębski, pewnym krokiem postępował do mety, stanął, wziął na cel, tu oczy ledwie mu nie wylazły z osady — wystrzelił i — w tym momencie z zadziwieniem wszystkich tarcza upadła na ziemię, a fajerwerk cały zaczął się palić, dając znać, że w ostatnie kółko trafiono!

Muzyka zaczęła grać, lecz dlaczego tarcza na ziemię upadła? — powstał szmer i ciekawość.

Tak jenerał Vandam jako i my wszyscy udaliśmy się do tarczy, podniesiono ją, i z wielkiem zadziwieniem spostrzeżono, że kula gwóźdź, który przez samo centrum przechodził, i którym tarcza do słupa była przybitą, wysadziła.

Jenerał Vandam porwał mego Jastrzębskiego za szyję, i uściskał, a okazując go wszystkim, wypytał zkąd rodem, jak długo w wojsku, i imię jego i nazwisko w pugilaresie zapisał. Natychmiast podano mu tacę, z której 300 franków odebrał i z muzyką był odprowadzony do zamku. Jenerał Vandam pokazał go jeszcze tam wszystkim oficerom i żołnierzom, i zaprosił do siebie na obiad.

Nikt nie mógł być więcej odemnie kontent z tak dobrego strzału Jastrzębskiego, który nawet policzyć można między przypadkowy. Na obiad, gdy się zeszli wszyscy, przyszedł i mój Jastrzębski. Jenerał Vandam kazał mu usiąść naprzeciw siebie. Przy wesołej tej uczcie wypito zdrowie Jastrzębskiego, a przy końcu zrobiono dlań składkę, wynoszącą 250 franków.

Po obiedzie, gdy chciałem odjeżdżać do swej dywizyi, jenerał Vandam rozkazał mi czekać do jutra, a wieczorem tego dnia jeździłem z nim zwiedzać piękne okolice miasta Dessau. Mój zaś Jastrzębski przez całą noc ze swymi kolegami częstował w mieście żołnierzy francuskich, którzy zawsze z polskimi sympatyzowali, lecz trochę zazdrośnem okiem na to patrzeli, że Polak te 300 franków z przed nosa im zabrał.

Na drugi dzień pożegnałem jenerała Vandam, który wiele grzeczności mi nagadał. Nie spodziewałem się go ostatni raz oglądać, ani przeczuwałem, że pod Kulmem miał takie mieć nieszczęście. Wesoło z mymi żołnierzami powracałem do głównej kwatery jenerała Dąbrowskiego, gdzie wszyscy się cieszyli, że polski żołnierz okazał taką zręczność.

Wypytując się w drodze Jastrzębskiego o szczegóły jego życia, dowiedziałem się, że był rodem z województwa płockiego i pochodził z ojca Kurpia, a przed kilku laty służył za strzelca u pułkownika Krupińskiego Hilarego, miłośnika polowania, ztamtąd się do wojska dostał, nie dziw tedy, że tak celnie strzelał. Co się z nim później stało, tego nie wiem. Wiem tylko, że ciągle był walecznym, ranny pod Lipskiem dostał się do szpitala wojskowego, tam albo z ran umarł, lub też może się pozostał w tamtych stronach. Wkrótce potem jenerał Vandam dostał rozkaz od cesarza, że ma ze swoim korpusem, oprócz naszej dywizyi, udać się do Drezna. Jenerał Dąbrowski zajął miejsce to ze swą dywizyą, gdzie cały korpus stał, a główną kwaterę założył w mieście Zerbst, gdzie do końca zawieszenia broni staliśmy — a później zasłanialiśmy fortecę Wittemberg.

Boże!

Gdy boleść wstrząsa
Piersią wzburzoną,
Ja, Wielki Panie,
Klękam w pokorze,
I drżącą dłonią
Przyciskam łono —
I wołam smutno:
Odpuść mi Boże!

I słyszę z nieba
Natchnione głosy:
Przed Twą potęgą
Dumę swą korzę —
Myśli i czucia
Biją w niebiosy...
Ja szepczę z cicha:
Pociesz mnie Boże!

A. Cyb.

Tajemnicza zbrodnia

Oryginalnie przetłomaczył z francuskiego dla „Pracy"

Empa.

(Ciąg dalszy.)

Lekki rumieniec pokrył twarz Giny. Zamknęła szybko książkę, włożyła ją do koszyka i wsunęła kluczyk do kieszeni, potem dopiero wstała i rzekła spokojnie:

— Jakżebym cię, stryju, nie miała poznać! Zapewniam cię, że często myślę o tobie!

Słowa te zdziwiły Lucyana. Czyżby ta piękna, młoda istota miała jakieś podejrzenie? Czy te zachwycające usta wypowiadały mu wojnę?

Gina odgadywała może myśli Lucyana, bo nagle roześmiała się wesoło i zapytała go o powód przybycia.

Hrabia chciał opowiedzieć jej o swych zaręczynach, ale dziwne jakieś, niewytłumaczone uczucie zamykało mu usta. Im dłużej patrzał na tę uroczą dziewczynę, stojącą przed nim w całym blasku młodości i wdzięku, tem więcej czuł się olśnionym i oczarowanym. Ale Gina była też rzeczywiście porywającą, gdy wesoła i swobodna rozmawiała z nim i śmiała się, rzucając raz po raz wymowne spojrzenie swych wielkich oczu, a Lucyan starał się o ile możności być dowcipnym i podobać się bratance — on, który w paryskich salonach miał sławę niezwyciężonego Don Juana!

Viola tymczasem wróciła do domu i dowiedziała się od męża o przybyciu i zaręczynach Lucyana. Przyjęła też szwagra bardzo uprzejmie i wyraziła mu szczere życzenia szczęścia, będąc pewną, że małżeństwo to, oparte na prawdziwej, wzajemnej miłości stanie się dla niego istnem błogosławieństwem i zachęci go do pracowitego, nowego życia.

Tym sposobem usłyszała Gina o zamiarach hrabiego, który teraz nagle stał się milczącym i zamyślonym.

Podczas obiadu wypytywała go Viola szczegółowo o narzeczoną, a chociaż odpowiadał jej na wszystkie pytania, to jednak zapał, z jakim mówił o baronowej do brata, znikł zupełnie. Potem zwrócił się znowu do Giny i rozmawiał z nią o teatrze, o koncertach i o życiu w Paryżu.

Wieczór dzisiajszy przeszedł jak jedna chwila, nazajutrz rano zaś wyjechał, nie zobaczywszy już ani Violi, ani Giny, ale gdy żegnał brata, rzekł z głębokiem przekonaniem:

— Twoja córka jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem.

— Tak, rzeczywiście, nie brzydka — odparł markiz, uśmiechając się — więcej jej warte złote serce, niż ładna twarz!

Lucyan wracał do Paryża zły, rozdrażniony i niezadowolony z siebie i z świata. Wiedział, że musi się ożenić z Ellą, jeżeli chce wieść życie bezczynne i wygodne, o jakiem zawsze marzył, ale jak starą i zwiędłą wydawała mu się teraz ta kobieta, gdy ją porównywał z młodą i śliczną Giną!

Ponieważ przybył do domu około dziesiątej wieczorem, przeto nie mógł już odwiedzić Elli, która o tak później porze nie byłaby go wcale przyjęła, ale na drugi dzień udał się do niej wcześnie, aby oznajmić jej o przyrzeczeniu brata. Idąc na ulicę św. Dominika myślał jednak wyłącznie o — Ginie!

W pałacyku baronowej były wszystkie okna zasłonięte. Ella napisała zaraz po odejściu Gastona do swego notaryusza i poleciła mu sprzedać pałac wraz z całem umeblowaniem, potem wypowiedziała miejsca służbie zapłaciwszy im hojnie za przyszłe dwa miesiące zasługi, klejnoty złożyła w banku, i zabrawszy tylko bieliznę i suknie, wyjechała wprost do Londynu.

Na kilkakrotne dzwonienie Lucyana nikt mu dziś nie otworzył, i głęboka cisza panowała w całym domu. Lucyan dzwonił ciągle, a zimny pot wystąpił mu na czoło. Co się tu stało w czasie jego nieobecności? Dlaczego pałac zdawał się być, jakby wymarłym?

Naprzeciwko znajdowała się mała, drugorzędna kawiarnia. Po długim namyśle zdecydował się wejść tam i zapytać o baronównę.

— Czego pan sobie życzysz? — rzekła niemłoda już i brzydka właścicielka kawiarni.

— Chciałem odwiedzić baronową Ferenbach — odparł Lucyan — ale dom zamknięty. Nie wiesz pani, czy baronowa wyjechała z Paryża?

— Tak, i to zapewne na zawsze, bo oddaliła wszystką służbę.

— Kiedy się to stało? — krzyknął Lucyan przerażony.

— Wczoraj! Służący Jan powiadał mi, że pałac i meble mają być sprzedane. Baronowa musiała nagle wyjechać!

— Czemu?

— Matka jej w Wiedniu zachorowała podobno niebezpiecznie!

Lucyan wybiegł jak szalony, skoczył do pierwszej lepszej dorózki i kazał się zawieźć do notarynsza Elli, ale od niego nie dowiedział się zgoła niczego.

— Za kilka tygodni — rzekł notaryusz — będę panu może mógł powiedzieć, gdzie się baronowa znajduje. Na wyraźne jej życzenie nie wolno mi obecnie zdradzać jej miejsca pobytu.

— Czemu?

— Nie wiem!

Lucyan poznał teraz, że Ella uciekła przed nim, że więc stosunek ich stanowczo zerwany, a myśl ta doprowadziła go do rozpaczy. Nagle przypomniał sobie Gastona, i pomimo, że przysiągł sobie, że nigdy już nie przestąpi progu domu pana Lemarche, pojechał natychmiast do fabryki. Ale i tu dziś nie miał szczęścia. Gaston zajęty w laboratoryum nie mógł go przyjąć, kazał mu tylko powiedzieć, że wieczorem przyjdzie do niego.

— Nie pozostało mu więc nic innego, jak wrócić do domu i czekać. Z uderzeniem dziewiątej oznajmił służący przybycie młodego księcia.

— Nareszcie! — zawołał Lucyan, wybiegając do przedpokoju. — Obawiałem się, że już nie przyjdziesz!

— Nie mogłem wyjść prędzej z fabryki!

— Wiem, wiem że jesteś bardzo zajęty i dziękuję ci, że pomimo to dotrzymałeś przyrzeczenia. Musiałem się z tobą zobaczyć!

Gdy weszli do salonu, zamknął Lucyan starannie drzwi, potem zbliżył się do Gastona i szepnął drżącym głosem:

— Wielkie nieszczęście spotkało mnie dzisiaj! Jestem w rozpaczy! Baronowa wyjechała nagle!

— Jaka baronowa?

— No, pani Ferenbach-Bückler!

— Czyżby to lepiej nie nazwać szczęściem, że cię owa tak zwana baronowa opuściła?

— Ach! — krzyknął Lucyan zmieszany, więc ty wiesz...

— O czem?

— Nie możesz zaprzeczyć — rzekł hrabia, usiłując zachować zwykły spokój — że Ella zachwycającą jest kobieta, która bywa w najlepszych towarzystwach. Ponieważ posiada bardzo znaczny majątek, przeto pod obecnemi warunkami, byłoby małżeństwo z nią największem dla mnie szczęściem!

— Ale niesłusznie jest kłamać i okłamywać innych, — odpowiedział Gaston oburzony, — i nie pojmuję, jak mogłeś chcieć dać nazwisko Horacego, Violi i Giny byłej aktorce!

Lucyan udawał, że nie domyśla się niczego.

— Proszę cię Gastonie, — zawołał śmiejąc się, — jak możesz wierzyć podobnym plotkom! Kto ci to powiadał? Miałem przecież w rękach wszystkie papiery i dokumenta familijne baronowej i zapewniam cię, że nazwisko jej...

— Dosyć tego, — przerwał Gaston. — Przyszedłem tu, bo mnie o to prosiłeś, ale nie pozwolę żartować z siebie, i nie myślę być twoim wspólnikiem tak haniebnego kłamstwa. Chcesz wiedzieć, kto mi prawdę powiedział? Otóż Ella sama.

— Ona! — krzyknął Lucyan uniesiony szalonym gniewem. — Więc byłeś u niej w czasie mej nieobecności? Nikt też inny, jak ty nie doradziłeś jej, aby uciekła! O, widzę, ile tobie zawdzięczam! Najpierw pozbawiasz mnie korzystnej posady, bo gdyby nie ty, to Lemarche byłby mnie uczynił swoim wspólnikiem, a teraz zabierasz mi narzeczoną!

Gdzie jest Ella? Gdzie ją ukryłeś? Odpowiedz, albo — zabiję cię!

— Groźby twoje są mi bardzo obojętne, — odrzekł Gaston szyderczo. — Uczyniłem to, co uważałem za stósowne, i na tem skończy się pewnie nasza rozmowa.

— Nie powiesz mi więc gdzie Ella?

— Nie, ale zanim się rozstaniemy, przyjmij jeszcze jedną szczerą radę: zacznij nowe życie, chociażby przez wzgląd na twoją rodzinę!

— Wybornie! Wypędzić kogoś z dobrego miejsca, zabrać mu narzeczoną i powiedzieć: zacznij nowe życie! O tak każdy potrafi radzić! Może powinienem zostać trapistą? Szkoda, że nie mam na to powołania!

— Nie potrzeba zostać zakonnikiem, aby się poprawić, — rzekł Gaston spokojnie. — Pracuj tak, jak ja. Widzę, że jesteś rozdrażniony, i że rozsądnie z tobą rozmawiać nie można. Żegnam cię!

Ale Lucyan zatrzymał go jeszcze.

— Chciałbyś się wystarać dla mnie o miejsce w fabryce? — zapytał o wiele już łagodniej.

— Nie!

Po odejściu Gastona, rzucił się Lucyan na kanapę i zamyślił się głęboko. Namiętne pragnienie pomszczenia swej krzywdy na Gastonie opanowało jego duszę tak wyłącznie, że byłby chętnie dał rok życia, gdyby wiedział, w jaki sposób to uczynić. I nagle przypomniał sobie — Ginę! Wiedział, że Gaston kocha ją oddawna i że jedynem jego marzeniem jest posiąść jej rękę, i teraz zdawało mu się, że znalazł to, czego pragnął! Był on o tyle zarozumiałym, że zdobycie serca młodej dziewczyny uważał za drobnostkę i nie przypuszczał ani na chwilę, aby Gaston, ów skromy i cichy młodzieniec, śmiał z nim stawać do walki o miłość Giny! Wszakże hołdy jego przyjmowała z widocznem zadowoleniem, rozmawiała z nim wesoło, śmiała się z jego dowcipów i patrzała na niego tak dziwnie błyszczącemi oczami..

Ach, myśl o niej upajała go formalnie i o taką zdobycz warto było walczyć wszelkiemi dozwolonemi i niedozwolonemi środkami! I gdyby osięgnął ten cel, zemściłby się na Gastonie i miałby od razu wszystko, czego zawsze dotąd daremnie pragnął. Ale do tego dzieła należało się zabrać z wielką rozwagą i ostrożnością, a przedewszystkiem, odzyskać zupełne zaufanie brata i względy starego fabrykanta. Uczucia osobiste nie wchodziły tu wcale w rachubę.

— — — — — — — — — — — — — — —

Na życzenie pana Lemarche powtórzył mu Gaston całą rozmowę z kuzynem, a gdy wspomniał o zamiarze jego przyjęcia znowu miejsca w fabryce, rzekł starzec:

— Dowiemy się wkrótce, co to ma znaczyć, pamiętaj tylko zawsze o tem, że hrabia jest twoim śmiertelnym nieprzyjacielem. Strzeż się, bo on odważy się na wszystko! Ale teraz mówmy o czemś przyjemniejszem — przeczytaj telegram, który mi przed godziną przyniesiono.

Gaston rozłożył depeszę i przeczytał następujące słowa:

— Za trzy dni przyjeżdżamy do Paryża. Oczekujcie nas obydwaj na dworcu. Gina.

— Twarz Gastona zajaśniała radością i szczęściem. Pan Lemarche zauważył to, uśmiechnął się zadowolony, i uścisnął serdecznie rękę młodzieńca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY.

Pałac markiza du Plessis Saint Luc, położony na ulicy Messina, a stojący od dwóch przeszło lat zupełnie próżno, nowem zawrzał życiem. Horay przybył z Violą, Giną, małym Wiktorkiem i mnóstwem służby, w oznaczonym dniu, a pan Lemarche odwiedzał codziennie ukochaną wnuczkę.

I dziś był tu także. Gina zaprowadziła go zaraz do salonu.

— Wypiękniałaś niezmiernie w ostatnich czasach, — rzekł starzec, gładząc czule jej złote włosy.

— Powiedziałeś mi to już kilka razy, dziadku, zawołała Gina, śmiejąc się. — Widać, że chcesz koniecznie, abym się stała próżną i zarozumiałą.

— O nie, ale cieszę się z tego, bo kocham cię bardzo!

— Wiem, wiem, jeżeli cię o coś prosić będę... wszakże nie odmówisz mej prośbie, nieprawdaż?

Młoda dziewczyna stała się nagle poważną i spojrzała badawczo na dziadka.

— Nie, bo jestem przekonanym, że nie zażądasz czegoś, niestósownego. Przyrzekam ci więc już wszystko z góry.

— Chociażbyś miał jaką ofiarę ponieść?

— Nie rozumiem cię dziecko, i zaczynam się o ciebie obawiać.

— Nie lękaj się niczego, dziadku. Mówiono nieraz, że jestem do ciebie podobną, że mam tę samą jak ty energią, że tak samo kocham prawdę i sprawiedliwość, i że wykonuję zawsze to, co sobie raz postanowię.

— I masz teraz jakiś zamiar... — zapytał starzec niespokojny, wiedział bowiem, do czego Gina dąży.

— Tak, — przerwała z uniesieniem. — Ja nie chcę, aby śmierć mej matki nie została pomszczoną!

— Czy ojciec i Viola znają twoje plany?

— Nie, chwilowo nic im jeszcze nie mówiłam, ale ty dziadku, pomożesz mi!

— Więc powiedz mi przedewszystkiem...

— Nie tutaj, — zawołała żywo. — Gaston może przyjść każdej chwili i... Lucyan także.

— Jedź ze mną do fabryki!

— Dobrze! Po śniadaniu zabiorę się zaraz!

W tejże chwili dał się słyszeć w przedpokoju głos Lucyana:

— Gdzie jest mój brat?

— Państwo i książę la Croix-Marbourg są na górze, w małym salonie, — brzmiała odpowiedź służącego.

— Nędznik! — szepnął pan Lemarche, zaciskając ręce.

— O tak, masz słuszność dziadku, — dodała Gina. — My oboje wiemy najlepiej o tem. Ale on —... kocha mnie!

— Co? — krzyknął starzec, zrywając się i zapominając wszelkiej ostrożności. — Śmiał ci to powiedzieć?

— Nie, ale domyślam się... Aby osiągnąć swój cel, zaczął obgadywać Gastona, a to już zawsze podejrzliwe. Wczoraj opowiadał papie półgłosem jakąś długą historyą, wiedząc zaś, że jestem w pokoju, dodał nagle głośno:

— Przysięgam ci, że nikt inny, tylko Gaston, zabrał mi miłość mojej narzeczonej! Postąpił sobie, jak zdrajca! Gdybym wiedział, gdzie ją ukrył...

— Ale ty nie wierzysz jego oszczerstwom?

— Ani ja, ani papa, — odrzekła Gina spokojnie. — Nigdy nie uwierzę człowiekowi, którego podejrzywam o zabójstwo mej matki. Postępowanie Lucyana umacnia mnie coraz więcej w przekonaniu, że on się chce o mnie starać!

— Twój stryj rodzony!

— Cóż to szkodzi? Jest on o czternaście lat młodszy od papy — ma więc trzydzieści jeden lat, a nie byłoby to pierwszym przypadkiem, że stryj żeni się z bratanką. Coś podobnego częściej się zdarza.

— O jak on śmie myśleć o tem, — jęknął pan Lemarche. — Tego już za wiele! Jest to skończony łotr!

— Nie unoś się dziadku! I ja przeraziłam się w pierwszej chwili, gdy zauważyłam jego spojrzenia i zrozumiałam znaczenie jego słów, ale potem powiedziałam sobie, że tym sposobem może odkryją najprędzej jego winę. Pomóż mi, dziadku, nie odmawiaj mej prośbie!

Lemarche chciał odpowiedzieć, ale wejście Violi i Horacego przerwało dalszą rozmowę. Zaraz potem wszedł Lucjan w towarzystwie Gastona, który natychmiast zbliżył się do Giny.

— Kochany ojcze, — rzekł Horacy, mój brat żałuje bardzo, że z powodu rozmaitych nieporozumień opuścił twoją fabrykę. Nie chciałbyś, przez wzgląd na mnie, zapomnieć o tem?

— O tak! — zawołała Gina błagalnie. Zapomnij dziadku, jeżeli chcesz, aby zgoda zapanowała w naszej rodzinie. Przyjmij znowu stryja do twej fabryki!

— Nie mogę ci odmówić! szepnął Lemarche, i chcąc uniknąć podziękowań z strony Lucjana, podał szybko ramie Violi i przeszedł się z nią do sali jadalnej. Przy śniadaniu siedział Lucjan obok Giny, i promieniejący radością, bawił ją opowiadaniem wesołych dowcipów, a młoda dziewczyna śmiała się serdecznie, i przyjmowała hołdy stryja z widocznem upodobaniem. Gaston po raz pierwszy poznał, co to jest zazdrość.

— Mogłabyś jechać po śniadaniu ze mną do Saint-Denis, odrzekł nagle Lemarche zwracając się do Giny. Ojciec twój pozwoli zapewne.

— Naturalnie, zawołał markiz, Gina należy tak samo do ciebie, ojcze, jak i do mnie!

Godzinę później siedział fabrykant w swoim pokoju razem z Giną. Tutaj nikt im nie przeszkadzał.

— Powiedz mi teraz, dziecko drogie, — zaczął starzec, całą prawdę. Możesz mi we wszystkiem ufać zupełnie.

— Wiem, ale dziś nie mogę ci jeszcze wszystkiego powiedzieć. Gdy cel swój osiągnę....

— Czy to kiedykolwiek nastąpi? Ile ja już starań dokładałem, ile wycierpiałem, a dotąd nic mi się nie powiodło!

— Pozostaw to mnie! Przysięgłam pomścić śmierć matki, i przysięgi tej dotrzymam, zawołała Gina z błyszczącemi oczami. Tajemnica, która dla was wszystkich jest niewyjaśnioną, przestała dla mnie już być tajemnicą. Znam cały przebieg tego krwawego dramatu!

— Nie może być! krzyknął pan Lemarche przerażony.

— A jednak tak jest! Lucjan kocha mnie i ja skorzystam z tego. Przeznaczenie samo oddaje mi go w ręce. Ale Gaston będzie cierpieć z tego powodu!

— Dobrze pomówmy najpierw o Gastonie! Nie wątpisz, jak mówiłaś, o jego miłości, lepiej jednak, że ci wyjaśnię przyczynę, dla której Lucjan oczernia go.

I w kilku słowach opowiedział pan Lemarche Ginie całą historyą Elli, tak, jak ją słyszał z ust Gastona.

— Więc to siostra Gabryeli! zawołała Gina zdumiona. Jakie dziwne zrządzenie Opatrzności! Ale zdaje mi się, dziadku, że ktoś puka do drzwi.

Pan Lemarche wstał, otworzył drzwi, i odebrał od służącego list.

— Od Servana! szepnął, a rozłożywszy ćwiartkę przeczytał szybko następujące słowa:

— Szanowny przyjacielu! Dziś rano dowiedziałem się, że pan de Moranges żyje i że obecnie znajduje się w Egipcie. Za tydzień może będzie już w Paryżu. Donoszę panu o tem, bo wiem, że wiadomość ta jest ważną. Serwan!

Było to rzeczywiście niezmiernie ważnem to też fabrykant postanowił odwiedzić pana de Moranges natychmiast po powrocie jego do Paryża i zapytać otwarcie, jakie stosunki łączyły go z zmarłą. Śmiały podróżnik był dziwakiem, ale szlachetnym człowiekiem, mógł więc być pewnym, że dowie się od niego prawdy. Ginie chwilowo nic o tem, nie chciał mówić. Zamiary wnuczki zaniepokoiły go niezmiernie. Wiedział on, że Gina jest odważną i energiczną, znał jednak Lucjana dosyć, aby się lękać o przyszłość Giny i Gastona, dwóch istot, które najwięcej kochał w świecie.

— W jaki sposób zamyślasz więc postępować? zapytał po chwili milczenia, chowając list sędziego do biurka.

— Nie wiem jeszcze, bo wszystko zależy od tego, jak Lucjan postępować będzie.

— W każdym razie przyrzeknij mi, że przywołasz mnie, gdyby ci jakie niebezpieczeństwo grozić miało, albo gdyby ci siły nie dopisały.

— O, zapewne! Skoro tylko sprawa będzie się miała rozstrzygnąć, opowiem ci wszystko, rzekła Gina, całując rękę dziadka. Mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi.

— Czy wolno wejść? dał się w tejże chwili słyszeć za drzwiami głos Gastona.

— Prosimy! zawołała Gina, a zwracając się do pana Lemarche, dodała z uśmiechem: Widzę, że i tu rozmawiać spokojnie nie możemy, bo ciągle nam ktoś przeszkadza!

Gaston wszedł do pokoju, przywitał fabrykanta i ucałował gorąco obie ręce dziewczęcia.

— Uciekasz przedemną, szepnął czule, i aż tutaj szukać cię muszę!

— O, jaki egoista, rośmiała się Gina. Chciałbyś wszystko zabrać dla siebie, mój książe! Ale i dziadek ma prawa do mnie!

— Niestety!

I oboje młodzi szeptali słodkie słowa miłości, a pan Lemarche siedział zamyślony, nie mieszając się wcale do rozmowy zakoccanych. Gaston zapomniał o zazdrości, gdy patrzał w promienne oczy dziewczęcia, Gina zaś nie myślała obecnie o niczem innem, jak o swem szczęściu.

Około szóstej przyjechał markiz po córkę, z czego ani Gina ani Gaston zadowolonymi nie byli.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY.

Powrót Afrykanina, jak ogólnie zwano markiza de Moranges, ucieszył niezmiernie jego licznych przyjaciół i znajomych. Uważano go już oddawna za umarłego, to też ukazanie się jego w Paryżu tem większą było niespodzianką. Gazety umieszczały codziennie długie artykuły o podróżach i przygodach podróżnika, reporterzy ścigali go na każdym kroku, tak, że chcąc uniknąć natrętników, zabawił markiz tylko kilka dni w stolicy i zaraz potem wyjechał na wieś, do jednego z swoich przyjaciół. Tam odwiedził go pan de Lemarche.

Zaledwie markiz usłyszał nazwisko gościa, wybiegł do niego do sieni i przywitał go z taką niekłamaną serdecznością, że starzec poznał odrazu, że ten człowiek o swobodnem, szczerem spojrzeniu nie mógł być mordercą jego córki.

— Cieszę się bardzo, że pana widzę, zawołał Leon de Moranges, chociaż doprawdy nie domyślam się wcale, jakiej przyczynie zawdzięczam przybycie pana!

— Jesteś bardzo uprzejmym, markizie. Nie przypuszczałem, abyś mnie sobie przypominał.

— Ależ panie Lemarche. Musiałbym co najmniej mieć bardzo krótką pamięć, gdybym zapomniał o gościnności, z jaką mnie córka pana przyjmowała. Jakże się miewa markiza?

— Moja córka nie żyje, odrzekł fabrykant krótko i spojrzał przenikliwie w oczy Leona, który zbladł śmiertelnie. Czy pan o tem nie wiedziałeś?

— Nie! — szepnął Leon wzruszony. — Od kilku tygodni dopiero doszły mnie wiadomości z ojczyzny, ale o śmierci markizy nie doniesiono mi wcale, a w Paryżu też o tem mowy nie było.

— Tak, przeszło dwa lata minęły od tego czasu, w Paryżu zaś zapominają ludzie wnet o umarłych!

— Nie mogę tego pojąć! Zdaje mi się, jak gdybym wczoraj jeszcze widział ją promieniejącą pięknością..... Ach, jaka ona była piękna! I jak... kiedy...

— Córkę moją zamordowano!

— Nie może być! krzyknął Leon przerażony. — Kto jest jej mordercą? Boże wielki! Wiesz pan, bo teraz mogę wyznać, że to była jedyna kobieta, którą ubóstwiałem! Niestety, poznałem ją, gdy była już żoną innego, ale piękność jej wywarła na mnie od pierwszego spojrzenia, głębokie wrażenie... Pokochałem ją szalenie i raz, uniesiony namiętnością, wyznałem jej moją miłość. Ale ona, spojrzała jak zawsze, powiedziała mi, że kocha swego męża i że moim obowiązkiem jest unikać jej odtąd. Przyrzekłem wszystko, czego żądała i dwa miesiące później wybrałem się w podróż, z której co dopiero wróciłem..... Kto jest jej mordercą? — powtórzył przytłumionym głosem.

— Nie wykryto go dotychczas!

— Gdzie się to stało?

— W zamku Saint-Luc, w nocy, drugiego Listopada, a zatem dzień przed przyjazdem pana!

— Tak jest, wyjechałem trzeciego Listopada, — odrzekł Leon, — pamiętam to bardzo dobrze! Dzień Zaduszny przepędziłem u mojej matki, w blizkości Marsylii, nazajutrz rano zaś udałem się na okręt...

— Byłeś wówczas u matki? Nie mylisz się?

— Bynajmniej, ale czemu pytasz pan o to? Ah! — zawołał, spostrzegłszy badawcze spojrzenie pana Lemarche, — myślisz może, że ja..... że ja..... nie, to nie może być! Nie możesz mnie podejrzywać.....

— Nie podejrzywałem pana ani na chwilę, daję ci na to moje uroczyste słowo honoru!

— Więc ktoś inny poważył się powiedzieć, że ja zamordowałem markizę! Powiedź pan — żądam tego!

— Wyraźnie nikt nie powiedział, ale da*ano do zrozumienia, że pan istotnie stoisz w związku z tą zbrodnią.

Leon zbladł jak ściana.

— Kto jest tym łotrem, — krzyknął w najwyższem uniesieniu. — Przekonam go, że bezkarnie nie można igrać z moim honorem!

— Ważne powody nie pozwalają mi chwilowo wymieniać jego nazwiska, — odrzekł Lemarche stanowczo.

— Ja go pomimo to odszukam i ukarzę. Jeżeli kilka osób słyszało owe haniebne plotki, to nie trudno mi będzie znaleźć winnego. Dziś jeszcze wracam do Paryża!

— Uczyń pan to, co uważasz za stósowne, o jedno tylko proszę usilnie: szanuj pamięć zmarłej.

— Przysięgam panu, że imienia jej nie użyję nigdy! Dla ukarania potwarzy znajdzie się zawsze tysiące innych powodów.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— Gina została wprowadzoną w wielki świat paryski i zaczęła bywać na balach i zabawach. Markiz, zajęty zawsze swemi „szpargołami“, wychodził niechętnie z domu, Violi przeto i Ginie towarzyszyli najwięcej Lucyan i Gaston. Viola czuła dla Lucyana tę samą niewytłomaczoną antypatyą, jak dawniej, ale teraz, gdy była żoną Horacego, starała się przezwyciężyć swoją odrazę i okazywała mu pozornie przynajmniej uprzejmość.

Gina natomiast była zawsze dla stryja serdeczną, tak, że Lucyan codziennie więcej nabierał odwagi i nadziei pozyskania jej serca. Czasem nawet zajmowała się nim tak wyłącznie, że Gaston obrażony, usuwał się zupełnie, ale Gina zdawała się wcale na to nie zważać!

Piękność jej i ogromny majątek zapewniły jej od razu pierwsze miejsce w towarzystwie, a kosztowne i wytworne toalety wzbudzały ogólny podziw. Ale często widywano ją też zupełnie skromnie ubraną w dzielnicach nędzarzy, którym niosła pomoc i wsparcie, mając na ten cel zawsze otwartą portmonetkę dziadka i ojca. Nic też dziwnego, że bogaci i ubodzy uwielbiali tę śliczną, dobrą i szlachetną dziewczynę, Gina jednak nie stała się wcale zarozumiała, a zabawy, teatra, koncerta i bale, których dotąd nie znała, sprawiały jej wielką przyjemność.

Na balu u pana Matte, bogatego przemysłowca i przyjaciela pana Lemarche„ spotkała Gina niespodziewanie brata Heleny de Mezole, Jana i przyrzekła mu natychmiast kilka tańcy. Matty spokrewniony z najwyższą arystokaracyą, przyjmował u siebie tylko „śmietankę“ towarzystwa paryskiego, a wspaniały jego pałac zdołał zaledwie pomieścić wszystkich gości. Tańczono równocześnie w kilku salonach, na małem zaś wywyższeniu w sali środkowej siedziały panie nietańczące, pomiędzy któremi znajdowała się wyjątkowo dziś Viola.

— Gdzie Gina? — zapytał pan Lemarche, zbliżając się do niej.

— Tańczy z Janem Mezole, — odrzekł Gaston, smutny i przygnębiony.

— W takim razie jestem o nią spokojny. Widzisz ją, Gastonie?

— Nie, zdaje mi się, że przeszli do przyległej sali.

— A gdzie Lucyan!

— Tam, gdzie Gina — rozśmiała się Viola swobodnie.

— Albo przy zielonym stoliku — szepnął Gaston.

Ale tym razem mylił się Gaston. Lucyan nie spuszczał z oczu Giny, i zaledwie przestała tańczyć, zbliżył się do niej i podał jej ramię.

— Jesteś zmęczoną — szepnął troskliwie — a ja, jako stryj, muszę czuwać nad twojem zdrowiem. Idźmy na chwilę do zimowego ogrodu, abyś trochę wypoczęła.

— Bardzo chętnie!

Hrabia zaprowadził Ginę do wspaniale urządzonego ogrodu, pełnego zacisznych altanek, wodotrysków, palm i wonnych kwiatów i wyszukał małą, pomiędzy palmami ukrytą ławkę, jak gdyby stworzoną dla zakochanych.

— Jak się bawisz dzisiaj? — zapytał.

— Wybornie! Spotkałam już mnóstwo znajomych i tańczyłam dużo!

— Wierzę! Wszyscy uwielbiają ciebie!

— Więcej pewnie miliony dziadka! Mają one dla niejednego więcej wartości, niż moja osobistość!

— Może, ale nie dla księcia Rolanda. Stara on się tak otwarcie o ciebie, że pytano mi się już, kiedy będą wasze zaręczyny. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

Książę Roland, jeden z najbogatszych arystokratów angielskich, starał się rzeczywiście o rękę Giny, ale młoda dziewczyna przyjmowała bardzo obojętnie jego hołdy. Tytuł książęcej nie nęcił jej wcale.

— Znam go za mało, — odrzekła spokojnie, — i nie myślałam jeszcze...

— Ah, — przerwał Lucyan, — więc chcesz znać dobrze tego, któremu oddasz serce i rękę?

— Naturalnie!

— Ale Gastona znasz od dawna?

Gina zarumieniła się mimowoli.

— Tak, — szepnęła nieco zmieszana. — Rodzice i dziadek, — dodała po chwili namysłu, — życzą sobie, abym została jego żoną, ale ja nie wiem, czy uczucie, jakie mam dla niego, jest prawdziwą miłością! Wątpię! Kocham go jak brata, nie wystarcza to jednak, aby...

Oczy Lucyana błysnęły zwycięzką radością.

— Gino! — zawołał namiętnie, — słowa twoje uszczęśliwiają mnie nad wyraz! Raz już muszę ci powiedzieć, o czem może już wiesz, że kocham cię nad wszystko na świecie, i że bez ciebie żyć nie mogę! Przyznaję, że jestem znacznie starszy od ciebie, ale wierzaj mi, że tylko mężczyzna w dojrzałym wieku, potrafi kochać prawdziwie! Doznałem tyle przykrości i zawodów, że obok miłości mieć będę jeszcze wdzięczność dla ciebie za odrobinę przywiązania!

Gina westchnęła i spuściła oczy.

Może masz słuszność, — rzekła cicho, — ale...

— Pozwolisz mi więc rozmówić się z ojcem twoim? — zapytał Lucyan szybko.

— Nie! to się nigdy spełnić nie może!

— Co?

— Abym została twoją żoną.

— Ale czemu nie, jeżeli mnie kochasz? — krzyknął przerażony.

— Nie pójdę wcale za mąż!

— Jaki szalony kaprys! I dlaczego?

— Bo nie mogę tak boleśnie ranić serca Gastona. On kocha mnie także, wiedząc zaś, że z mojego powodu ktoś cierpi, nie byłabym nigdy szczęśliwą!

— Tem gorzej dla niego, szepnął Lucyan drżącemi z gniewu ustami. — Więc nie ma dla mnie nadziei? — dodał głośno, — nie zmienisz twego postanowienia?

— Nie! Wróćmy teraz do sali, Viola pewnie mnie już szuka! Spodziewam się, — rzekła serdecznie, — że nie masz do mnie zbyt wielkiego żalu i że nadal pozostaniesz moim szczerym przyjacielem. Będziesz nas często odwiedzał w Tauzia i w Saint-Luc, dokąd zamierzam wkrótce wyjechać — będziesz mi powierzał twoje kłopoty i nadzieje, i tak, chociaż nie możemy do siebie należeć...

— Nie, Gino, ty musisz być moją! — zawołał ściskając jej ręce. — Żadna siła ludzka nie wydrze mi ciebie, będę walczyć z całym światem o twoją miłość i zdobędę ją!

Ale ona uśmiechnęła się smutnie i wysunęła ręce z gorących dłoni Lucyana.

— Nie mogę — szepnęła, — nie mogę doprawdy uczynić tego przez wzgląd na Gastona. Żal mi, że nie kocham go tak, jak on sobie tego życzy, ale nie sprawię mu przynajmniej tego cierpienia, aby zostać żoną innego. Już dla samej Violi nie powinnam inaczej postąpić!

Lucyan zacisnął pięści i milczał. Potem podał ramie Ginie i wrócił z nią do sali, a gdy tutaj spostrzegł Gastona, rzucił mu spojrzenie tak pełne nienawiści i gniewu, że Gina mimowoli zadrżała.

Zaraz potem zbliżył się do niej pan Lemarche.

— Nie wiem, co się dzieje z Gastonem, — rzekł z uśmiechem. — Jakiś dziwnie zamyślony, roztargniony, nie poznaję go doprawdy.

— Może słyszał, że książe Roland stara się o mnie, — odpowiedziała Gina wesoło. — Wyłaj go dziadku, jeżeli tej plotce uwierzył.

— Tak, tak, zgadłaś! — zawołał fabrykant. — Jesteś prawdziwą czarodziejką! Strzeż jej się Violo, dodał, śmiejąc się, ona myśli zgaduje.

— O, nie mam strachu, — odparła Viola. — Gina czyta w mem sercu, jak w otwartej księdze.

— Zapewne! Wiem, że jesteś aniołem, — szepnęła Gina, — patrząc z czułością a zarazem i politowaniem na swobodną twarz markizy, w duszy zaś dodała jeszcze: i dlatego biada temu, kto śmiał znieważyć twoje czyste serce, używając ciebie za narzędzie zbrodni!

((Ciąg dalszy nastąpi.)

Dodatek Humorystyczny.



Lew w sieci.

— Pan dobrodziej pewnie na święta?
— A tak, na święta na babę. — A pan dobrodziej?
— Ja także na święta, ale z babą.

Rozmowa gogątek.

— Ty! coby ci najwięcej przyjemności sprawiło na kolendę?

— Mnie? — tylko gotówka, bo ja jestem pozytywista.

Święto.

— Szanowny panie pryncypale, czy mogę pana prosić o krótki urlop... Teściowa mi umarła...

— Pan to zawsze sobie jakieś święto wynajdziesz...

— I czy pani nie myśli o powtórnem małżeństwie?

— Owszem, panie, ja o niem myślę, ale za to kto inny o niem nie myśli...

Jest jaka jest.

Dziewczę jestem, młodość, zdrowie,
Zdolna dotąd, Bogu dzięki;
Romanse mi ani w głowie,
Obce mi płaczliwe jęki.

Krew mam lekką, złotko lubię,
Śpiewam, tańczę, mam rumieńce,
I wielkim się skarbem chlubię:
Serce mam i z kwiatów wieńce.

Ewy jestem ja córeczka,
Łatwowierna, próżna, słaba,
A ciekawam... nie troszeczka,
Lecz jakby już stara baba.

Chłopców lubię, jam nie święta,
Mówiła mi mama przecie:
Że stworzone są dziewczęta
Tylko dla nich na tym świecie.

W głowie mi się nie przewraca,
Żadna duma mnie nie łechce;
Jestem ot dziewczyna — caca,
Aniołem być... wcale nie chcę.

G.

Cyklista.

Gdy wybierze się z rowerem
Na ulice ludne miasta,
Często wpada pod dorożkę,
Bo mu w oku tkwi... niewiasta;
A sportowo-wycieczkowych
Uczuć wtedy czuje roje,
Gdy mu uda się za miasto
Wybrać, ale tak... we dwoje.

Ciekawe pamiętniki.

— Wiesz co żono, że teraz, mając sporo wolnego czasu, chciałbym go zużytkować w sposób pożyteczny dla ogółu. Niech wiedzą potomni, że żył na świecie kiedyś jakiś Gaudenty i że coś robił.

— Mój mężu i cóż ty zamierzasz?

— Piszę pamiętniki!

— Własne?

— A no naturalnie, już nawet zacząłem... posłuchaj oto naprzykład:

„6 czerwca 1871 roku był u nas na obiad jesiotr w śmietanie... proszę siadać! albo:

„8 lipca 1872 r. mała wycieczka do Dębiny i kurczęta... klękajcie narody.

„17 grudnia 1873 roku na obiedzie u Agatona — udziec sarni... palce lizać!

„14 stycznia 1874 r. na śniadaniu u pana Samuela — szynka z dzika... śpiewać!

„17 maja 1875 r. u Jacentego szparagi... wiersze pisać!

„18 stycznia z Gustawem — ostrygi... buzi dać!“

— Przepraszam cię, mój mężu, ale zdaje mi się, że jak na jedne pamiętniki, jest za dużo jedzenia!

— Duszko, to dopiero jedna dziesięciotysięczna cząstka, obaczysz co to będzie, gdy ukończę całość... Pomnikowe dzieło zostawię potomności.

Gandenty.

Karnawał się zbliża.

Karnawał się zbliża,
Gdy nadeszły święta;
Dla papy — co prawda —
Mała to ponęta.
Bo mu żona klepie:
— „Nie pomogą nieba,
Józię tego roku
Na bal powieść trzeba.“

Próżno mąż nieszczęsny
Pomrukuje basem:
— „Cóż to? Czy się pragniesz
Pozbyć jej przed czasem?“
Wciąż ponawia żona
Te same napaście:
— „Przecież jej niedługo
Będzie osiemnaście.“

Tak już i świąteczne
Zatruwa im chwile
Spór, czy Józi wolno
Posunąć w kadryle.
Ba, niechby sunęła —
To najmniejsza męka,
Tylko że coś papie
Kieszeń srodze stęka.

C. Lik.

— Mikoszu! Winszuję tobie! Słyszałem, co się zaręczyłeś!...

— To co ty mnie winszujesz? Ty idź powinszuj mojej narzeczonej...

* * *

Uroczyste śniadanie wigilijne.

Gdy Piotr z Jacentym siedli do sztokfisza,
Była przy stole uroczysta cisza
I taki spokój wielki i natchnienie
Czasem przerwało widelca stuknienie.

Gdy im omszałą przyniesiono flaszę,
Szepnęli tylko: — no, za zdrowie nasze!
I znowuż cisza nastała pogodna,
I wyciągnęli wszystko wino do dna.

Jest benedyktyn dany, tudzież mokka
I znowuż cisza nastaje głęboka,
Aż Jacek rzecze wreszcie przy rachunku:
— Zawsze się człowiek rozerwie przy trunku.

M.

Amator ogniska domowego.

(Fotografia rewolwerowa.)

Poczciwe to i zacne człowieczysko
Ten pan Antoni znany w kółku sporem,
Lat już sześćdziesiąt ma ten starzec blizko,
Dotychczas jednak jest celibatorem.

Więc by się ogrzać ogniskiem domowem,
Do czego dąży natura poczciwa,
Nasz pan Antoni zawsze dobrem słowem
Jest przyjmowany, tam gdzie tylko bywa.

Oto na przykład w domu Dominika,
Ani by przez myśl nie przeszło nikomu,
Że on gdzie indziej niż go się spotyka,
Może być także przyjacielem domu.

— Oj ludzie, ludzie! — zwykle się odzywa,
Podnosząc w górę swój paluszek chudy, —
Tu tylko u was szczerość jest prawdziwa,
A wszędzie pełno fałszu i obłudy.

Niedawno byłem u tego Anzelma,
Jak on się łasi, jak koteczek bury,
A w gruncie rzeczy to podobno szelma,
Który każdego obdarłby ze skóry!

A jego żonka to także ananas,
Gdy z nami winta grał Oleś i Jerzyk,
To tylko ciągle spoglądała na nas,
Czy kto dwóch ciastek nie wziął na talerzyk.

Albo u Iksów byłem na obiedzie,
To komedyanci! — wszak to nie nowina,
Ze Iks od roku na kredycie jedzie,
A zbytek taki, aż się stół ugina.

. . . .

I tak w ten sposób poczciwy Antoni
Na nikim suchej nie zostawi nitki
I nieraz nawet rzewną łzę uroni,
Bolejąc nad tem, że świat bardzo brzydki.

A Dominiki będąc w siódmem niebie,
Gdy przy nich różne obgaduje sfery,
Po wyjściu jego mówią wciąż do siebie:
To jest prawdziwie nasz przyjaciel szczery!

. . . .

Anzelm tak samo o Antonim twierdzi,
U Iksów także przepadają za nim,
Bo chorągiewki, kiedy się na żerdzi
Odwraca z wiatrem, z pewnością nie ganim.

Więc u Anzelma, poczciwy Antoni,
Gdy Dominików w rozmowie pochwycą,
Jego zwie chciwcem, co za zyskiem goni,
A ją przebrzydłą, starą czarownicą!

U Iksów znowu Anzelm i Dominik
I Antoniego przyjaciele blizcy
Są obrabiani, z czego taki wynik,
Że na przyjaźni źle wychodzą wszyscy.

Antoni bowiem, ten szczyt egoisty,
Chcąc ogrzać serce dotychczas jałowe,
Wynalazł sposób (w skutkach oczywisty)
By mógł mieć wszędzie..... ognisko domowe.

X.

— Wstydź się, taką ładną żonę zostawiasz w domu, a sam przychodzisz na maskaradę!

— No, przecież byłoby znacznie gorzej, gdyby moja ładna żona przyszła sama na maskaradę, a ja, żebym został w domu!...

Co on przez to rozumiał?

— Wicku, chodź, pojedziemy zobaczyć teatr maryonetek...

— Dziękuję ci, mój kochany, już i tak byłem dziś w czterech prywatnych domach z wizytami...

* * *

Gogo.

Gogo jest już dziś zmęczony,
A ma przyczyn bardzo wiele;
Takie dziwne bowiem czasy,
Że w łeb sobie chyba strzelę.

Musiał wrócić spleen mój dawny,
Chociaż niby to ustawał;
Proszę państwa głucho wszędzie
A za pasem już karnawał.

Daję słowo: nie rozumiem
Zkąd się cisza taka bierze
I to nie w plebejskim gminie,
Ale nawet w naszej sferze.

Dawniej w pierwszych dniach adwentu
Już wiedziałem doskonale,
Co i kiedy i jak będzie
Urządzone w karnawale.

Teraz próżno mnie chce badać
Gogujących liczna tłuszcza,
Gogo biedny sam nic nie wie,
Gogo pary z ust nie puszcza.

Mówią: powód w sytuacyi
Politycznej; ależ hola!
Sytuacya precz iść winna,
Gdy karnawał żąda pola!

Sytuacya — to rzecz druga,
Pierwszą frak, walc, gry i tany,
Od których mógłby mieć emocyę
Gogo srodze zblazowany.

Tak, jak teraz, być nie może!
To... to, proszę nadaremnie!
Gdy polityka nie zamilknie,
Wroga mieć gotowa we mnie.

Tak jest! Wroga z krwi i z kości,
Z nerwów, z pragnień, z myśli, z głowy,
Bo nie mogę przystać na to,
By karnawał był jałowy.

P. G.

A to jej dociął!

Po placu Wilhelmowskim spacerują on i ona.

On jest młodym, ona — bardzo przekwitłą panną.

Ona prowadzi na sznurku pieska.

— Ach, pani musi być do tego stworzenia bardzo przywiązaną? — mówi on.

— Ogromnie! Przecież to mój jedyny przyjaciel z lat dziecinnych!... — odpowiada ona, skromnie spuszczając oczęta.

— Taak?... A ja nic o tem nie wiedziałem, żeby i u psów mogły zdarzać się wypadki... długowieczności!...

Powrót z sesyi.

Gdy wracam nocą z „sesyi" towarzyskiej
I gdy się w sprawy tego świata wpatrzę,
To wiecie państwo, płaczu jestem bliski...
Na świecie wszystko jak w kiepskim teatrze:
Bądź zawsze wszystkim sługa uniżony,
Spokój człowieka — to znikome plany...
W domu dostanę „mydło" znów od żony...
Wiecie co? Świat ten musi być pijany!

Wad jego umysł ludzki nie ogarnie,
By znieść cierpienia — potrzeba olbrzyma...
Podróżny rzadko napotka latarnię,
Która go w chwilach zwątpienia podtrzyma.



Człowiek jak nawa na morzu w czas burzy,
O życia rudel losów biją zmiany...
Mąż z „sesyi" idąc przed małżonką tchórzy...
Doprawdy, świat ten musi być pijany!

O losy, losy dzikie jak pohańce...
I promyk jasny życia nie umila...
Spojrzyjcie... domy puściły się w tańce...
Wszystkie budowle zaczęły kadryla?
Nieprzyzwoitość! Tańce o tej porze...
Skaczą oberka, aż się chylą ściany...
O co pragniecie z wami się założę,
Że świat nasz cały musi być pijany!

Radzca.

Subtelny.

Rzecz dzieje się na „balu" prywatnym, na którym do godziny czwartej rano nie podano jeszcze kolacyi...

Gospodyni. — A, panie Karolu, to nie ładnie! Pan wcale nie tańczy!...

Gość. — Bo ja, proszę pani, na czczo tańczyć nie mogę, a jestem jeszcze przed... pierwszem śniadaniem!...

Zaproszenie do przedpłaty.

Czytelnicy abonujcie

„Górnoślązaka.“

„Górnoślązak“ wychodzić będzie z dniem 1-go Stycznia w Katowicach, ulica Poprzeczna 12 (Kattowitz O./Schl., Querstr.) i to **codziennie** z licznemi illustracyami.

Przedpłatę przyjąć musi już teraz każdy listowy i każda poczta w obrębie państwa niemieckiego.

„Górnoślązak“ podawać będzie bardzo zajmujące jędrne artykuły, a szczególnie obszerny dział wiadomości potocznych nietylko z Górnego Slązka, ale też z obczyzny, z Wielkopolski i Prus.

„Górnoślązak“ poruszać będzie wszystkie najżywotniejsze kwestye naszego bytu narodowego i **śmiało wypowie swe zdanie.**

„Górnoślązak podawać będzie bardzo zajmujące powieści z **illustracyami**, a w niedzielnym bezpłatnym dodatku

„Polski Ślązk”

opisy naszych stron rodzinnych z obrazkami, pogląd na historyę Polski i Slązka, podawać będzie illustracye sławnych mężów, zasłużonych około sprawy polskiej.

Czytajcie „Górnoślązaka!“

„Górnoślązak“ jest pismem prawdziwie polskiem i szczerze katolickiem.
„Górnoślązak“ broni ostro naszych interesów narodowych.
„Górnoślązak“ broni interesów kościoła św.
„Górnoślązak“ broni dzielnie interesów robotników.
„Górnoślązak“ broni dzielnie interesów włościan.
„Górnoślązak“ powinien się znajdować w każdym domu polskim.
„Górnoślązak ma bardzo ładne obrazki i dodatki.
„Górnoślązak“ płaci wdowie lub sierotom po czytelniku, który zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku

200 marek wsparcia.

„Górnoślązak“ jest najtańszem polskiem pismem codziennem, kosztuje na każdej poczcie i u pp. ajentów

tylko 1 markę 30 fen. ćwierćrocznie,

z odnoszeniem do domu **1 markę 60 fen.**

Bracia Czytelnicy — Wiarusy! Rozszerzajcie „Górnoślązaka“ pomiędzy znajomymi i agitujcie wszędzie za nim!

Zdolni kolporterzy mogą się zgłaszać do Redakcyi w Katowicach albo też do „Pracy“ w Poznaniu.

Wydawnictwo „Pracy,” „Górnoślązaka” i Czytelni Polskiej”

Poznań, ulica Rycerska nr. 38. — Katowice, ulica Poprzeczna nr. 12 (Querstrasse Nr. 12).
Kraków, ulica św. Jana 18.

6% rabatu. | Zamówienia nad 10 marek wysyłamy franko. | 6% rabatu.

Ołyński & Umbreit,

Poznań.

handel drogeryjny, chemikalii, perfumeryi i wód mineralnych,

hurtownie i detalicznie,

I-szy skład św. Marcin nr. 62,
II-gi skład ulica Wrocławska nr. 30,
polecają

na sezon gwiazdkowy:

Perfumy: warszawskie, francuzkie, angielskie i niemieckie, luźno, w butl. i kartoni. eleg., w cenie od 25 fen. do 15 mrk., wodę kolońską prawdziwą w but. po 75 fen., 1.40, 2 i 4 m. **Mydła toaletowe:** wyrobu warszawskiego, francuskiego i niemieckiego, pojedyncze kaw. i w karton. gust. w cenie od 10 fen do 3 mk. **Przystrój na chojnę:** śnieg sztuczny, lampeczki, kule, gwiazdy szklanne i. t. d. od 2 fen. do 2 mk., świeczki na chojnę w rozm. kolor. i gatunkach w 1/2 funt. pud. po 15, 24 i 30 szt. parafinowe pud. 35 fen., stear. pud. 50 f. cerezynowe pud. 60 f., wosk. pud. 1 m. Czekolady, cacao: Sucharda, Van Houtena, Blockera. Herbaty ruskie i chińskie od 2-6 m. w wielkim wyborze i znanej dobroci. Koniak francuzki Frapina oraz esencye do wyrablania wódek, blt. po 75 fen. 868

Artykuły gospodarcze i gorzelnicze.

Artykuły domowe i kuchenne.

Artykuły malarskie.

Wielki wybór tapet

od 15 fen. za rulon.

Rozety i drążki do firan.

Artykuły męzkie.

Kapelusze | Krawaty



Parasole.

Rękawiczki | Bieliznę

poleca

W. HAHN

(właśc. Wład. Hahn) 772

Poznań, Stary Rynek nr. 55.

Kobieta jest rzeczywiście wszechwładną królową stworzenia, bo kobieta bez kobiety może się obejść, ale mężczyzna bez mężczyzny obejść się nie może...

Szkoła handlowa

udziela lekcyi w językach: polskim, niemieckim, francuzkim, angielskim, rosyjskim, oraz buchalteryi, korespondencyi, kaligrafii, rachunkowości. Korepetycyi dorosłym i dzieciom. Przysposabia jednocześnie do egzaminu jednorocznego. Ceny bardzo umiarkowane, na żądanie ze stancyą.

P. Rutkowski,

nauczyciel języków i dyrektor szkoły handlowej,

Berlin N., Invalidenstr. 35. 774

St. Augustyniak.

Handel drzewa w Kościanie

poleca drzewo budulcowe, belki kantówkę w różnych długościach i rozmiarach, łaty, deski na podłogi, szalówkę, blochy, towar stolarski, blochy bukowe, brzozowe, od 1/2" do 3" i 4" cali mocne; — przyjmuje już teraz nowe obstalunki na budowle na przyszłą wiosnę, aby można dobry zimowego cięcia towar dostawić.

Specyalny interes

na drzewa bukowe i szprychy dębowe

zawsze w wielkim wyborze, towar suchy i trwały w różnych rozmiarach do 2 1/2" 3" 3 1/2" i 4" calowych wozów, również stosowne sprychy do tego, mając kilkoletnią praktykę u wielkich firm wrocławskich, znając wszelkie gatunki drzewa; jestem wstanie Szan. Publiczności wszelkim wymaganiom zadość uczynić. Ceny stałe i bardzo przystępne; usługa skora 856

Bank

Związku Spółek Zarobkowych

w Poznaniu

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od długości wypowiedzenia 3 1/2, 4, 4 1/2 i 4 3/4 %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy.

Od kapitałów, większych, płatnych każdego czasu, oblicza 1% niżej każdorazowego dyskonta Banku Rzeszy — wszakże nie niżej 3 1/2 %.

Poleca swe konto *czekowe*, dostarcza przekazów na wszystkie ważniejsze miasta Europy i pozaeuropejskie.

Kupuje i sprzedaje każdego czasu listy zastawne, rentowe, papiery państwowe niemieckie i zagraniczne, zmienia walory rosyjskie, austryackie, francuzkie, amerykańskie i inne. 727

Patenty na wynalazki

wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach

Międzynarodowe Biuro Patentowe Techniczne

I. Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie W.,

446 **Fryderykowska 78.**

(Własc. firmy: **A. Loll i W. Ziołecki.**)

Dobre mydło

kupuje się w fabryce 42

St. Żychlińskiego w Gnieźnie.

Piegi usuwa i konserwuje płeć

hygieniczne mydełko lanolinowe.

Świece kościelne każdej wielkości.



Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej.



Koła do wozów

dostarcza z suchego drzewa dobrze odrobione i po tanich cenach. 108

Głogowska parowa fabryka stelmachska

Bredner i Okoniewski.

Głogowa, Glogau i. Schl.

Tanie książki!

Asem 40 f., Genowefa 40 f., Bolesław 50 f., Głos synogarlicy 1 m., Gawędziarz 50 f., Hirlanda 40 f., Historya o królewiczu 40 f., Historya o wiecznym żydzie 20 f., Jaskinia Beatusa 1 m., Koszyk kwiatów 50 f., Lampa czarodziejska 40 f., Listownik 50 f., Oracye 30 f., Przeraźliwe echo 60 f., Sąd ostateczny 40 f., Sybilla 40 f., Sowizdrzał 40 f., Śpiewnik polski 50 f., Toastnik 50 f. poleca 236

W. Fiałek w Chełmnie

Za darmo wysyłam mój wielki **katalog illustrowany**, zawierający wiele nowości w

towarach stalowych z Solingen,

biżuteryach złotych i srebrnych, naczyniach gospodarczych etc. etc.

14 dni na próbę!



5 lat gwarancyi!

wysyłam 1 brzytwę nr. 27 pięknie szlifowaną, włącznie pochwy, 1,50 m. Nr. 29 ślicznie wyżłobioną, 2 m. Nr. 33 ff. wyżłobioną, 2,50 mk. Brzytwa zabezpieczająca od zarżnięcia, patentowana, 3 mk. Za niepodobające się zwracam pieniądze. 719

Emil Jansen,

dom fabryczno-wysyłk.,

Wald-Solingen 23 P.

Egipskie krople cudowne

znakomity środek na różne choroby żołądka, kolki w brzuchu, ogólne osłabienie i t. d. poleca 877

E. Karasiewicz,

apteka w Wyrzysku (Wirsitz.)

Cena buteleczki 1 markę.

Części składowe: Extr. Cava 20, Tinct. Cast. 10, Extr. Arn. Extr. Casc. Extr. Herb. Cent. Extr. Ivae mosch. āā 2. Aether, Tct. Abs. comp. Tct. Coto āā 1. 01. Calam. foenie. rosm. menth. āā 2. Spir. aeth. n. 0,05.

MORA

znakomita maść na rany, wrzody, żyły kurczowe, liszaje, wyrzuty itd.

poleca

E. Karasiewicz,

apteka w Wyrzysku (Wirsitz.)

Cena słojka 1,75 mrk., 1/2 słojka 1,00 markę.

Części składowe: Hg. ox. rb. 2. Extr. Myr. 3 Aqu. fer. 6. Bals. per. 10, Ad. lan. anhyd. 56, Cr. fl. 25. 878

Po wyborach w Galicyi.

Idźcie z Bogiem! nie daję żadnej kolendy.

— Teciu, to ty mnie nie poznajesz?

— Jezus Marya: Mężu! a ty jak wracasz do domu po szesnastu dniach?

— Widzisz, duszko.., Byłem na wyborach, na jedenaście dni oddała mnie stacya ratunkowa do szpitala, no, a pięć dni odsiedziałem w kozie. — Ot, masz raport!

*

Od depozytów składanych do naszej Spółki płacimy:
za kwartalnem wypowiedzeniem 4½%
za półrocznem „ 5%
za rocznem „ 5½%
Procenta obliczamy od dnia wpłaty.

Również polecamy do nabycia pierwszomiej.

5-cio procent. hipoteki.

Dla wygody nabywców hipotek płacimy procenta wprost naprzód w półrocznych ratach.

Spółka nasza:
1. **kupuje** na własność majątki ziemskie i gospodarstwa,
2. **parceluje** takowe na rachunek właściciela lub własny,
3. **pośredniczy** w sprzedaży i kupnie majątków ziemskich,
4. zajmuje się na podstawie mandatu, odebranego na mocy uchwały Walnego zebrania interesentów dnia 21-go lutego 1900 r., pośredniczeniem **w wydzierżawianiu** majątków ziemskich.

Spółka Rolników Parcelacyjna.

Posen. 871
Zarząd:
Adam Wolliński. Władysław Kaczmarek. Józef Kużaj.

Założony 1872. Założony 1872.

Warszawski Magazyn Obuwia

Poznań, św. Marcin 68. Poznań.
F. Andrzejewski Następca
M. Jóźwiak

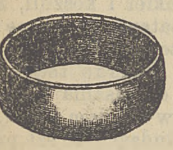
poleca

Specyalność: Obuwie salonowe.

Obuwie spacerowe, ranne, zimowe ciepłe na korkowej podeszwie, buty długie, nieprzemakalne do gospodarstwa, znane jako lekkie, dogodne i trwałe. Prześwietnemu Duchowieństwu zwracam uwagę na mój zgrabny i dogodny krój kanonów.

Mój Walenty, jakoś tu w waszym lesie zwierzyny wcale nie widać?

— Bo, jaśnie panie, zwierzyna znowu nie taka głupia, żeby się w taki mróz włóczyła po lesie.



W. Kruk

dawniej
L. Skrzetuski
jubiler i złotnik



pracownia wyrobów złotniczych i sprzętów kościelnych
zał. r. 1840.

Poznań, ul. Wodna nr. 27
narożnik Starego Rynku
849 poleca

wielki wybór biżuteryi,

garnitury koralowe, granatki, turkusy
po niebywale tanich cenach.

Massiw złote pierścionki od 6,00 marek.
„ „ kolczyki „ 4,00 „
„ „ broszki „ 8,00 „

Pierścionki z prawdziwym dyamentem już od m. 20.

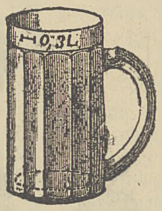
Zegarki złote i srebrne

pod kilkoletnią gwarancyą z pierwszorzędnych, najlepszych fabryk, jak najtaniej
massiw złote mężkie od 50,00 mk.
„ „ damskie „ 20,00 „

Najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna
podarków gwiazdkowych!

Stanisław Dekiert

w firmie: **S. Dekiert & Co.**
Poznań, ul. Wrocławska 1
tuż przy St. Rynku,
parter i I-sze piętro.
Telefon 1001.



Poleca po cenach zniżonych wszelkie artykuły, jako to:

serwisy

do obiadu, do kawy, do mycia,

szkło



wszelkiego rodzaju, 805

lampy

pająki
tylko z najlepszemi palnikami.



tace, noże, widelce i łyżki

Wielki wybór pięknych i korzystnych przedmiotów, nadających się na podarki ślubne okolic znościowe.

Na gwiazdkę! Na gwiazdkę!

Wielki Deklamator Polski. (Skarbiec poezyi polskiej.) Wielki wybór poezyi narodowych, historycznych i t. d. Stron 224. Cena opr. tylko **1,30 mk.** z fr. przesyłką. — **Bajarz Polski.** Zbiór baśni, legend, powiastek i gawęd ludowych. 3 tomy w jednym. str. 208 z obrazkami Andriollego i Mottego. Cena w ozdob. opr. tylko **1,60 mk** z fr. przesyłką. **Śpiewnik Wielkopolski.** Str. 320. (Jeden z najl. i najobsz. śpiewników polskich.) Cena tylko **60 fen.** z fr. przes. **Skarby rozumu i serca,** Myśli i zdania wyjęte z naszych pisarzy, w ozdob. opr., tylko **3,20 mk.** z fr. przes. **Powieści z dziejów naszych:** 1) „Tajemnica królowy“ 80 fen. 2) „Wśród burz i gromów“ 1 mk. 3) „Ostatni z Piastów“ 1 mk. 4] „Krew królewska“ 60 fen. 5) „Matka królów“ 80 fen. 6) „Królowa Jadwiga“ 60 fen. 7) „Złote czasy“ 60 fen. 8) „Pan Czuryłło“ 80 fen. 9) „Pod katowskim toporem“ 80 fen. 10) Walka o koronę“ 60 fen. W opr. zwycz. każda powieść 20 fen. droższa. W opr. ozdob. wszyst. te 10 powieści koszt. **6 mk. Powieści X. kanonika Schmidta,** zawierające: 1) „Róża z Tannenbergu,“ 2) Wigilia Bożego Narodzenia,“ 3) „Eustachiusz,“ 4) „Dobry Franuś i zły Kostuś,“ 5) Węglarz z Walencyi,“ 6) „Koszyk kwiatów,“ 7) Bolesław,“ 8) Krzyżyk drewniany,“ i „Krzak róży,“ 9) Jajka wielkanocne“ i „Starzec z gór,“ 10) „Młody pustelnik.“ Cena po **50 fen.** za tom. Cena wszystkich 10 tomów bez oprawy **4 mk.,** w ozdob. opr. w czerw. płótno z wyciskami złotemi **5 m.** Dziełka te ozdobnie wydane a tanie, są bardzo stósowne na podarki gwiazdkowe dla ludu i młodzieży. **NUTY: 101 tańców na fortepian,** 2 tomy tylko **3,20 m.** z fr. przes. **101 tańców na skrzypce,** 2 tomy tylko **2,20 m. „Oj nasza“,** wybór mazurków, krakowiaków, kujawiaków i t. d. na skrzypce tylko **1,10 m.** z fr. przes. **Polskie tańce na fortepian** 2 tomy (najpiękniejsze polskie tańce) **3,20 m.** z fr. przes. **Polskie tańce na skrzypce** 2 tomy tylko **2,20 m.** z fr. przesyłką poleca i przeseła odwrotnie 870
Fr. Checieszyński, Poznań — Posen, Wodna ul. 15.

Na gwiazdkę. Na gwiazdkę.

Spółka Stolarska

Poznań, Jezuicka ulica nr. 5,
gmach pogimnazyalny
poleca

MEBLE

skromne i wykwintne doborowej jakości,
po niskich cenach.
Stósowne podarki gwiazdkowe.
845 Cenniki odwrotnie i franko.



Na gwiazdkę.

Potrzebuje kilka przedmiotów na podarki gwiazdkowe, doradź mi, co mam kupić?

Odpowiednim podarkiem byłby zegarek, łańcuszek, pierścionek, guziki do mankiet, gorsu lub spilki w krawat; dla Pań ładny pierścionek, kolczyki, broszkę, zegarek lub łańcuszek do zegarka; dla dziewczyn wiejskich zaś prawe korale, bursztyny lub krzyżyk do korali.

Wymienione wyżej przedmioty i wiele innyc nabyć można tanio u **Jana Białasa** *w Poznaniu przy Wrocławskiej ul. nr. 2.*
Cenniki bezpłatnie. 676

J. K. Jasielski

adwokat ludowy
(pozasł. aktuaryusz sądowy)
w Poznaniu,
Stary Rynek 88 II ptr.
spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

Konfekcya mezka i dla chłopców
S. Święcicki, Poznań
Fryderykowska ul. 33,
obok sądu nadziemiańskiego.
773 Wykonywanie
modnej garderoby mężkiej
podług miary.

S. Rothstein

Poznań, 782
Szeroka ul. 25 I p.
poleca swój bogato zaopatrzony skład towarów krótkich, białych i wełnianych hurtownie po najtańszych cenach.

Pianina

i

harmonia

kupuje się dobrze i tanio u
L. Zipperta,
Gniezno, Rynek nr. 6.
Wpłaty częściowe uwzględnia się. Cennik franko. 751

!!Fonografy!!

z ulepszoną konstrukcyą oraz wyborowe walce do Fonografów, także z polskiemi śpiwami. 893
Cennik darmo.
R. TILGNER
Pleszew.

„Drukarnia Pracy"

Telefon 1246. Poznań, Rycerska 38 **Telefon 1246.**

wykonuje

szybko i gustownie po cenach nader przystępnych

wszelkiego rodzaju druki

od pojedyńczych do najozdobniejszych, w jednym lub więcej kolorach,

a mianowicie:

Gazety, dzieła, broszury; druki kościelne, urzędowe, gospodarskie, handlowe, bankowe, dla Spółek pożyczkowych, hotelów i restauracyi;
cenniki, rachunki, karty pocztowe, listy i koperty z firmą, etykiety;
karty wizytowe i polecające; uwiadomienia zaręczynowe i ślubne;
illustracye; dyplomy, powinszowania, adresy na jubileusze; listy żałobne i koperty;
serwety i karty obiadowe; plakaty, programy i t. d.

Nasza

Kasa Oszczędności

przyjmuje depozyta od 1 Marki począwszy i płaci już od czasu założenia jej **bez względu** na stopę procentową Banku Rzeszy

a) za kwartalnem wypowiedzeniem 4½%
b) za półrocznem wypowiedzeniem 5½%
c) za rocznem wypowiedzeniem wedle umowy.*)

Kto u nas ma złożone oszczędności, a kupi grunt od nas, temu wypłaca kasa nasza depozyt nawet bez wypowiedzenia.

Kasa nasza **ma** każdego czasu na sprzedaż pupilarne pewne

pierwszomiejscowe

5% dokumenta hipoteczne

na co Szanownym Dozorom Kościołów zwracamy uwagę.

Bank podpisany **kupuje**

dobra, folwarki i gospodarstwa

większe i mniejsze za gotówkę, a **sprzedaje** takowe w parcelach na długoletnią odpłatę.
Gotowe **folwarki i gospodarstwa** są u nas także każdego czasu do nabycia.

BANK PARCELACYJNY

w Poznaniu, na Piekarach Nr. 18.

284

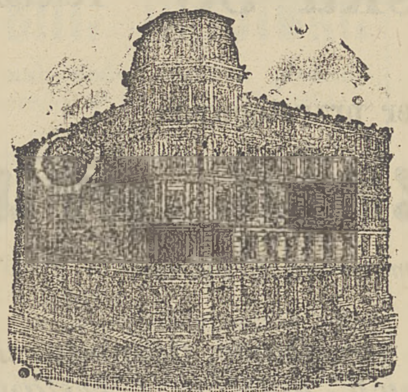
*) UWAGA. Sumy ponad 10,000 marek przyjmujemy tylko za poprzedniem porozumieniem się, podczas gdy mniejsze kwoty każdego czasu każdą pocztą przysłać można, jednakże z wyraźnym dopiskiem za jakiem wypowiedzeniem mają być kontowane.

Założona 1873.

„Westa"

Założona 1873.

Bank wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.



Zabezpiecza kapitały płatne przy śmierci osoby zabezpieczonej.

Zabezpiecza kapitały płatne przy śmierci osoby zabezpieczonej ze skróconem składkowaniem.

Zabezpiecza kapitały płatne w chwili, gdy zabezpieczony dożyje pewnego z góry oznaczonego wieku n. p. 50-go lub 60-go roku życia, lub zaraz w razie rychlejszej śmierci.

Zabezpiecza kapitały na studya, wojskowość i posag dla synów i córek.

620

Biúra we własnym domu Św. Marcin 61.

Dywidendy udzielono za rok 1899 **6%** za rok 1900 **10%**.

---

783 Gabinet dentystyczny

J. Gulińskiej

został otwarty

w Poznaniu, ul. Berlińska 19.

Plomby, zęby sztuczne, wykonywane podług najnowszych metod na kauczuku, złocie oraz bez podniebienia. **Prostowanie krzywych zębów, ekstrakcya bez bólu.**

Ceny umiarkowane.





Upraszamy przekonać się!

Wielki złoty medal.

Kraków 1900.

Wiślankę

najsmaczniejszą nalewkę owocową i

Botanik

najwyborniejszy likwor żołądkowy poleca

Fabryka likworów

Marczyński & Klóskowski,

Poznań, ul. Berlińska 15. Telefon Nr. 636.



Upraszamy spróbować!

Wyroby powyższe równają się najdroższym fabrykatom francuzkim i są w wszystkich plakatami oznaczonych miejscach do dostania w butelkach 1 ltr. à 2 mk., ½ lt. à 1,25 mk. 761

Herbatę

chińską, ruską

poleca *po znanych tanich cenach hurtownie i detalicznie* w wielkim wyborze 447

Centralna Drogerya

J. Czepczyński,

Poznań, Stary Rynek nr. 8.

Telefon nr. 238.



Przy odbiorze detalicznym za 10 mrk. herbat — franco pocztą.

Doświadczona.

Mężatka. No, a teraz gdzie się wybieracie?
Narzeczony. Załatwiać najważniejsze czynności poślubne.
Mężatka. Ach, więc idziecie do ojca po posag.

Poznań 1895 srebrny medal.

Gwarancya długoletnia.

Gniezno 1896 złoty medal

Po przebudowaniu i znacznem powiększeniu magazynów naszych polecamy meble wykończone li tylko z dobrego, suchego materyału i to pod gwarancyą od skromnych do najwykwintniejszych. 755

Meble

polecają

Dankowski i Sp.

Poznań, Wilhelmowska 20, obok p. Starka.

Własnego wyrobu meble wyściełane; — **własny** wielki i zaszczytnie znany warsztat **tapicersko-dekoracyjny.** Mamy gotowe **kompletne** pokoje skromne i eleganckie; orzechowe, dębowe, złocone (bardzo modne sypialnie jaworowe i t. d.

Wszystko we wielkim wyborze gotowe na składzie. Materye meblowe — prawdziwie francuzkie — w stylach do mebli odpowiednich.

Dankowski i Sp.

Magazyn mebli,

Poznań,

ulica Wilhelmowska 20.

Na spłatę ratami zgadzamy się.

Długoletnia rzetelna gwarancya.

Antoni Rose,

Poznań—Bazar

poleca

Wielki wybór tapet

od 15 fen. za rulon począwszy, wszelkie dekoracye, borty, rozety sztukowe. Znane z trwałości lincrusta — tapety oraz **linoleum** pierwszorzędnych fabryk.

Papier transparentowy „Diafania" na szkło.
!!!Wszelkie próby na żądanie franko!!!

Skład materyałów piśmiennych.

Zakład litograficzny i drukarnia.

Fabryka wyrobów papierowych, książek kontowych i rejestrów gospodarczych.

Plakaty, etykiety, dyplomy, **karty wizytowe** itd.

wykonuje się spiesznie i akuratnie po najtańszej cenie. 314

Kobieta zaczyna najwięcej nabierać rozumu właśnie wtedy, kiedy go mężczyzna traci.



Fatalna sytuacya.

Panie doktorze, na miłość Bozką, poradź co memu mężowi! Od czasu, kiedy został radzcą, trudno z nim wytrzymać.

— Co mu takiego jest?

— Po każdej sesyi oka nie zmruży w nocy; tylko marudzi.

— A zatem małżonek pani cierpi na bezsenność?

— Ależ nie... wysypia się na każdej sesyi i z tego powodu w nocy spać nie może.

Wydawnictwo „Pracy“ w Poznaniu,

ul. Rycerska 38

poleca następujące piękne powieści

po cenie zniżonej, a mianowicie:

1. ***Listopad,*** romans historyczny z drugiej połowy XIII-go wieku, przez Henryka Rzewuskiego.
3 tomy (300 stron) tylko 75 fen.

Henryk Rzewuski jest jednym z najznakomitszych powieściopisarzy naszego stulecia. Powieści jego pochłaniane były przez współczesnych z tą gorączkową ciekawością, jaką tylko niepospolite talenty wzbudzić umieją. I z taką samą ciekawością będą czytywane i dziś wszelkie dzieła Rzewuskiego, z pośród których mianowicie romans historyczny „Listopad“ za perłę powieściopisarstwa naszego uchodzi. Polecamy więc powieść tę sumiennie, gdyż każdego ona zajmie.

Pragnąc zaś uprzystępnić każdemu nabycie tej obszernej a tak rzadko pięknym językiem barwnie napisanej powieści, oddajemy *wszystkie 3 tomy* (300 stron) za 75 fenyg., a więc *za bezcen.*

2. ***Krwawy Chrzest,*** powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach przez J. Dzierzkowskiego.
przeszło 300 stron tylko 75 fen.

Krwawy Chrzest — to obraz ponury, bo gdzie spojrzysz, tam prawie same mogiły... z których przemawiają dzieje przebrzmiałych zapasów, pełne grozy i rozpaczy; krew serdecznaj szczerze polska, obficie przelana na polu sławy; — na każde, stronnicy przemawia do Ciebie, Czytelniku, to wszystko, co odznacza polską ziemię, polski lud kochany i polskiego ducha...

Tu syn chłopa i dziecię senatorskie walczą zarówno o to, co nam najdroższe, najświętsze — o wolność...

I tętni kałakoł pocztowy swym głosem dzikim, tętni coraz dalej a dalej, coraz ciszej i ciszej, niknie kibitka za kibitką w niezliczonym pochodzie — na Sybir...

Przy czytaniu zakręci się łza w oku a z piersi wyrwie się mimowoli jęk bólu, ażali umilknie zupełnie na ziemi naszej dzwon męczeństw narodowych...

3. ***Sąd Boży,*** powieść kryminalistyczna, tłomaczona z angielskiego.
sensacyjna, niezmiernie zajmująca, pełna powikłań różnorodnych — trzyma czytelnika na uwięzi od początku aż do końca.
150 stron (większego książkowego formatu) **tylko 50 fen.**

4. ***Miłość bez granic,*** powieść oryginalna, osnuta na tle powstania narodowego z r. 1863 przez Alberta Gorowskiego.
Książka większego formatu **120 stron** tylko 50 fen.

5. ***Zagadkowe drzwi,*** tłomaczone z angielskiego.
powieść kryminalistyczna, osnuta na prawdziwych, pełnych tajemniczej grozy zdarzeniach, pochłania uwagę czytelnika od początku do końca.

Pióro autora odznacza się niezmierną żywością i biegłością, co razem z poprzedniemi zaletami stanowi wielką wartość dziełka, pomimo której wyznaczyliśmy *bajecznie nizką cenę,* bo tylko 50 fen.

6. ***Antysemityzm,*** piękna powieść społeczna, poświęcona wielce ważnemu u nas zagadnieniu, jakie stanowi stosunek żydów do naszego narodu tak pod względem politycznym jak ekonomicznym.

Autor z niepospolitą bystrością dostrzegł przyczyny ogromnych klęsk i nieszczęść, jakie społeczeństwu polskiemu żydowszczyzna zadaje, a na tle prawdziwem rozsnuł nadzwyczajnie interesującą, z rzeczywistości zaczerpniętą opowieść. Chcąc służyć sprawie należytego poznania zgubnych dla nas pijawek palestyńskich i wyzwolenia społeczeństwa z pod wpływów żydowskich, rozsprzedajemy powieść tę piękną i dość obszerną *po nader nizkiej cenie* tylko 50 fen.

Kto powyższe 6 książek (9 tomów) od razu nabędzie,

otrzyma takowe za niebywałą, nizką cenę, bo **za 3,00 mk.**

Już za 3,00 mk. więc można przyjść w posiadanie skromnej a doborowej biblioteczki domowej.

Przy zamówieniu tylko jednej powieści, należy się dołączyć jeszcze 10 fen. na porto; natomiast przy zamówieniu wszystkich 6 książek koszta portoryi ponosi wydawnictwo.

Pieniądze najlepiej przesłać przekazem pocztowym.

Wydawnictwo „Pracy“
(Księgarnia wysyłkowa)
w Poznaniu (Posen)
Rycerska 38.

Papierosy f-brykі SULIMA & najlepsze
Produkcya roczna 163 miliony.

55

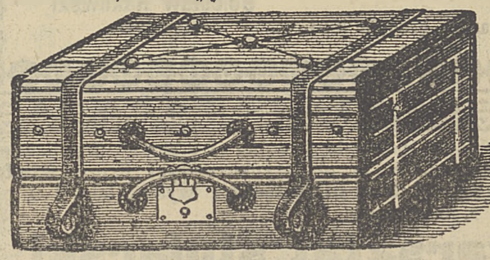
Jedyna jeneralna agentura i główny skład
S. Żychliński w Poznaniu.
Cygara w największym wyborze.

Interes specyalny towarów skórzanych do podróży i siodeł.

Nikodem Wolniewicz, Bazar.

Nowym odbiorcom na liczne zapytania w miejsce odpowiedzi przez germanizującą pocztę donoszę, iż te dobre **kufry fałdowe** z brązowego żaglowego płótna, żółto obsadzone, kosztują 704

Siodła od 24 marek.



Torby, kieszenie puzdra i portm.

dł. ctm.	szer. cmt.	wysok. ctm.	rozszerzone ctm.	mrk.		
50	31	20	31	12	z narożnikami	mk. 14
55	33	22	33	14	prima zamkiem	„ 16
60	36	24	35	16	2 kieszeni i pa-	„ 18
65	39	26	38	18	sy w środku,	„ 20

Te same bez fałd 3 mk. taniej

Fabryka papierosów rosyjskich w Brodnicy (Strasburg W./Pr.)
pod firmą
„ORIANDA“
poleca znakomite papierosy z najwyborowszych rosyjskich tytuni. Na szczególniejsze wyróżnienie zasługują następujące gatunki:

Orianda	**Prima**
Warszawskie	**Mickiewicz**
Surprise	**Baleton**
Bezimienne	**Fortuna**
Sława	**Kawalerskie** itd. itd.

Wyroby moje odznaczają się nadzwyczaj łagodnym smakiem i wskutek tego cieszą się ogromną konsumcyą. Fabrykatów moich nabyć można w wszystkich składach cygar i papierosów. Panom kupcom pozwalam sobie zwrócić uwagę na moje wielkie zapasy tutuni rosyjskich, które zakupując pod bardzo korzystnemi warunkami wprost u źródeł, jestem w możności po bardzo nizkich cenach oddać. Na życzenie służę osobną ofertą. 708
Stefan Stawiński, właściciel firmy „Orianda.“

Druki wszelkiego rodzaju wykonuje pięknie, gustownie i tanio.

Skład papieru materyałów piśmiennych i tapet
„Globus“
P. Steinmetz.
Poznań ulica Szeroka nr. 6.
poleca
materyały piśmienne, biórowe i tapet
po cenach jaknajtańszych. 722

Wielki skład książek handlowych i gospodarczych



„Szczęść Boże!“

Drukiem „Pracy.“